

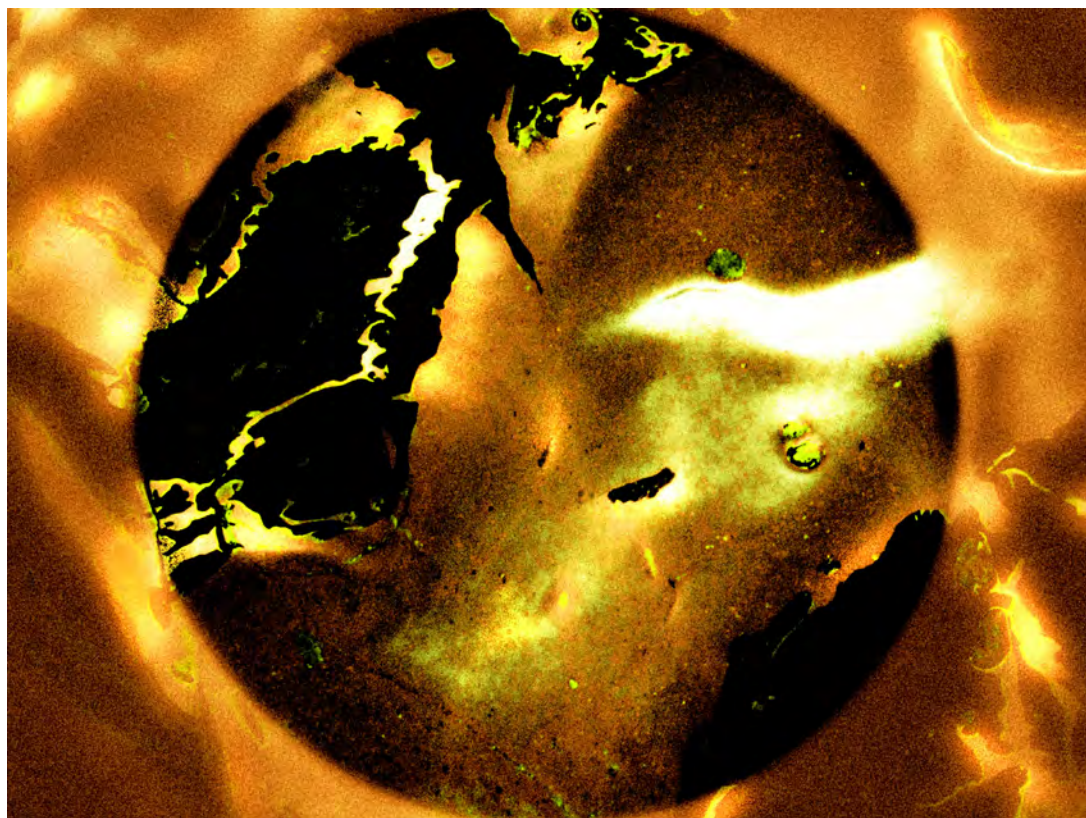
70

ISSN 2449-5328

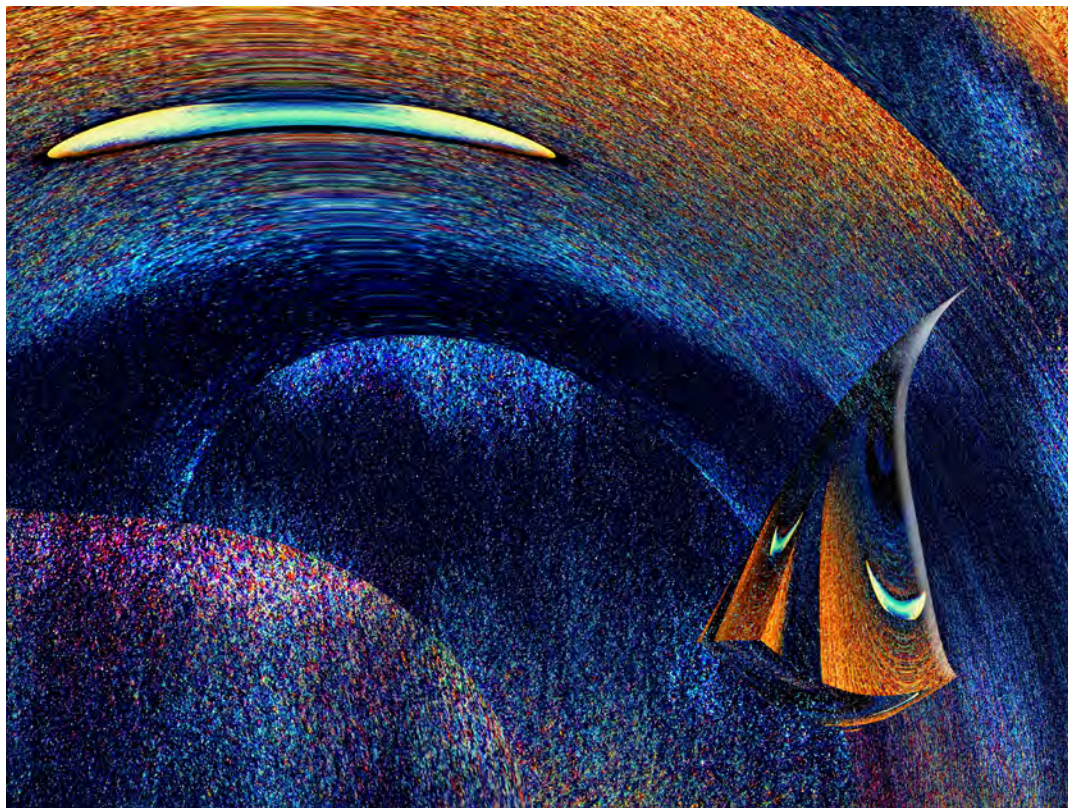
GALERIA

CZĘSTOCHOWSKI MAGAZYN LITERACKI
Towarzystwa Galeria Literacka

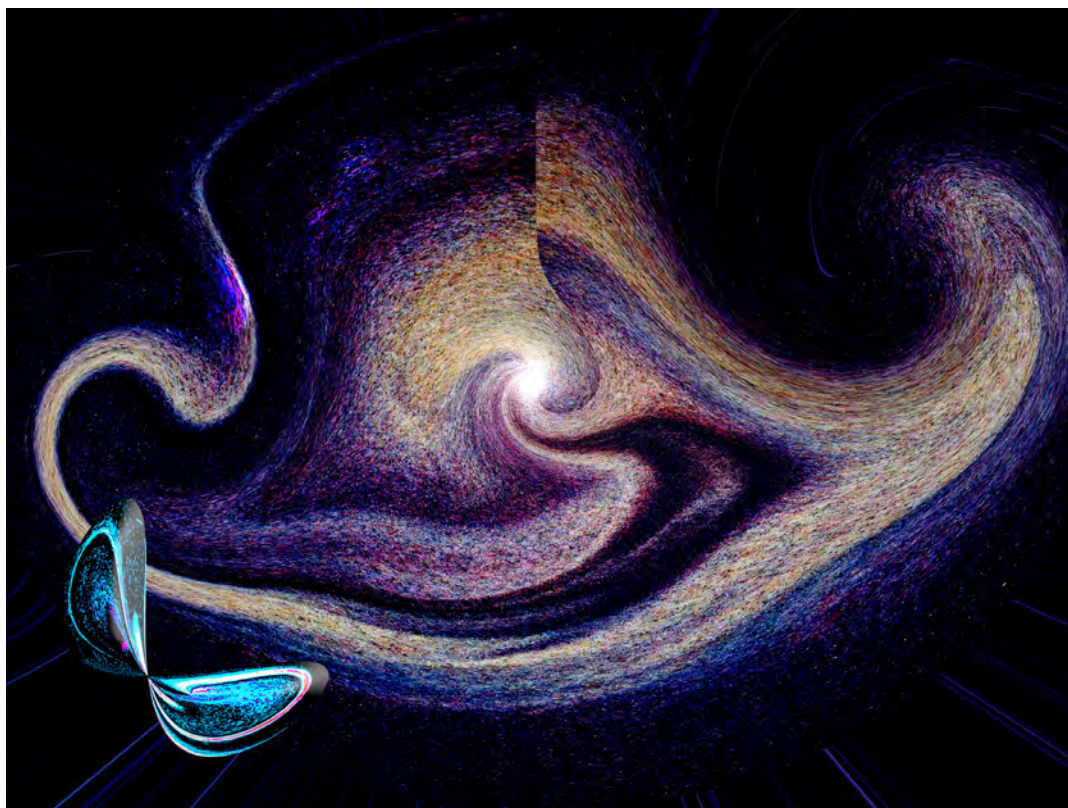
kwiecień – czerwiec 2024



poezja • proza • szkice • recenzje • eseje • felietony • humoreski • fraszki • satyra



Roman Timofiejuk, „Odyseja – podróż po czasie i przestrzeni 1”



Roman Timofiejuk, „Odyseja – podróż po czasie i przestrzeni 2”

SŁOWO OD REDAKCJIBogdan Knop, Barbara Strzelbicka, *Ukraina, Białoruś i Warta* 3**WYDARZENIA***Kalendarium: kwiecień–czerwiec 2024 r.* 4Barbara Strzelbicka, *Portret namalowany z przejęciem* 6**POEZJA**Adrian Musiał, *Słowotok – wybór* 9Elżbieta Jeziorowska-Wróbel, *Może zacząć od nowa* 10Tadeusz Luterek, *Słowu dać imię* 12Zbigniew Szpruta, *Porzućcie wszelką nadzieję...; Wszystko albo nic* 14Marian Zygmunt Piątek, *Wiersze III* 16Anna Jędryka, *Rozmyślania wiosenne* 19Andrzej Ostalowski, *Życie – inaczej* 21Małgorzata Franc, *Tryptyk wiosenny* 23Janusz Strojec, *Opakowany VI–X* 24Wiesława Owczarek, *Ach, miłość...* 25Krzysztof Seweryn Wroński, *Sztormy imperium* 29Zdzisław Opałko, *Uczniowie* 30Zdzisław Sierpiński, *Śpiewając* 31Barbara Strzelbicka, *pakiet* 33**POEZJA – DEBIUT W GALERII**Henryk Piech, *Rymowane qui pro quo – wybór* 35**PROZA**Janusz Jano Mielczarek, *Zapiski osobiste: Nie zabierzcie Księżycy* 38Paulina Wysocka-Morawiec, *Kusy* 41Bogdan Knop, *Żale dojrzałe i mądrość* 53**PRZEKŁADY**Aksana Maria Juczkowicz, *Nasze święta ciągle niepaństwowe,*
przeł. Bogdan Knop 56**SZKICE, ESEJE, RECENZJE**Konrad Ludwicki, *Pamiętnik lektury* 57Tomasz „Aztenty” Barański, *Andy Warchol w Rzeszowie* 59**Z NOTATNIKA MAŁGORZATY N-K**Małgorzata Nowakowska-Karczewska, *On i ona* 62**HISTORIA W GALERII**Jarosław Kapsa, *Szarość* 68

CZĘSTOCHOWA Publikacja dofinansowana ze środków budżetu Gminy Miasta Częstochowy w ramach otwartego konkursu ofert na realizację w 2024 roku zadań publicznych z zakresu kultury i sztuki, dziedzictwa narodowego oraz upowszechniania kultury.

POKÓJ DZIECIĘCY

Anna Jędryka, <i>Wiersze dla dzieci</i>	75
Elżbieta Jolanta Gola, <i>Kącik dla najmłodszych</i>	79
Barbara Strzelbicka, <i>Niebo Jana Marcina</i>	83

FOTOGALERIA

Roman Timofiejuk, <i>Triumwirat fotografii: Kod, Wyobraźnia, Narracja</i>	89
---	----

WIDZIANE Z GALERII. Subiektywna kronika wypadków kulturalnych

Ida Jadwiga Łubińska, <i>Tuwim kontra Brzechwa</i>	91
Barbara Strzelbicka, <i>Artystyczni stypendyści</i>	92
Barbara Strzelbicka, <i>Pejzaże, czerwień i korkociąg</i>	93
Barbara Strzelbicka, <i>Teatr malowania i tańca</i>	94
Bogdan Knop, <i>Spotkanie w Antykwarni</i>	95
Barbara Strzelbicka, <i>Imieniny Zofii</i>	96
Ida Jadwiga Łubińska, <i>Wystawa Wojciecha Siudmaka</i>	97
Barbara Strzelbicka, <i>Umiejętność opowiadania</i>	98
Barbara Strzelbicka, <i>Kochajmy Fredrę!</i>	99

NOTY O KSIĄŻKACH

Arkadiusz Frania, Tadeusz Gieryski: „pisanie wierszy to umieranie po kawałku”	100
Adrian Musiał, <i>Słowotok</i>	100
Jakub Bartecki, <i>Czeskie piwo</i>	100
Zza zasłony czasu. Historia Klubu Literackiego „Fraszka”	101
Wasil Bykau, <i>Długa droga do domu</i>	101
Uładzimir Njakłajeu, <i>Sam</i>	101

ZAPISKI GALERJANA

Jan Ciesielski, <i>Sceniczna wesołość</i>	102
---	-----

NOTY O AUTORACH

Henryk Piech	37
Aksana Maria Juczkowicz	56

Wyrazy głębokiego współczucia z powodu śmierci
Mamy
Joannie Szymańskiej
składają Koleżanki i Koledzy z Towarzystwa Galeria Literacka

UKRAINA, BIAŁORUŚ I WARTA

Niewątpliwie „Galeria” szeroko otworzyła swe łamy dla autorów ukraińskich, stało się to jeszcze zanim na Ukrainę spadły wszystkie nieszczęścia związane z rosyjską agresją, a potem wojną na pełną skalę. Prezentowaliśmy na naszych łamach m.in. Wasyla Słapczuka, Wołodymyra Harmatiuka, Wasyla Machnę, Wołodymyra Jaworskiego, Annę Bagrianę, Romana Małynowskiego, Teodozję Zariwną, Irinę Ciłyk, Olesię Mamczycz. Niektórzy z nich wydali lub wydadzą u nas swe książki – mam na myśli W. Machnę, W. Jaworskiego i R. Małynowskiego oraz I. Ciłyk i T. Zariwną. Planujemy też wydanie autorów jeszcze u nas nie prezentowanych. Wszystko to możliwe jest z dwóch względów – dofinansowania przez Ukraiński Instytut Książki i współpracy z Bohdanem Zadurą. Oczywiście to warunek *sine qua non*, bo jest jeszcze praca zespołu: Barbary Strzelbickiej, Olgi Wiewióry, Jacka M. Krasuckiego, Andrzeja Chmielewskiego, no i – piszącego te słowa. A przecież u zarania „Galerii” są też autorzy białoruscy – Uładzimir Niaklajeu i Jazep Januszkiewicz. Wydawanie autorów białoruskich (oczywiście niezwiązanych z obecnym reżimem władającym Białorusią) nie jest łatwe – brak jest wsparcia finansowego, autorów prześladowanych myli się w kręgach decyzyjnych z reżymowymi. A jednak podejmujemy to wyzwanie, będziemy chcieli wydawać książki naszych białoruskich przyjaciół, dla których Polska (a także Litwa) stanowi jedyny azyl i podporę. W celu prezentacji książkowych przekładów stworzyliśmy serię wydawniczą „słowa/granice” i będziemy go wypełniać przede wszystkim autorami ukraińskimi i białoruskimi. W „Galerii” 68 prezentowaliśmy wiersz białoruskiej poetki Nasty Kudasowej o Czerwonym Kościele w Mińsku, w tym numerze przedstawiamy wiersz Aksany Juczkowicz.

Bardzo się cieszymy, mogąc zamieścić relacje z ciekawych wydarzeń kulturalnych,

w tym zwłaszcza literackich – zgodnie z porzekadłem o bliższej ciału koszuli. Zauważamy przy tej okazji interesujący (niepokojący?) trend: o ile przed planowanym wydarzeniem informacji o nim jest wiele, o tyle potem znaleźć można co najwyżej fotografie oraz filmiki. Czyżby szkolna umiejętność pisanie sprawozdania była ćwiczona niepotrzebnie? A może źle? Tym bardziej więc czujemy się w obowiązku opisywać to, co ulotne, przetwarzając obrazy w słowa, by język, a nie obraz, nadal stanowił podstawowy środek komunikacji międzyludzkiej. Dlaczego? Bo wymaga myślenia symbolicznego i umiejętności abstrahowania, a kompetencje niećwiczone – zanikają.

Kontynuując wątek edukacyjny: skorzystaliśmy z pretekstu, jakim jest Dzień Dziecka, zamieszczając dział „Pokój dziecięcy”, a w nim lirykę, epikę i dramat. Nie zamierzamy na stałe utrzymywać tego pokoju, nie chcąc konkurować z czasopismami młodzieżowymi (pewnie przegralibyśmy z kretelem...).

Zamierzamy za to wziąć udział w projekcie „Łączy nas rzeka”, dofinansowanym ze środków „Śląskie Lokalnie”. W jego ramach „Galerię” nr 71 chcemy poświęcić motywowi rzeki, a szczególnie – Warcie, która ze wszech miar zasługuje na uwagę. Planujemy też w ramach projektu pozyskać fotografie z prywatnych zbiorów i wyeksponować je na plenerowej wystawie, jak również przeprowadzić akcję plakatową „Przywracanie Warty Częstochowie”. Chcemy wątkiem rzeki zainteresować zarówno naszych stałych współpracowników, jak i twórców, którzy dotąd nie publikowali w Częstochowskim Magazynie Literackim „Galeria”. Po szczegóły odsyłamy na naszą stronę: www.galerialiteracka.pl.

Tymczasem zaś życzymy Państwu przyjemnej i satysfakcjonującej lektury naszej „siedemdziesiątki”!

BOGDAN KNOP, BARBARA STRZELBICKA

KALENDARIUM kwiecień – czerwiec 2024



KWIECIEŃ

- 3.04** – wręczenie stypendiów Miasta Częstochowy – Muzeum Częstochowskie, Ratusz;
- 4.04** – wernisaż wystawy „Sztuka wkręcona” – Filharmonia Częstochowska;
- 6.04** – zmarła Zofia Kucówna, aktorka i pisarka;
- 7.04** – wybory samorządowe;
- 8.04** – wernisaż wystawy fotografii Krzysztofa Świtalskiego „Perły Jury” – ROK;
- 12.04** – wernisaż wystawy malarstwa Barbary Czarnockiej – RODN „WOM”;
- 12.04** – wernisaż wystawy Moniki Krzakiewicz, Tomasza Klimczyka i Haliny Nowickiej „Do trzech razy sztuka” – Konduktorownia;
- 13.04** – wernisaż wystawy „Stworzone, by cieszyć. Rzeźby i zabawki” – Muzeum Częstochowskie, Pawilon Wystawowy;
- 13.04** – wernisaże wystaw: Kamili Świerad „formyOrganiczne” i malarstwa Jacka Frąckiewicza – OPK „Gaude Mater”;
- 14.04** – zmarł Zbigniew Mikołajko, filozof religii, publicysta;
- 15.04** – zmarła Jadwiga Staniszkis, socjolożka, publicystka;
- 18.04** – wieczór autorski Wojciecha Kołsuta – Klub „Tori”;

- 19.04** – wernisaż wystawy malarstwa Marka Laskowskiego „Transformacja” – Muzeum Częstochowskie, Pawilon Wystawowy;
- 21.04** – II tura wyborów samorządowych;
- 23.04** – wernisaż wystawy Katarzyny Kołacz „Listy” – Miejska Galeria Sztuki;
- 24.04** – premiera „Galerii” 69 – Dom Poezji – Muzeum Haliny Poświatowskiej;
- 24.04** – wernisaż wystawy fotograficznej „Jurańska przyroda w obiektywie” – Muzeum Częstochowskie, Ratusz;
- 26.04** – wernisaż wystawy malarstwa Rafała Borcza „Cisze przyrody” – Miejska Galeria Sztuki;
- 26.04** – wernisaż wystawy grupy „Werniks” „Kolaż niezwykle i kocie impresje” – Klub CSM „Nasza Praca”;
- 27.04** – wernisaż wystawy poplenerowej „Mazuria’10” – Konduktorownia;
- 28.04** – spotkanie autorskie z malarką Magdaleną Snarską – Muzeum Częstochowskie, Galeria Dobrej Sztuki.

MAJ

- 6.05** – zmarł Jacek Zieliński, muzyk;
- 7.05** – zmarł Jan Ptaszyn Wróblewski, muzyk jazzowy;
- 9.05** – wernisaże wystaw malarstwa: Wernera Lubosa, Elżbiety Kuraj i Mateusza Derdy – Miejska Galeria Sztuki;
- 10.05** – wernisaż wystawy pokonkursowej „Cyberfoto 2024” – ROK;
- 10.05** – wernisaż wystawy „Duo Women Mezoic: Jurczyk/Jabłońska” Agnieszki Jurczyk-Wojtak i Doroty Jabłońskiej-Gralak – Konduktorownia;
- 11.05** – wernisaż wystawy malarstwa Julii Sznober „Odejskie” – OPK „Gaude Mater”;
- 13–18.05** – Juwenalia Częstochowskie;
- 14.05** – udostępnienie wystawy „Artyści Grupy Krakowskiej” – Muzeum Częstochowskie, Galeria Dobrej Sztuki;
- 14.05** – zmarła Alice Munrou, pisarka, laureatka Nagrody Nobla;

- 15.05** – spotkanie wokół książki *Zofia Kossak – bezcenne dziedzictwo* red. E. Hurnik, A. Wypych-Gawrońska, E. Dziewońska-Chudy – Muzeum Częstochowskie, Ratusz;
- 16.05** – spotkanie z Wojciechem Siudmakiem i wernisaż wystawy „Omnis” – Miejska Galeria Sztuki;
- 18.05** – prapremiera spektaklu „Cudowne” – Teatr im. A. Mickiewicza;
- 18.05** – Noc Muzeów w Muzeum Częstochowskim;
- 18.05** – wernisaż wystawy poplenerowej „Częstochowa&Jura vol.3” – Muzeum Częstochowskie, Rezerwat Archeologiczny;
- 19.05** – zmarł Zygmunt Rolat, mecenas sztuki, działacz na rzecz dialogu polsko-żydowskiego, Honorowy Obywatel Częstochowy;
- 21.05** – zmarł Jan A.P. Kaczmarek, kompozytor, twórca muzyki filmowej;
- 22.05** – spotkanie autorskie z Arkadiuszem Franią i promocja książki *Tadeusz Gierymski: „pisanie wierszy to umieranie po kawałku”* – Muzeum Częstochowskie, Ratusz;
- 25.05** – wernisaż wystawy wspomnieniowej malarstwa Stefana Charbowskiego – OPK „Gaude Mater”;
- 26.05** – zmarła Ludwika Wujec, działaczka opozycji demokratycznej;
- 26.05** – Walne Zebranie Towarzystwa Galeria Literacka;
- 31.05** – wernisaż wystawy malarstwa Maćka Lubaszki – Konduktorownia.
- 7.06** – spektakl warsztatowy „Kabaret. Próba” – Teatr im. A. Mickiewicza;
- 7.06** – koncert uczniów Jasnogórskiej Sceny Muzycznej – OPK „Gaude Mater”;
- 7–9.06** – Hot Jazz Spring 2024 – Filharmonia Częstochowska;
- 9.06** – wybory do Parlamentu Europejskiego;
- 10.06** – wernisaż wystawy materiałów archiwalnych „Moja Promcia – 50 lat Promenady Czesława Niemena” – Archiwum Państwowe;
- 13.06** – spotkanie z Wojciechem Jagielskim – Biblioteka Publiczna, Filia nr 9;
- 14–16.06** – Europejskie Dni Archeologii – spotkania w Starym Ratuszu i Rezerwacie Archeologicznym – Muzeum Częstochowskie;
- 15.06** – zmarła Grażyna Pietruszewska-Kobiela, literaturoznawczyni;
- 15.06** – spotkanie autorskie z Jakubem Bartekim i promocja książki *Czeskie piwo* – OPK „Gaude Mater”;
- 15.06** – wernisaż 100. wystawy indywidualnej Bartosza Frączka – Konduktorownia;
- 19.06** – zmarła Halina Bortnowska, filozofka, teolożka i publicystka;
- 20.06** – zmarł Donald Sutherland, aktor;
- 21.06** – wernisaż wystawy „Genus Triplex” Szymona „Sapera” Maliszewskiego – Konduktorownia;
- 22.06** – wernisaż wystawy malarstwa Oskara Lubosa „Prześwity” – OPK „Gaude Mater”;
- 26.06** – „Aleksander Fredro dawniej i dziś” – spotkanie zorganizowane przez Towarzystwo Literackie im. A. Mickiewicza Oddział w Częstochowie i Muzeum Częstochowskie – Dom Poezji, Muzeum Haliny Poświatowskiej;
- 27–30.06** – III Festiwal im. Piotra Machalicy;
- 28.06** – wernisaż wystawy jubileuszowej Towarzystwa Przyjaciół Sztuk Pięknych im. Wandy Wereszczyńskiej – Muzeum Częstochowskie, Pawilon Wystawowy;
- 20.06–25.08** – Letni Jurajski Festiwal Muzyczny 2024.

BARBARA STRZELBICKA

Barbara Strzelbicka

PORTRET NAMALOWANY Z PRZEJĘCIEM



A. Frania i B. Strzelbicka, foto ze zbiorów Muzeum Częstochowskiego

TADEUSZ GIERYSKI JEST DLA ARKADIUSZA FRANI poetą szczególnym. Był „patronem” jego poetyckiego debiutu w 1993 r. (w ubiegłym roku przypadł więc jubileusz 30-lecia pracy twórczej A. Frani), potem bohaterem eseju „*Solidne niefarbowane retro*”. O poezji Tadeusza Gieryskiego, wydanej w formie książkowej przed dwudziestu laty, zaś 22 maja b.r. promowana była książka *Tadeusz Gieryski: „pisanie wierszy to umieranie po kawałku”*. Należy zaznaczyć, że w swojej twórczości krytycznoliterackiej Arkadiusz Frania często pisał o Tadeuszu Gieryskim, który szerzej jest znany – niesłusznie – jedynie jako „odkrywca talentu Haliny Poświatowskiej”, przeciwko czemu protestują – z różnych powodów – brat poetki Zbigniew Myga i Arkadiusz Frania, który uważa, że pomijana jest twórczość poety oraz jego zasługi jako animatora życia literackiego Częstochowy.

Książka, zdaniem jej autora, stanowi rodzaj podsumowania albo zamknięcia pewnego etapu działalności krytycznoliterackiej dotyczącej poetyckiego życia współczesnej Częstochowy. Działalność ta została doceniona przez władze miasta i państwa: przypomnijmy, że Arkadiusz Frania w 2023 r. otrzymał Nagrodę Prezydenta Częstochowy oraz Nagrodę Ministra Kultury.

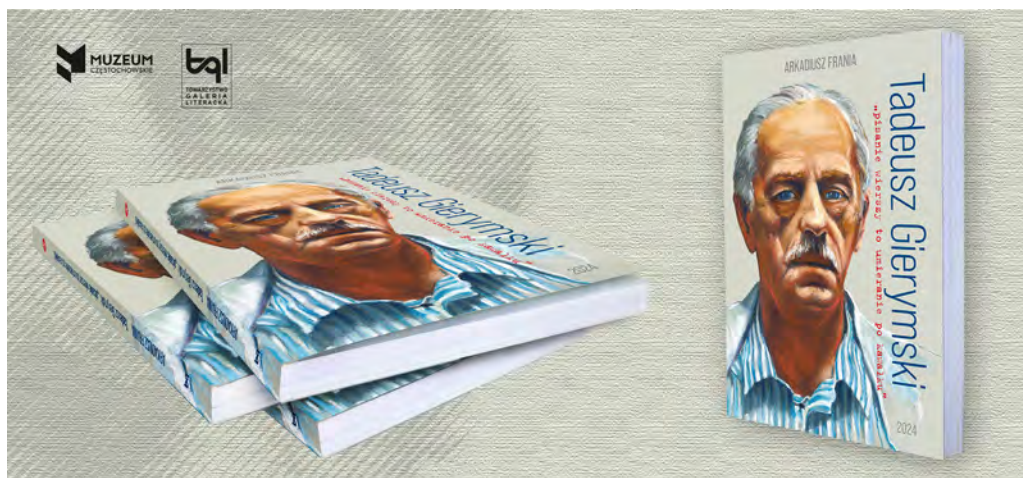
Książka o Tadeuszu Gierymskim została przygotowana z wielką starannością. Na okładce został umieszczony portret bohatera, namalowany ręką Jacka M. Krasuckiego, zainspirowany fotografią wykonaną przez Janusza Mielczarka. Każdy rozdział ujęty jest w klamrę słów – cytatów z tekstów T. Gierymskiego oraz w grafikę przedstawiającą jego sylwetkę.

Tytuły rozdziałów stanowiły pretekst do rozmowy podczas spotkania autorskiego 22 maja b.r. w Sali Reprezentacyjnej Ratusza, które miałam przyjemność prowadzić. Uzasadnieniem dla takiego trybu był cytat z *Portretu Doriana Graya* Oscara Wilde’a: „Każdy portret malowany z przejęciem, jest portretem malarza, nie modela”, a w książce portret został stworzony z przejęciem niezwykłym, co zostało podkreślone przez autorów posłowi: Janusza Pawlikowskiego i niżej podpisaną.

I tak Arkadiusz Frania w kontekście słów Tadeusza Gierymskiego opowiadał o swojej znajomości z nim, ale przede wszystkim o swoim pisaniu. Jest poetą, prozaikiem, wytrwale uprawia krytykę literacką i eseistykę, ale można śmiało stwierdzić, że całe jego pisarstwo związane jest z poezją. Wydał osiem zbiorów poezji, trzy książki prozatorskie i 10 książek krytycznoliterackich. Najnowszy tomik poetycki *kropka i kropła* (Norbertinum, 2023) znalazł się w dwudziestce tomów nominowanych do Nagrody Orfeusza – rozstrzygnięcie nastąpi w lipcu. Podkreśla, że lubi stosować „płodozmian” – to w odpowiedzi na pytanie o miejsce tekstów piosenek w jego twórczości. Ma też nadzieję, iż książki o życiu poetyckim Częstochowy posłużą jako przyczynek do badań literaturoznawczych. Wymieniając tych, którzy mieli wpływ na kształtowanie się jego twórczej osobowości, A. Frania oprócz Tadeusza Gierymskiego wymienił Waldemara Skrzypczyka, nauczyciela i mentora, recenzenta swoich pierwszych tomików. Zapytany, co jest dla niego jako artysty dosłownie i metaforycznie Ziemią Obiecaną, odparł, że spokój. Jeśli zaś chodzi o plany na przyszłość, to Poeta ma zamiar skupić się na własnej twórczości.

Podczas spotkania czytane były wiersze Tadeusza Gierymskiego – te, które są szczególnie charakterystyczne dla jego twórczości i ważne dla książki. Ich lektura pozwoliła zaobserwować, jak wnikliwie przeanalizował je Arkadiusz Frania, ale też można było zauważyć motywy łączące obydwu Poetów.

Goście spotkania wyrazili uznanie dla pisarstwa Arkadiusza Frania i jego zaangażowania w podtrzymywanie pamięci o Tadeuszu Gierymskim, którego wiele osób zachowało w pamięci. Spotkanie zakończyło się rozmowami nieoficjalnymi oraz składaniem autografów przez Arkadiusza Franię na egzemplarzach książki.





Roman Tińno fiejuk „Na straży”

Adrian Musiał

SŁOWOTOK – wybór

ZADOŚCUCZYNIENIE

zapłaczą oczy
dotychczas porażone blaskiem swojej chwały,
rozpołowi się serce,
które raniło innych,
zachoruje na ból istnienia pycha
rozdęta w swoim jestestwie,
zasmakują goryczy usta,
dziś złożone w słodkim uśmiechu,
odtrącone zostaną dłonie
rozkładane w geście bezradności,
zaciążą na barkach słowa,
które tak łatwo dziś kásają,
a oddech strachu,
stanie się nieprzyjacielem dnia
i przeklętym kochankiem nocy,
bo oliwa sprawiedliwa
zawsze na wierzch wypływa,
w zadoścuczynieniu za dziś,
które nie będzie spokojnym jutrem...

ZASKOCZONE ZASKOCZENIA

niecodzienne codzienności przypadki,
wyjątki od reguły,
nierozsądny rozsądek
i bezzasadne zasady...
zaskoczone zaskoczenia,
zawstydzone, pewne siebie spojrzenia,
śmiejące się uśmiechy
i wyciągnięte cofnięte dłonie...
bezsprzeczne sprzeczności,
huragany spokojnego oddechu
i pulsujący puls,
co otrzeźwia upojone serce...
wypowiedziane słowa,
co nie chcą mówić,
niedopowiedziane niedopowiedzenia
i magia magii chwil...
taka to niecodzienna codzienność
niezmienna zmienność...

JA

idę krokiem własnym,
czasem duktem ciasnym,
innym razem autostradą,
nawet jak inni kłody kładą...

idę wprost przed siebie,
tam gdzie nikt o mnie nic nie wie,
tam gdzie jestem sam ze sobą,
ze złamaną myślą, z pełną głową...

mijam godziny, chwile i dnie całe,
codzienne robiąc rzeczy małe,
i te błahe, grzeszne, święte,
depcząc plany pominięte...

tęskniąc za tym, co jeszcze nie było,
wspominając, jak się kiedyś żyło,
tuląc ludzi co odeszli,
przyszli, byli, no i przeszli...

żałując decyzji nie podjętych,
szans sprzed nosa zwiniętych,
i tych zaprzepaszczonych celowo,
kiedy przeciwko słowu było słowo...

(Adrian Musiał, *Słowotok*, Wydawnictwo
Agrafka, Przecław 2024.)

Elżbieta Jeeziorowska-Wróbel MOŻE ZACZAĆ OD NOWA

Kładę się o zmroku
gotowa na sen
ale nie wiem
czy nadejdzie

budzę się o świcie
gotowa do życia
ale nie mam pewności
czy mnie nie zawiedzie

SIERPIEŃ '23

Może zacząć od nowa
przysposobić ciało –
zamydlić mu oczy
żeby nie widziało
uszy zatkać woskiem
usta zakneblować
zasnuować milczeniem
unieruchomić nogi
solidnie wkopać w ziemię
spętać ręce powrozem
unicestwić nadzieję
ciało
ubrać w zgrzebną szatę
i skropić olejem aby
łatwiej je przepychać
przez tryby życia

czy można zacząć od nowa
– dla kolegi pytam

SIERPIEŃ '24

Łatwo powiedzieć
– żegnam
nie do zobaczenia
zawinąć się na pięcie
wspomnienia wygumkować
(choć wżarły się w pamięć
jak w mózg matki ziemi
korzenie sosnowe)
zabrać to i owo
torebkę kapelusz może nawet
sukienkę której nie założę
pantofle na obcasie porośnięte
kurzem
bo może były za ciasne
a może za duże
lub nie było okazji
żeby je ponosić
trudno odejść tak sobie
gdy krew ciągle gorąca
głowa pełna marzeń
ma życia niedosyt

WRZESIEŃ '23

TRESERZY WYOBRAŹNI

Życie to cyrk z wielką areną
pełną błaznów cudaków wszelkich
każdy chce być najlepszy
wielki i zachwyty budzić
jak to się trudzi jak wysiła
jaki jest zdolny szybki zwinny
lepszy od innych
jaki przebiegły w akrobacjach
i sztuczkach które pojąć trudno
i nie jest nudno wciąż zaskakuje
coś się dzieje
coś się zmienia

życie to cyrk wielka arena
zdziwieniem pęcznieje
ale jest rzeczą oczywistą
że najważniejsi są ci którzy
szykując dla nas widowisko
tak umiejętnie z wielkim sprytem
tresują
naszą rzeczywistość

życie to cyrk

STYCZEŃ '24

Srebrny talerz
na czarnym obrusie nieba
pełen moich pytających spojrzeń
ostatnia wieczerza przed zejściem
w labirynt snu
może spotkam w nim Demokryta
nakarmię się jego wiedzą
jak oswajać życie
żeby nie kęsało
a może trafię na Persjusza
da mi lekcję satyry żebym mogła
traktować życie jak farsę
którą można beztrudno
odgrywać

srebrny talerz
na czarnym obrusie nieba
niezawodny hipnotyzer źrenic
uwalnia mnie od natłoku
skłębionych myśli

LUTY '24

Napuchło powietrze
pękło z hukiem
rozdeło płuca wiatru
z jaja grzmotu wykluło się
ptaszysko burzy

rozpłakał się
mój dzień

MARZEC '24

Bądź skandalistką

Weź się do kupy szara myszko
(mówią jej tacy i owacy)
szalej trać forszę i głowę
bądź pustą lalą modliszką
suką dziwką może
bądź kim nie jesteś
kim nie byłeś
zanurz się w błocie życia
bierz co los daje
nie wybrzydzaj
życie jak byka za rogi chwytaj
pij tańcz i szalej aż do rana
bo każda noc taka krótka
bądź jak kieliszek dobrego szampana
jak słodkiej pokusy nutka
bądź skandalistką
i nie zatrzymuj się w biegu
a ci co teraz cię nie widzą
na pewno cię dostrzegą

KWIECIEŃ '24

Tadeusz Luterek SŁOWU DAĆ IMIĘ

SŁOWU DAĆ IMIĘ

Jakie mam słowu dać imię najpierwsze,
by uległe mu były rozbiegane wiersze?

Wiodło po wyobraźni górach i dolinach,
myśli manowcach, zwidach oraz rozpadlinach.

Nie opuszczało w chwilach samotności,
podczas snu, do którego trudno prawo rościć.

Obecne było w deszczu, burzach i przedświtach,
olśnieniach, gdy uroda jeszcze nieodkryta.

Czy można jeszcze łączyć z nim nadzieje,
kiedy czas jest niepewny i umysł się chwieje?

NA LOS SZCZĘŚCIA

*Przybądź, szczęście, rozum będzie
(przysłowie)*

Idzie Łubińskiej

Zawitaj, szczęście, powiedz swoje imię,
ukryte zwykle jak świerszcz za kominem.

Odsłoń nieznane kształty, twarzy rysy,
natchnienia serca i jego kaprysy,

Te twoje nieba od błękitu modre,
obfite w dary, wyborne i szczodre.

Kiedy się zjawisz i smutki uleczysz,
wypatrzysz pośród domowych pieleszy?

A gdy nie padnie słowo odpowiedzi,
los się do ciebie najpewniej uprzedził.

W SŁOWA POCHODZIE...

W słowa pochodzie kroczymy, nierówni,
za głośni, cisi albo małowówni

i piór niesiemy skrzydlate sztandary,
nim zapiszemy papieru hektary,

by powstawały strofy oraz frazy,
hojne w rodzime i obce wyrazy,

czy te poletka, niwy, arealy,
wejdą w przestronne poezji obszary?

miejsce właściwe czy znajdą wyklęci,
niezrozumiani, wszak już wniebowzięci?

TYLE CO NIC

*nic płodzi nic
nic wychowuje nic
nic czeka na nic*

Tadeusz Różewicz, *Nic w płaszczu Prospera*

nic bez znaczenia
nic bez właściwości
nie widzi nocy
nie szuka jasności

nic co z niczego
w niczym się nie spełnia
nieprzeniknione
jak wielkość i głębia

twarz ma zastygłą
twarz unicestwienia
rodzi je bezmiar
a pochłania ziemia

niekiedy znakiem
to znów nic nie znaczy
jak ziarno piasku
jak głód dla zjadaczy

przenicowane
w salonach nie gości
pokorną sługą
w porządku nicości

łądy zatapia
na szczyty gór wznosi
gdy nic nie mówi
o łyk życia prosi

Zbigniew Szpruta

PORZUĆCIE WSZELKĄ NADZIEJĘ...

*Mojemu Uczniowi Fabianowi,
żeby nigdy nie był w Piekło*

do piekła nie zawsze schodzi się w Ciemnym Lesie
gdy osaczają Cię jarzące się w ciemności oczy zwierząt

Zawiść odsłania swe kły Pycha spręży się do skoku
Pożądanie wywala ociekający śliną język

nie zawsze jesteś jak Dante w towarzystwie Wergiliusza

piekielna turystyka wyzwala odpowiednią dawkę adrenaliny
i ta kojąca świadomość że nie jesteś jeszcze osądzony
i można bezpiecznie pozostać żadnym wrażeń voyeurem

jesteś sam
zazwyczaj przeoczasz mocno wyblakły napis Porzućcie wszelką nadzieję
którzy tu wchodzicie

Twoje ciało drży
białko intuicji podpowiada czekające Cię tortury

piekielny wir rozpędza się coraz szybciej
ręce potępieńców lubieżnie Cię dotykają
macają szarpia

lej zwęża się
piekielny wir pędzi
nie czujesz ognia wlewającego się do wnętrzości

na samym dnie
przepalają Cię lodem na wylot
zimne oczy Lucyfera

WSZYSTKO ALBO NIC

panny mądre spotykają panny głupie
znana scena z Ewangelii o tych co zapomnieli oliwy

dla mnie to opowieść o stracie

straciły wszystko pozostały za bramą
życia wiecznego w blasku chwały

nie dla nich słodki zapach róż z rajskiego ogrodu
(przechadza się tam często Matka Boska)

kolce strzał w ciele Świętego Sebastiana
wyjmuje je troskliwie Miłosierny Samarytanin
przemywa rany oliwą i winem

i to co najpiękniejsze
wirujące kręgi anielskich chórów
subtelne dźwięki i delikatne światło nimbów świętości

odchodzą w cień panny głupie
z piasku dłoni wolno sypie się nicość

Marian Zygmunt Piątek

WIERSE III

Z cyklu: Barwy i dale (fragmenty)

Rozkołysanie

Czas zmęczonych sekund
w nieustannym biegu.
Tykanie zegara mručeniem małych kociąt
w wielkim świecie traci łagodność.

Słońce w niskim ukłonie wieczorową porą
w dłoniach triumfuje lata piękne słowo.
Rozkołysane życiem wahadło
goni cieniem pulsujące światło.

Gdzie radość, gdzie żal,
tam w spojrzeniu wahadła dal
rozkołysana w obie strony,
od pożegnań po powroty.

Wiosennie

I
Wiosną zdziwień dostatek:
– dlaczego uśmiecha się bratek?
– kto pąki odwiedzi?
– kto z pyłkiem odleci?

na owadzim olimpie
zachwycenie pyłkiem

w odwiecznym locie ku nowej wiosnie
dziś olimpem białe jabłonie.

II
Wiosna – ambrozja – poezja słońca
liryczny eliksir – zielona euforia!

Szczęśliwa pszczoła bo dookoła
kwiecisty powab
– ambrozja ze słońca
konwaliowo – miłosna!

Cóż weselszego nad taniec motyli
kwiaty liryczny piją eliksir
– złota ambrozja
w motylach płasach!

Czerwiec

Żagiel snu w urojonych wymiarach
księżycowa pieśń prastara
w uniesieniu budzi ptasi świergot
czerwiec horyzontalnie zerknął
– w psalmie światła
sługa lata.

Miasto westchnień rozsiane na wzgórzach
gwar wczorajszych myśli wynurza
ulice jeszcze cicho – senne
czerwiec w horyzontalnym pięknie
rozdaje imiona kwiatom
dzieląc dostatek słońca uroczystą miarą.

Czerwiec za wyobraźni sterem
jako odważny kapitan – Serce
pośród burzliwych żywiołów na bocianim
gnieździe
panuje nad czasu rejsem.
Zobacz! – jak jaśniej psalmem światła
powitanie lata.

Niebieskość

O niebieskości! – patrzę w twą lekkość
zwycięska jasności ścieżko
wśród irysów chabrow niezapominajek
jesteś legendą zadziwionych światel.

Niebieska ścieżko dzieciństwa
oświetlona pamięcią domowego ogniska
ptaki wszystkich wiosen
śpiewają o twojej tęsknocie.

Dla malarzy barwy z ognia ciepłe
a ty jesteś z dali najgłębszej
w bezgranicznych widnokręgach
w ziemskiej bliskości daleko niebieska.

Z niebieskości w niebieskość
trwa kolorów święto
południowe winobranie światła
niebieską ścieżką zieleń rozgarnia.

Przypomnienie

Zobaczyć usłyszeć pośród oklasków
pośród pozdrowień:

- kobietę w tańcu
- pędzące w galopie konie
- dałą wiatru gnane żagle
- ptasim gwarem wypełnione świty
- południa wirujące walce
- zmierzchu ciemne błękity.

Krajobrazy wyobraźni
szukają zachwyty.

Tęcza

tęczę nosimy w sobie
w połowie z kropel zadumy
w połowie ze spojrzeń

barwy jasnych wyjaśnień
w czasie widnokręgach
w zdumionym darze życia
podziękowań tęcza
oparta na złaczonych Tajemnicą brzegach

Harmonia
między ciszą a muzyką
w barwach uniesienia

Pamięci Krzysztofa Klenczona

Krzysztofie – bratnia duszo spojrzenia
porty poezji tętnią akordami serca
postrzępione żagle wiatr żalem omotał
czas przystani zawołał: „10 w skali Beauforta!”

Nadzieja staje pierwsza w porcie – legendzie
jest melodią spotkań w młodzieńczej piosence.
W brzmieniu dawnych i nowych dni
muzycznych idei otwarte drzwi
stoimy tam z gitarami w rękach
wyobraźni widnokręgach
w rytmie tutaj – tam
daleki szlak.

Nikt nie policzy uderzeń struny.
W bliskości wspomnień latarnie zadumy.
Czas obieżyświatem niebieskiej przystani
Zapewnia: „Nie jesteśmy sami”.

Gitarowe frazy – świtów białe żagle
pędzą dalej – melodia zostaje.

źródła łez obmywają twarze ze zmartwień
wpadają w rzeki pamięci
bezkresem chwili
jak fale zbierane przez dłonie

nad nimi gwiazdziste noce
stąd do poranka daleko
ten przychodzi w długim zamyśleniu
słowa słonych tajemnic
błyszczą jak rosa

Anna Jędryka ROZMYŚLANIA WIOSENNE

WIOSNA I ZIMA

Za wcześnie zjawiała się wiosna,
nie w porę zakwitły kasztany,
matury dopiero za miesiąc,
a bez już kwiatami ubrany.

Na drzewach kwiat biały czereśni,
śnieg biały i białe bzu kiście;
pomieszał czas zimę i wiosnę,
na świecie jest białe i mgliście.

To zima wróciła za późno,
bo wiosna już w pełnym rozkwicie;
w swe szpony mróz nocą pochwycił
rośliny, co tętniły życiem.

Już drzewa nie cieszą zielenią,
zwisają bezwładnie z bzu kwiatki,
skurczyły się zmarznięte listki,
z czereśni opadły już płatki...

22 KWIETNIA 2024 R.

ROZMYŚLANIA WIOSENNE

Kocham wiosnę, gdy budzi się życie,
gdy po zimie długiej i ospalej
w końcu słońce zza chmur się wychyli,
by początek dać wiosnie wspaniałej.

Już powietrze zawiewa wiosennie,
krople deszczu mają zapach świeży,
choć nieraz chłód się zjawia za dnia,
choć nieraz mróz nocą uderzy.

Ale ziemia, wielce niecierpliwa,
puchnie, pęka albo się napręża,
by wypuścić wnet drobniutkie pędy –
znak, że wiosna już zimą zwycięża.

I przyroda zaczyna ożywać
jak dotknięta różdżką czarodzieja,
młoda zieleń się zjawia wokoło –
w sercach ludzkich rodzi się nadzieja.

9 KWIETNIA 2024 R.

WIOSENNA RADOŚĆ

Wychylają się nieśmiało z ziemi
najpierw skromne, małe pąki,
aby później barwne kobierce
ukwieciły pola i łąki.

Niestraszne im nocne przymrozki,
gdy budzi się w nich nowe życie.
Niestraszne im wiatry i chłody,
i mgły mleczne gęste o świecie.

Kiedy tylko przygrzeje słońce,
to rozgości się wiosna w pełni
i zabarwi puste ogrody,
i świat cały kwieciami zapełni.

Wtedy swoje główki wychyla
z miękkiej trawy małe stokrotki
i narcyzy, i tulipany,
i popłynię w dal zapach słodki.

I ożyją drzemiące drzewa,
kwiatem białym sypną kasztany,
bzy, magnolie upoją wonią
i świat będzie zaczarowany.

6 KWIETNIA 2024 R.

JAK WIOSNA PO ZIMIE

Jak okruch na wietrze,
Jak zwiewne powietrze,
Jak płynąca woda,
Jak świeża uroda,
Jak wiosna po zimie,
Tak wszystko przeminie...

Jak chwila ulotna,
Jak prędkość zawrotna,
Jak czerwień jesienna,
Jak miłość płomienna,
Jak wiosna po zimie,
Tak wszystko przeminie...

Jak przekwitła róża,
Jak wicher i burza,
Jak zachody słońca,
Jak iskra gorąca,
Jak wiosna po zimie,
Tak wszystko przeminie...

Jak poranna zorza,
Jak przypływy morza,
Jak echo przebrzmiałe,
Jak marzenia śmiałe,
Tak wszystko przeminie,
Lecz dobro zostanie...

17 CZERWCA 2020 R.

GDY BRZMI CISZA

I znowu cisza kołysze mnie.
Czy mi z tym dobrze, czy mi z tym źle?
I skupiam myśli na tym, co trwa,
co każda chwila nowego da.

Na kwiatku usiadł pszczoł cały rój;
to jest ich praca, to jest ich znój.
Ten szum zakłóca mej ciszy smak,
trochę za głośno, trochę nie tak.

Ale gdy ptasi rozległ się śpiew,
to w jednej chwili minął mi gniew
i mogę słuchać go cały dzień –
cisza umknęła daleko w cień.

I nadal pytam, czy dobrze mi,
gdy głucha cisza w mych uszach brzmi?
Czy pragnę ciszy, czy pragnę słów?
Lecz odpowiedzi nie znajdę znów.

2 MAJA 2024 R.

Andrzej Ostałowski

ŻYCIE – INACZEJ

Stan ducha

nad horyzontem słońce rozpałiłeś
niebo rumieńców nabrało
ciągle czuję serca bicie
lecz by żyć to mało

synogarlica na wieży topoli
wita dzień radośnie
budzę ciało które boli
wyciągam ręce ku wiosnie

na krótkim łańcuchu
nadzieja spętana wyje
gdy leżę w bezruchu
cenię to że żyję

świat ma swoje prawa
nie uznaje litości
wołania nie słucha
ale się złości

stary pień wypuścił gałązkę zieloną
ona się teraz błąka szuka ratunku
chwyci nadzieję
urośnie w konar z tego pąka

Skonfliktowane życie

w wysuszonym czerepie
starego ciała
dusza się telepie
zestarzeć się zapomniała

każdego wieczora
każdego poranka
jest jak młoda dziewczyna
w ramionach starego kochanka

nawet psy szczekają
na świat tak srogo
jak trudno wtedy kroczyć
szlakiem wspólnej drogi

między sobą często
robią minę srogą
a jest jak do tej pory
rozstać się nie mogą

nie wiem czy natura
naprawdę tego chciała
by powstał konflikt
duszy i ciała

Jak trudno

jak trudno napisać
coś mądrego
zachować styl i formę
by się podobało

wszystko głupie się wydaje
sensu tak mało
odeszła młodość
wszystko na różowo barwiła

dzień złudny współczesnością
opadła czarna
łzami wypełniona
zasłona starości

życie jak czerwone
soczyste jabłko pachniało
zerwane młodymi rękoma radości

teraz zwykłym ogryzkiem się stało
jak golonka ogryziona do kości

Pergaminowy poeta

leży starzec
w pergamin obleczony
pod którym błękitne
strumyki się wiją

wędrując palcem po ciele
bez trudu może policzyć kości

mieszka w nim jeszcze
cień dawnego zucha
chce poruszyć niebo i ziemię
ciało nie słucha

to poeta z Bożej łaski
napisać wiersz próbuje

kartka i długopis się śmieją
że czas marnuje

wiersz czeka pod zmęczonymi
życiem powiekami
chce biel papieru pokryć
wymarzonymi znakami

usłyszeć oklaski

Trwanie

jeszcze po świecie się pałętam
życiem i cierpieniem umęczony
każdy dzień do kolekcji zbieram
po nocy oczy otwieram
czekam gdy słońeczko wstanie
to moje przetrwanie

wcześnie przyszła wiosna
świat zielenią pokryła
kolorowe wianki plecie
ziarna radości rozsiewa po świecie
każdy soczysty owoc dostanie
liczę na dotrwanie

młodość beztrząsco gubiła
lata darowanej radości
przyszło opamiętanie
każdy dzień
tulę teraz z miłością
to moje trwanie

pytanie

jak się czuję pytasz
z serca i szczerze
ja też pytam
odmawiając pacierze

pocieszasz słowami
dobrze będzie
po słowie amen
słyszę ciszę wszędzie

Tobie dziękuję
za zatroskanie
po słowie amen
ufam Ci Panie

Małgorzata Franc

TRYPTYK POWSZEDNI

Pamiętki

Wspomnienia kruche
jak porcelana z dawnych
lat jak motyl zwiewne
lub kwiat zaczarowany
zasuszony w pamiętniku
Babci lub Mamy.

Jak daleko są od nas
i jak blisko przy nas
gdy zegar bije szybko
a czas tak przemija
jak puknięcie palcami
w blat lakierowany.

Szepty i kroki na
schodach lecz postać
w cieniu się chowa
blakną i gubią się słowa
wplecione w życia
zakątki pamiętki...

Żeby tak było

Nie chciała żeby
tak było nie
przeczuwała niczego
czas już nie był Jej
kolegom dzień zaczynał
się inaczej bez uśmiechu
a w rozpacz.

Przemijały wiosny
zimy gdzieś
zapodział się Jej miły
pomiędzy niebem
a ziemią lub inną
zimną przestrzenią.

Zniknęły sny
bezpowrotnie
i bez zbędnego hałasu
bały się wschodu
słońca i splendoru
naszych czasów.

Co mamy?

Co mamy z filiżanek
talerzyków na kruche
ciastka czajniczków
z dziubkiem w prawo
lub w lewo z figurki
pasterki wspartej o
drzewo.
Co mamy?

Co mamy z kartek
pożółkłych zeszytów
starych w twardych
okładkach, w pamięci
naszej nieposkładanych
trójka dla Ali czwórka
dla Tada.

Co mamy?
Co mamy z wianków
jasnych gałązek
bazi i kwiatów
obrazków świętych
nie bogatych gdy
jak w modlitwie
ręce składamy.
Co mamy?

20 MAJA 2024 R.

Janusz Strojec

OPAKOWANY VI-X

VI. Opakowany w przestrzeń

eksperymentu wykraczam
poza sprawdzone receptury
w diablím korowodzie dziejów
próbują rachunek sumienia zamknąć
w laurowym wieńcu z liści pokrzywy
uwitym
w kałużę roztopów wieczornych
podróży wychodźstwa powrotów
w niedomkniętych drzwiach
domu niczyjego co szumi
pogrzebowymi głosami płaczek
nie urodziłem się dla bitew
nie urodziłem się by Marsjasza
Apollo obdarł żywcem ze skóry
nie urodziłem się dla
bomb by zapisywać
karty Iliady potem już tylko
przydrożny krzyż

VII. Opakowany bezszelestnie

testuję nowe składniki i
narzędzia Na wzgórzu
wyglądam domu mego
dzieciństwa Wracam do niego
retrospekcja daje obraz
odległy zasmucony
jego już nie ma i
nigdy się nie powtórzy
ojciec matka dziadkowie
rodzeństwo pierwsze miłości
kwiaty z parapetów powędrowały
w dolinę rzeki
jak dzikie kaczki szukają
nowego impulsu Powroty
są pełne zawierzenia

VIII. Opakowany w tekturową iluzję

multiplikacji i rytmu Świat
geometrii bywa pozornie
hermetyczny Mój dom podparto ideą
nie ma już strzechy
nie ma też okiennic
na haku w wolnej strukturze

ktoś powiesił szczekanie psa
nie ma już psa
nie ma już świerka ani
buku czy brzozy spokojnej
strzechę wiatr rozhulał
a miauczenie kota przytulanki
głuchym dźwiękiem drażniła
chwila rozstania
powroty są niemożliwe

IX. Opakowany paradoksalnie

w poszukiwaniu jakiejś formy
doskonałości z ograniczeniami
na zgliszczach cerkwi
święty Jacenty liczy zmurszałe
belki co solą w oku Na
krzyżu drzemie święty Jakub
któremu cerkiew na katolicki
przerobili piórami gołębi
wiatr uczony
ślad cyrylicy dymną smugą
znaczy Wczoraj ogłoszono światu
żyj pij i ze wszystkiego
drwij sobie drwij
płomień cmentarnej świecy
otacza kopułę którą
zdarto z wieży pozostał
głuchy dźwięk dzwonu

X. Opakowany w naturę człowieka

paradoksalnie formę niedoskonałą
chodzę po porannej rosie
przede mną ogród nieplewiony
słonecznikowy ze złotogłową dynią
mleczna poświęta
sięgającą pomruku Jowisza
gdy ostatnim spojrzeniem
dotykam planety
może kiedyś znowu przytulę
usta do ust
być może spotkam ciebie
jeszcze kiedy zmienię
formę na doskonałą

Wiesława Owczyrek ACH, MIŁOŚĆ....

unoszę dłoń
by zacząć czarowanie
w powietrzu kreślę linie
wyznaczam Twoje trwanie

zacznę od oczu, które
rozmyły się w niebycie
i łuki brwi nad nimi
pieszczotą gładzę skrycie

zanurzam dłoń w Twoe loki
pachną mi letnim deszczem
i jeszcze gładkość skóry
i Twoje usta jeszcze

w powietrzu rzeźbię postać
realność wspomnień boli
ściskając nicłość w palcach
opuszczam dłoń powoli

Rozeszły się nasze drogi
ta wspólna dzielona na pół
choć drogi się nigdy nie zejdą
– Ty jesteś mój

A ja...
cierpliwa i zamyślona
u kresu drogi mej stoję
i wstecz się ogładam, i czekam
– bo ja
ja jestem Twoja

Mówiły mi wszystkie wróżki
słowa, co ranią i koją
że chociaż daleko od siebie
– Ty jesteś mój
i że ja
że ja jestem Twoją

wciąż nie mogę się z Tobą pożegnać
powiedzieć prostego – do widzenia
tyle lat już minęło, a przecież
między nami nic się nie zmienia

i nie umiem nakarmić tęsknoty
ona ptakiem szybuje po niebie
kroplą deszczu wydzwania Twe imię
czy odnajdzie gdzieś Ciebie? wciąż nie wiem

nie uciekaj mi, ptaku spłoszony
i niech deszcz tak głośno nie śpiewa
w takiej ciszy, w bezruchu skrzydeł
On usłyszysz moje – do widzenia

ZOSTAŃ

zostań ze mną,
nawet jeśli odszedłeś,
jeśli nie wrócisz
to zostań
wspomnieniem
złotą legendą
zostań ze mną

jeśli Cię nie ma
wśród ludzi żywych
tym bardziej zostań
bardziej bądź
gdy Bóg dozwoli
wróć myślą podniebną
i zostań ze mną

list Ci posyłam
list bez adresu
gdziekolwiek jesteś
niech wiersz do Ciebie
nigdy nie będzie
modlitwą daremną
zostań ze mną
ze mną bądź

OSTATNI TANIEC

Na motywach ballady Leonarda Cohena

Cóż, Leonardzie, próżne twoje słowa,
on wyrwał się z mych ramion
i nie wiem, gdzie on jest,
nie wiem, czy refren twój także go zaklina
– dance me To the end of love
tańcz mnie po miłości kres

Zostały słowa i ta melodia,
z kieliszkiem wina sącę
twojej ballady treść,
ostatni taniec wraca w szarych sennych widmach
– dance me To the end of love
tańcz mnie po miłości kres

Wiec, Leonardzie, tylko dla mnie śpiewaj,
przy twojej balladzie mogę
każdy smutek znieść,
znów widzę cienie dwa splecione w tańcu razem
– dance me To the end of love
tańcz mnie
tańcz mnie po miłości kres

ONA I ON

On
tylko dla niej
wybierze ze słów najpodlejsze
rozjątrzy jej ból
brzydotą określi
i tylko dla niej
urodzi nienawiść
zepchnie do piekła
urodę jej i wdzięk

i rozum jej
mieć będzie za nic
mówić jej o tym
w dzień, w noc i w dzień

spać będzie z nią
i z pogardą
czerpać z niej siłę
karmić swój brzuch
wmawiać jej nieustannie
że tylko przy nim
tylko w kagańcu
tylko przy nodze
można jakoś życie wlec

on przecież

on przecież
nie potrafi bez niej żyć
i nie może tego znieść

RACHUNEK

zapłać chociaż trochę
dorzuć się
już nie mam takich
zasobów cierpienia
aby starczyło
na dwoje

musiałabym wziąć
kredyt
w banku nie chcą
ze mną gadać
chwilówki
nie pokryją chwil
na które mnie nie stać

więc dopłać
dorzuć się
tak będzie sprawiedliwej
spłać
wszystkie zaległe rany

ULECZ MNIE

*Wiersz inspirowany obrazem Romana Pluty
„Dmuchawce”*

Ulecz mnie z miłości
niech odleci rozpierzchłym dmuchawcem
i tak samo lekka
tak samo nieważka
niech się zatraci
rozpłynie w powietrzu
każda cząstka Ciebie

Bo w krajobrazie
w którym nie istniejesz
nic już nie jest ważne
nie zakwitnie mleczem
to, co utracone
to, co zdmuchnięte
i przez wiatr porwane
Ulecz mnie, bo nie chcę
by po Tobie została
tylko pusta przestrzeń
i by spod obłoków
Twoje milczenie
spadło na me serce
rozpierzchłym dmuchawcem

WINO

Kiedy przychodzisz, by pić ze mną
wino, zatapiam czerwien w szkłe.
Wszystko staje się chłodem, dalekim,
północnym morzem, północnym lądem.
Masz usta czerwone jak krew, dlatego
uparcie milczysz, to ja muszę opowiadać
naszą zamierzchłą historię, napełniać
nią czas. Dopowiedz swoją wersję –
nadaremnie proszę. Zamieszkałeś
w szkłe, to teraz Twój dom. Kiedy
otwieram i zamykam drzwi, dziwisz się,
że jesteś tylko więźniem na niejasnych
prawach. Zmrok mi zabiera Ciebie, jak
to zrobił tyle lat temu. Kiedyś skończy się
czerwień wina, czerwien warg. Znowu
trzeba czasu, bym pojęła, że nic takiego
się nie stało. Że Ciebie nie ma.

GAŁĄZKA BZU

Na płyty kamienne zakrada się czerń,
wśród tui i cisów zamieszkał już cień

płacze staruszek, rozmawia z żoną,
żali się głośno, że zostawiono

go samiutkiego na bożym świecie,
bo żony nie ma i nie ma już dzieci

więc sam przychodzi i płacze znów,
i wciąż poprawia gałązkę bzu

złorzeczy żonie, że gdzieś uciekła,
może do nieba, może do piekła

a kiedyś była i się zdawało,
że niebo i piekło z nim zamieszkało

a teraz pustka, wśród cisów grób,
na nim samotna gałązka bzu

chciałby położyć się koło żony,
bo razem różniej, razem mniej boli

świat, który staruszka nie rozumie
i on nie może świata zrozumieć

więc z nią by pragnął wieczystych snów
i znów poprawia gałązkę bzu

Krzysztof Seweryn Wroński

SZTORMY IMPERIUM

bogowie muszą kipieć młodością
mówił Agryppa do Gajusza
i wznosił modły niebo prosząc
o tron cesarski po Tyberiuszu

milczały trawy i kamienie
lecz mury zawsze mają uszy
Eutychus – woźnica – nie chciał milczeć
doniósł co słyszał cesarzowi

tak tedy Herod los swój znając
loterię dziejów czuł przez skórę
czekał cierpliwie w więziennych murach
bo przecież stawiał na wygraną

i zmarł Tyberiusz a Kaligula
pamięć miał dobrą uwolnił więźnia
w darze królestwo – lekką ręką
tetrarchie Filipa i Lizaniasza

zazdrościł stary Herod – dziadek
i za namową Herodiady
ruszył do Rzymu za chciwość
dostał wygnanie do Hiszpanii

gdy zginął Gajusz skrytobójczo
„bucik” znoszony w dwóch przenośniach
Herod Agryppa celnie ważył
i los postawił na Klaudiusza

wygrywa ten kto czuje hazard
między senatem a cesarzem
zręcznym poselstwem się wykazał
na oczach tłumu pulę zgarnął

Klaudiusz był hojny ofiarował
całe królestwo jego dziada
dodając Trachonitydę i Auranitydę
wcześniejsze dary od Augusta

nad małą rzeczką zwaną Beleos
poszukaj jamy ze szklanym piaskiem
z „Drabiny Tyryjskiej” patrz przez ramię
historii wszak ona lubi się powtarzać

jesteśmy w trzecim tysiącleciu
cicho czekają nowi władcy
głowy im rosną do korony
zgaduj zgadula która...

może wystarczy szepnąć słówko
zaplanowanej denuncjacji
by szare liście niecných marzeń
chlusnęły pulsem złotej żyły

Zdzisław Opałko

UCZNIOWIE

Truizmem jest mówienie
 że radość nie rodzi się z naśladownictwa
 lecz z umiejętności rozwiązywania bieżących zadań
 z satysfakcji działań podjętych z własnych przemyśleń
 w uważności na to co się wydarza i zrozumienia
 że wszystko co się wydarza jest bez związku z rozumieniem
 a jednak to zdumiewające
 że tak wielu lgnie do czasu minionego
 kieruje się wskazaniem martwych mistrzów z przeszłości

Prawdziwi mistrzowie
 w trosce o swoich uczniów niechętnie udzielają wskazówek
 wiedzą że życie jest bogatsze i ważniejsze od wszelkich nauk
 o nim – nieustannie zmienia sytuacje
 przedstawia znaki informacyjne
 wkurza i chłoszcze pewniaków
 ironizuje z autorytetów
 dlatego bez pozwolenia mistrza
 bez jego żywej obecności codziennego przykładu
 nie można nie ma sensu być jego uczniem

Uczniowie zbyt często wykorzystują dawnych mistrzów
 do ukrywania własnej ignorancji
 unikania ryzyka i odpowiedzialności
 jakie wiążą się z kroczeniem własną drogą
 dlatego niezbyt chętnie dziękują starym mistrzom
 a nawet w duchu im złorzeczą
 co ukrywają przed innymi i sami przed sobą
 powołując się na tych co żyli w innych czasach
 z determinacją godną lepszej sprawy
 trzymają się kurczowo ich zimnego palca

Szeleszcząc impregnowanymi poglądami
 zapełniają wygodne miejsca na trybunach
 na których zasiadają stadami sobowtórów
 nie doświadczają radości z różności z samodzielności
 nie cieszą się barwami tęczy nurkowaniem wśród fal
 wolą stać za ogrodzeniem krzykliwymi sloganami
 próbują maskować swoją słabość pustką egzystencji
 korzystają tylko z powielanych gotowców
 nawet w autorskim monodramie trudno im zagrać siebie
 dlatego panie Robercie T. Kiyosaki
 piątkowi uczniowie muszą pracować dla trójkowych

Zdzisław Sierpiński

ŚPIEWAJĄC

HISTORIA OBRAZU

Jezus rzekł do ucznia „Synu, oto Matka twoja”
i od tej godziny uczeń wziął ją do siebie.
Ewangelia wg. św. Jana, 26,27

Januszowi Mielczarkowi

Matka Boska Pozłacana
Stała pod śmietnikiem chwilę,
Lecz przechodził jakiś facet,
co miał jeszcze trochę serca –

Ten uzalił się nad biedną.
Spojrzał miłością powszednią,
Wziął pod pachę jak aktówkę –
Ot i wszystko, i to tyle.

Kto Cię porzucił, jaki drań?
Komu się opatrzyłaś?
Kto Cię już przestał kochać czule?
Komu się już znudziłaś?

Mieszkała u niego dziesięć lat
W domku niebieskim w ogrodzie.
Czuwała tam nad kotami
W deszczu, mrozie, skwarze, chłodzie.

Aż ostatnio inny gość,
Co mu w duszy czule gra –
Adoptował Ją z tkliwości.
Reszta jest milczeniem – sza!

I przygarnął Ją jak matkę.
Bez namysłu, tak od razu.
Śpiewa pieśni Jej bez słów
Jak poeta do obrazu.

Rozmawiają tak w milczeniu
O swym losie – jak tułacze.
Tylko noc i wiatr ich słucha
I deszcz – litując się – płacze.

Relatywizm

liryka, liryka, / tkliwa dynamika, /
angelologia / i dal.
K.I. Gałczyński

Feudalizm?
Kolonializm?
Imperializm?
Nie!
Kapitalizm?
Socjalizm?
Idealizm?
Bęc!

Więc co?

Kropelkę smutku?
Kwiaty w ogródku?
Koniaku troszkę?
Róże i groszek?
Tak!

Słońce na niebie?
Chmurki w powiewie?
Kawałek Ciebie?
Chabry i mak?
Tak!

29 GRUDNIA 2023 R.

Jędrkowi S.

Jeśli cię zranił ktoś w serce –
Opluł słowem, dał w twarz.
Nie gotuj serca do zemsty!
Przemilcz to jeszcze raz.

Jeśliś obelgą dotknięty –
Nie pręż się do odwetu!
Nie ściskaj pięści w głąz!
Przemilcz to jeszcze raz.

Ktoś cię opuścił na zawsze –
Ktoś kto żył. Człowiek? Pies? Kot?
Płacz! Wszak żałoby to czas.
I przemilcz to jeszcze raz.

Lecz trzeba żyć! Niestety.
Cóż – życie – domek z kart.
Wczoraj, dzisiaj – może jutro?
Przemilczmy to jeszcze raz.

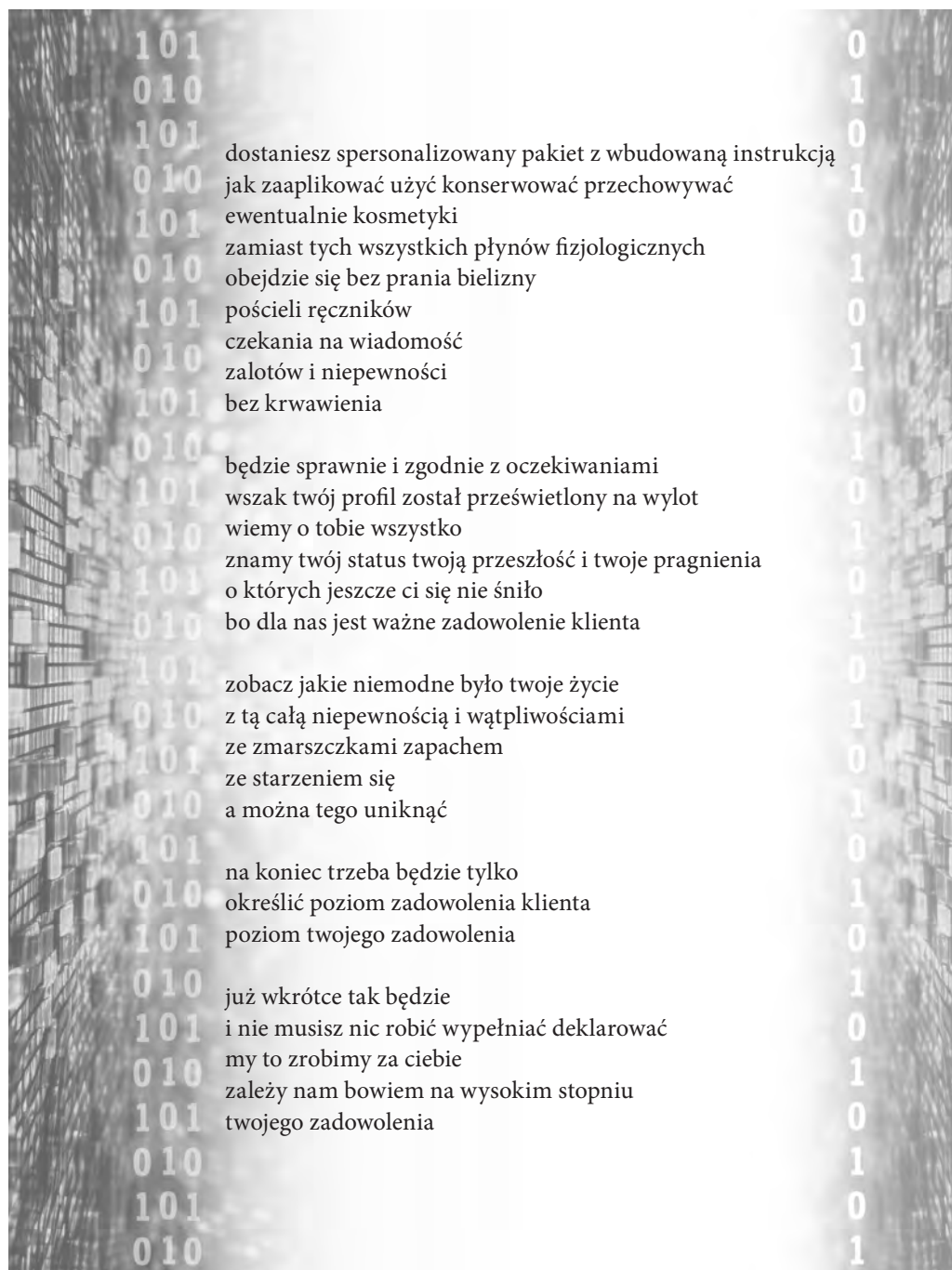
A kiedy Thanatos nitkę przetnie –
Czemu podlega każdy z nas,
Największą pogardą jest milczenie –
Przemilczmy to jeszcze raz.

23 STYCZNIA 2024 R.



Barbara Strzelbicka

pakiet



dostaniesz spersonalizowany pakiet z wbudowaną instrukcją
jak zaaplikować użyć konserwować przechowywać
ewentualnie kosmetyki
zamiast tych wszystkich płynów fizjologicznych
obejdzie się bez prania bielizny
pościeli ręczników
czekania na wiadomość
zalogów i niepewności
bez krwawienia

będzie sprawnie i zgodnie z oczekiwaniami
wszak twój profil został prześwietlony na wylot
wiemy o tobie wszystko
znamy twój status twoją przeszłość i twoje pragnienia
o których jeszcze ci się nie śniło
bo dla nas jest ważne zadowolenie klienta

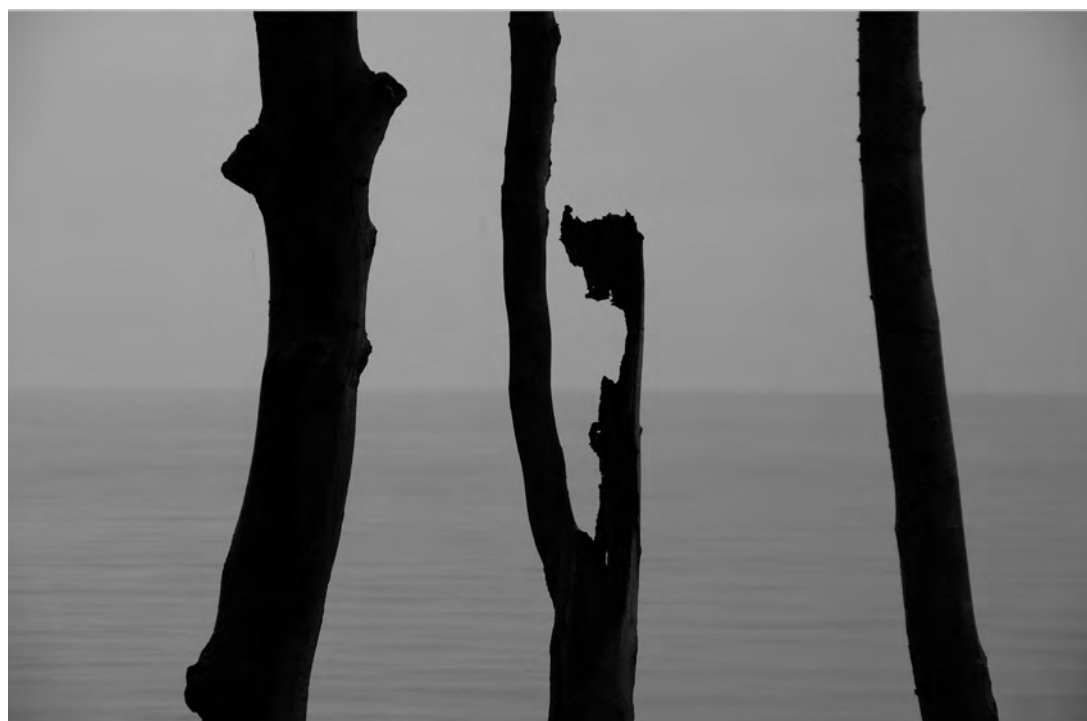
zobacz jakie niemożliwe było twoje życie
z tą całą niepewnością i wątpliwościami
ze zmarszczkami zapachem
ze starzeniem się
a można tego uniknąć

na koniec trzeba będzie tylko
określić poziom zadowolenia klienta
poziom twojego zadowolenia

już wkrótce tak będzie
i nie musisz nic robić wypełniać deklarować
my to zrobimy za ciebie
zależy nam bowiem na wysokim stopniu
twojego zadowolenia



Roman Timofiejuk, „Marzenie”



Roman Timofiejuk, „Krzyk”

Henryk Piech

RYMOWANE

QUI PRO QUO – wybór

A może coś sensownego...

Dożył wieku, kiedy nierealne
przystał nazywać marzeniami,
uznał też, że były one banalne
i tak stały się bezużytecznymi

Przystał naiwnie sercu przypisywać
odruchy zwykłego człowieczeństwa,
po co tej paplaniny tak nadużywać:
marzenia, szczerość, w serce patrzenia

W codzienności nic to nie zmienia,
a pusty balon wciąż się nadyma,
i ma się nijak do sensu rozumienia,
formy poezji także nie wzbogaca

W kółko to samo, jak kołowrotek,
więc co się kryje pod pustą formą,
o tych marzeniach odkręcony kurek,
twórczość spływa zwykle laną wodą

Czy poezja sprosta ekstazie

Pisanie o seksie to trudna sprawa,
czy to poezja, czy też tylko zabawa
ten trudny temat tyle ksiąg opiewa
nawet same nazwy to osobne dzieła

Te części ciała jak nazwać w poezji,
by nie otrzeć się o przerost herezji,
wulgaryzm i sprośność, utratę finezji,
by nie sprowadzić nadmiaru konfuzji

Czyny czy metafory, to wybór nie lada,
wyznania czy też miłosne pieszczoty,
wstyd, nadmiar czy tylko równowaga,
ukazać burzę uczuć i wstępne zaloty

Pominąć gry miłosne, bo czasu szkoda,
dla opisu urody i uczuć celna metafora,
no i jest też do wyboru miłosna ekstaza –
czy odda to jakiegokolwiek forma poezji

Miłość jak pokrzywa

Ktoś wymyślił, że bywa
jakaś miłość prawdziwa,
co to dokładnie znaczy,
tego nie wytłumaczył

Prawdopodobnie to jakieś
pięć minut, co wyśniłeś
albo pięć minut czyjeś,
lecz nie wiadomo, czyje

Dano mnóstwo przykładów
różnej miłości związków,
lub też różnych przywidów,
kończących się zwykle klęską

Pragmatycy to uśrednili
i do przyjaźni sprowadzili,
ta po grób jest już żywa,
choć czasem to pokrzywa

Nie daj się spalić miłości

Unikaj miłości, by dalej istnieć,
by nie być spalonym w zarzewiu,
nie dać się zmienić i unicestwić
lub wynaturzyć swego charakteru

Wypalisz się, nie wiesz kiedy,
miłość pozbawi cię twej woli,
usunie twe zdanie z rozmowy,
by realizować ambicje zabroni

Bądź dobrym, ale rozsądnym,
dawaj wyłącznie z umiarem,
inaczej nic z tego nie będzie,
będziesz wypalonym cygarem

Wszak lepiej uciec niż spłonąć,
uciec tam, w ermitażu otchłani,
odcierpieć swoje i wciąż istnieć,
więc mieć prawo do swoich zdań

Nosferatu amore

Żarliwą miłością do siebie pałali,
na co dzień ciągle się krytykowali,
nawet nigdy ze sobą nie sypiali,
tylko na siebie z ukrycia polowali

Pułapki na się wzajem zastawiali,
czatowali, bywało często w nocy,
w krzakach, zaułkach się ukrywali,
w potrzasku nie wzywali pomocy

Kiedy już w końcu na się wpadali,
do ostatniej kropli krwi się kochali,
tę do cna z siebie bywało wysysali,
światła dnia jednak się nie bali

On dniem malował ogrody róż,
wykorzystując miłosne wrażenia,
ona zaś maki wśród łąnów zbóż,
używali jako farby krwi utoczenia

Niby proste

Ma to być coś na niby,
na niby wzięliśmy ślub,
na niby byłam ci wierna,
aż po na niby grób

Na niby rozkwitła wiosna,
całowałeś moje niby nóżki,
od ciebie kwiat, niby żonkila,
takie to były niby sztuczki

Niby coś mi obiecywałeś,
niby słowa dotrzymałeś,
niby serio mnie kochałeś,
tak też się niby starałeś

Poszło jak po niby maśle,
wierni też niby przysiędzą,
co teraz z nami niby będzie,
siedzimy naprzeciw w sądzie

Miłości wątpliwości

Czy ja wiem,
czy my aż taką łaskę robimy,
że może kogoś kochamy
lub sympatię doń czujemy,
czy może prezent dostajemy?

Czy mogę być pewien,
że ktoś nas naprawdę kocha,
czy tylko próżność zaspokaja,
chce z nas zrobić niewolnika,
lub zwykłego sługusa, lokaja?

Czy to być może,
że ci rozmiłowani w sobie,
szczerym uczuciem pałają,
właściwie miłość pojmują
i czyisść uczuć nie nadużywają?

Czy mogę wierzyć
w dojrzałość swego uczucia,
w głębię miłości rozumienia,
w bezsens przymusu trwania
aż do wzajem zakatowania?

Ukłony dla nudy

Pisali też listy do siebie,
o tym co gorzkie i słodkie,
nigdy nie było jak w niebie,
nigdy nie było też strasznie

Ale już taki nawyk mieli,
więc nudą się też dzielili,
ona nikomu nie zaszkodzi,
była jak chleb na co dzień

Nawet zaczęli marzyć o tym,
żeby się nic nie zdarzyło,
wszak dobrze było im z tym,
co spokój gwarantowało

A kiedy zaczęło się coś dziać,
z reguły już dobrze nie było,
nie było się z czego śmiać
i źle się to zwykle kończyło

Oblicza czułości

Czułość to fala ciepła,
co zbliża się powoli,
grzeje jakby od środka,
potem nieco swawoli

Roznieca się dotykem
przygasa w bezruchu,
błaga urwanym słowem,
dotyka płatków uszu

Pyłkiem kwiatu opada
cicho i bezszelestnie,
to błogości melodia
na jawie, jakby we śnie

Złączone krople falują,
jest wzajem zrozumienie,
o niczym nie decydują,
grę toczą tylko cienie

Było, minęło

Oderwijmy się od pogody,
od kalendarzowej daty
i zmian oblicza natury
oraz aktualnej roku pory

To nudne zawodzenie
nie przystoi personie,
która twórcą się zowie,
bo treści i formy brakuje

Porzućmy wspomnianie
I smętne zawodzenie,
melancholijne kwękanie,
nie czasy teraz na nie

O miłości też już inaczej,
dość bełkotu o gwiazdach,
tak było kiedyś, dawniej,
po co wszystko powtarzać



Henryk Piech – emeryt (rocznik 1951), żonaty, ma córkę, autor 8 tomików wierszy. Jest informatykiem, przez wiele lat związanym z Politechniką Częstochowską i innymi uczelniami, autorem licznych publikacji, w tym 16 monografii, podróżnikiem, miłośnikiem literatury, maluje oraz gra na gitarze. Swoją twórczość publikuje na stronie: www.henrykpiech.pl

Janusz Jano Mielczarek

ZAPISKI OSOBISTE: NIE ZABIERZECIE KSIĘŻYCA

NASZA ZIELONA SYRENA – królowa poboczy polskich dróg tamtych czasów, pyrkając z fantazją dwucylindrowym motorkiem o strażackiej proveniencji, taszczyła nas skutecznie do celu. Andrzej z Bożeną, którzy bywali tu częściej, rozpoznawali już miejsca z przeszłości.

Mniej więcej w tym samym czasie, kilkanaście tysięcy kilometrów stąd, na drugiej półkuli w amerykańskiej bazie NASA na przylądku Canaveral, trójka kosmonautów dowcipkowała na luzie, lykając ostatnie kęsy śniadania przed pierwszą podróżą człowieka w kosmos. Był lipiec 1969 roku.

Dojeżdżaliśmy do Ukty, nigdy tu nie byłem. Ot, zapyziała mazurska wieś barwiona legendami wakacyjnych przybyszów, a potem ten ich Gąsior wcinający się w wody jeziora Niegocin, a na nim – dla nieznanomego wyglądające wielce tajemniczo – zabudowania i dom z zielonym piecem, gdzie w jednym pokoju mamy zatrzymać się na kilka dni.

Bożena wierzy, że z ksiąg, które właśnie układa na stoliku obok łóżka, wyszarpie nauki finalizujące jej studia. Andrzej jest przekonany, że „nakosi” taką ilość grzybów, które nawet po ususzeniu nie zmieszczą się do syreny, a ja wierzę w napisanie kilku sensownych stron jakiegoś tekstu. Mimo lata aura zapożyczona od jesieni: mżawki i mgły. Podpalamy w piecu, bo bielizna zawilgotniała, a do tego jeszcze obrzmiałe naszyjniki suszących się grzybów.

Niby każdy zajęty sobą, ale w tle poskrzypujący staroświecki telefunken, który niezmordowanie donosi, że dzisiaj człowiek będzie próbował postawić stopę na Księżycu.

O zmroku przebieram się w kalosze, sweter i kurtkę.

– A ty dokąd o tej porze? – pyta Bożena i pokazuje twarzą na rozgadane radio.

– Idę pogawędzić z astronautami – odpowiadam.

– To pozdrów ich od nas – mówi Andrzej, nakładając każdemu porcję należytą jajecznicy.

Wychodzę przed dom, niebem suną nisko zakrywające Księżyc obłoki. Na skróty próbuję dojść do łódki, żeby wydostać się na jezioro. Pośród nadbrzeżnych zarośli porusza się coś masywnego, oklejonego mgłą. Dyskretnie podświetlam drogę niewielką latarką: kilkanaście metrów ode mnie dwa szkliste paciorki oczu. Zastygły, nie odchodzą, nie poruszają się, wpatrzone w to moje światło i coś, co mogą zmiażdżyć. Ten spokój daje mi znać, kto tu jest gospodarzem. Słyszę mlaśnięcia przy wodzie, to „jego wielkość” napełnia swoje potężne ciało. Dalej stoję bez ruchu, po prostu boję się. Czuję się zakłopotany, ale on jakby już zakończył seans swojej wielkości. Powolnymi krokami, uważnie stawianymi, wybiega z wody, a potem słyszę już tylko trzask łamanych gałęzi.

Chmury powoli odsłaniają Księżyc, pakuję się do niewielkiej łódki i sięgam po wiosła. Wypływam na nocne jezioro. Spoglądam w niebo i pytam ich, czy są tam już, czy muszę jeszcze na to poczekać. Jestem w stanie, który moim przodkom się nie zdarzył i nie wiem, czy zdarzy się moim potomkom. Uspokajam się i powoli powracam do siebie.

Odbijam od drewnianego mola, mrużąc oczy i zaczynam nucić jakąś melodię... Ależ... przecież to wąż z mojej piosenki o Księżycu, którą napisałem dla teatru studenckiego w 1962 roku do programu „Przeważnie niepoważnie”. Dwa lata później, na dwudziestolecie PRL zapraszają mnie z nią do galowego programu kultury studenckiej, który ma być prezentowany na warszawskim Mariensztacie. Okazja całkiem, całkiem, bo towarzystwo ciekawe, między innymi:

Teresa Tutinas z wrocławskiego „Kalambura” z piosenką „Na całych jeziorach ty”, Anna German z tej samej grupy z piosenką o Eurydykach tańczących, Tadziu Chyła z gdańskiego „Co Nieco” z „Cysorzem” i piosenką o Dreptaku. Są też inni, no i ja ze swoim „Księżycem”.

Mieszkamy na Jelonkach w opuszczonych niedawno barakach po budowniczych Pałacu Kultury i Nauki.

Mój „Księżyc” spodobał się Adamowi Sławińskiemu, wówczas kompozytorowi Agnieszki Osieckiej, proponuje nagrać go w studio Polskiego Radia na Mysliwieckiej przy akompaniamencie kwartetu Namysłowskiego.

... Choćby rakiety w niebo leciały,
Choćby nie było już gwiazd,
On pozostanie śmieszny i mały
Jak stary rupieć wśród nas,
Czasem głupawy, czasem liryczny,
Nocny Don Juan, łazik kosmiczny.

Nie zabierzecie Księżycza, nie zabierzecie i cześć!
Zawsze zostanie w ulicach, po dachach włócząc się w mieście.
Nie zabierzecie... i cześć!

Próby do gali trwają do późna w noc, tutaj towarzyszą mi muzycy krakowskiej kapeli „Jazz Band Ball”.

W świąteczne przedpołudnie czeka nas obowiązkowe przejście Placem Defilad przed obliczami: Nikity Chruszczowa, towarzysza Wiesława i pozostałych wasali z komunistycznego łagru. Mimo kilkusetmetrowej odległości coś pokrzykują ku nam. Otrzymują w zamian podobne, poparte frenetycznymi oklaskami: „Niech żyje władza, która nam nie przeszkadza..., niech żyje!... niech żyje!”.

Znowu sięgam do wiosen. Za niewielkim cyplem z prawej strony – światła, to pawilony studenckiego ośrodka Politechniki Warszawskiej, płynę tam. Zostawiam łódkę na brzegu, zaglądam przez okna. Podchodzę bliżej, przy stolikach młodzi ludzie grają w karty, czytają książki, rozmawiają.

Zatrzymuję się chwilę pod drzwiami, nabieram oddechu i robię „wejście smoka”.

Konsternacja, towarzystwo niewiele starsze ode mnie, ale jednak.

– A ty skąd o tej porze na wodzie? – pyta kobieta przysypiająca za czymś przypominającym bufet. Uśmiecham się i wskazuję głową do góry. – Kosmonauta? – śmieje się, czarując ładnym uśmiechem. Milcząc, potakuję. – To postaw studentom piwo – proponuje.

Podchodzę do niej bliżej i ostentacyjnie sprawdzam zawartość kieszeni.

– Kto chętny? – pytam.

– Wszyscy!

– Zaczynamy odliczanie – wołam, kobieta podsuwa mi taboret i podaje kolejne butelki, a ja wywołuję głośno numery: raz, dwa, trzy... wreszcie szesnastka. Brawa...

Pijemy.

Piwo jest podłe, ale to przecież rok 1969.

Moje pierwsze spotkanie z Mazurami zaliczyłem w roku 1951. To był szalony wyjazd nastolatków na rowerach, kiedy po przydrożnych rowach walały się pociski – niewypały i zardzewiała broń, a po ostatnim seansie w kinie w Węgorzewie, który w lipcu kończył się o godzinie dwudziestej, miasteczko zamierało. Ludzie spieszyli się barykadować domy okiennicami, które miały ich chronić przed nieproszonymi gośćmi, nachodzącymi ich zza pobliskiej granicy.

Wracam do domu na Gąsiorze, siadam na schodach, patrzę w niebo i przepijam tym marnym peerelowskim piwem. Mam nadzieję, że oni – kosmonauci – już tam są. Gdy zostawiałem łódkę na brzegu, znowu usłyszałem jelenia. Siedzę tu, ale nie chce do mnie przyjść, może został z nimi na Księżycu.

I od tej pory zawsze, kiedy w wyobraźni starałem się przywołać z pamięci tę nadzwyczajną chwilę w życiu, to amerykańskiemu kosmonaucie towarzyszył tam, na Księżycu, dumny, mazurski jeleni.

6 CZERWCA 2024 R.



Roman Timofiejuk, „Latarnia”

Paulina Wysocka-Morawiec

KUSY

– Cholera jasna!

Krzyk mężczyzny poniósł się w ciemności wraz z soczystym chlupnięciem. Spojrzał po sobie. Nie rozumiał, jak to się stało, ale stał po kolana w gęstym mule. Wokół niego rozbrzmiewało kumkanie żab i uporczywe cykanie, którego przed sekundą wcale nie było.

Rozejrzał się. Otaczała go kałuża błota porośnięta gęsto jakimś zielskiem. Stał pośrodku brei, a przecież dałby sobie rękę uciąć, że jeszcze przed chwilą stąpał po twardym gruncie. Zrobił – ile? Może krok i wpadł w to mokre dziadostwo. Teraz od brzegu dzieliło go kilka metrów. Jakim cudem? Przecież nawet na centymetr się nie ruszył.

W gęstwinie otaczających go drzew pękła jakaś gałązka. Wzdrygnął się. Próbował się ruszyć, ale błoto, które otaczało jego nogi, trzymało niczym cement.

– Co jest, kur...?!

Nie dokończył. Nad jego głową odezwała się sowa. Jakby go ganiła, a może ostrzegała. Sam nie wiedział.

Do zgrai żab dołączył głębszy głos ropuchy. Mężczyzna miał wrażenie, że się z niego śmiała. Pewnie, miała prawo. Sam by wyśmiał swoją głupotę, gdyby tylko nie zżerał go coraz głębszy niepokój. Czuł, że coś się zbliża. Bezszelestnie. Coś, co śledziło go od dłuższego czasu. Teraz spoglądało na niego bezdennymi ślepiami zza drzew.

– Pani Górniakowa – chciał krzyknąć, ale tym razem z jego gardła wydobył się tylko szept.

Białe kłęby mgły zaczęły wyłaniać się zza drzew. Otaczały go. Wystawiały ku niemu długie, wilgotne języki. Wiedział, że jeśli zaraz czegoś nie zrobi, skończy naprawdę źle.

Napiął wszystkie mięśnie i szarpnął prawą nogą. Zniknął opór, który powstrzymał go poprzednim razem. Wykorzystał zbyt wiele siły. W dodatku grunt, którego spodziewał się pod stopą, gdzieś uciekł. Stracił równowagę i runął do przodu. Zamachał rękami i jakimś cudem stanął. Problem w tym, że teraz błoto sięgało mu po pas. Sapnął zirytowany. Odpowiedział mu jakiś dziwny skrzek. Ni to ptasi, ni gadzi. Wstrząsnął nim dreszcz.

– Gorzej być już nie może – mruknął pod nosem.

– Czyżby? – odpowiedział mu głos, od którego mężczyźnie stanęły włoski na karku.

Spojrzał w stronę, z której dochodził i zmełł w ustach paskudne przekleństwo. Na zwałonym nieopodal drzewie siedział elegancki mężczyzna w czarnym garniturze. Wyglądałby całkiem ludzko, gdyby nie jarzące się czerwienią oczy i małe różki wystające pomiędzy ciemnych włosów.

Pozę przybrał niedbałą, lakierowane buty oparł o wystającą gałąź, jakby nie chciał ich pobrudzić błotem i uśmiechnął się chytrze.

Jeśli przed chwilą nieszczęśnik uwięziony w bagnie szacował swoje szanse jako marne, teraz uznał swoją sytuację za całkiem beznadziejną.

– Nie bądź takim pesymistą, Boguś. Może wcale nie będzie tak źle? – elegant odezwał się jakby doskonale słysząc myśli mężczyzny. Na widok jego miny zaśmiał się skrzekliwie z nieskrywaną satysfakcją.

Tego samego dnia rano.

Dzień zaczął się paskudnie. Bogdan obudził się, tknięty jakiś złym przeczuciem. Zorientował się, o co chodzi, kiedy zerknął na zegarek. Zaspał. Wskoczył z łóżka, lekko przy tym trącając żonę. Ta mruknęła coś pod nosem i obróciła się na drugi bok, wystawiając w stronę

męża jędrne pośladki. Na ten widok coś obudziło się w Bogusiu, lecz głos rozsądku wygrał. Westchnął z tęsknotą, ostatni raz spojrzął na apetyczne krągłości i ruszył do łazienki.

Boguś poświęcił śniadanie na poczet wyjścia z domu o czasie. Wsiadł do samochodu, przekręcił kluczyk w stacyjce i... Nic. Kompletnie. Przeklął szpetnie, uderzył w kierownicę, wysiadł i podparł się pod boki. Nie był specem od mechaniki, ale stawiał na akumulator. Spojrzął na zegar. Nie miał czasu na ładowanie. Kopnął więc w koło i ruszył biegiem na najbliższy przystanek.

Sprawdził rozkład i zerknął na zegarek. Jeśli autobus zjawi się punktualnie, zdąży. Problem w tym, że mijały kolejne minuty, a transport się nie pokazywał. Boguś był coraz bardziej zirytowany całym tym porankiem. Wydreptywał ścieżkę w chodniku, mocno ściskając rączkę skórzanej teczki.

Kiedy autobus zatrzymał się obok niego i uchyliły się drzwi, on wskoczył na schodek i od razu poczuł, że wdepnął w coś miękkiego. Spojrzął w dół. Jego eleganckie obuwie utopiło się w wielkim gównie i rozmasało je na stopniu.

– Kurwa!

– Pan się opanuje, tu są dzieci! – krzyknęła jakaś kobieta.

Boguś spojrzął na nią. Minę miała oburzoną. Obok niej siedział siedmioletni chłopczyk, który szczerzył się jak głupi i wskazywał na jego stopy.

– Mamo! On wlażł w gówno! – zawołał wesoło, za co zaraz oberwał od kobiety po głowie.

– Nie wyrażaj się – syknęła. – Niech cię to nauczy, że trzeba patrzeć pod nogi.

Boguś stał jak wmurowany. Naprawdę? Nie zganila go za wyśmiewanie się z cudzego nie-szczęścia, tylko za słownictwo? – pomyślał oburzony.

I już miał te swoje myśli wyartykułować na głos, kiedy drzwi autobusu się zamknęły. Pojazd ruszył gwałtownie. Bogusiem zachwiał. W ostatniej chwili złapał się poręczy. Spojrzął na swoje upačkane obuwie i sapnął. Obtarł podeszwę o podłogę autobusu, ale niewiele to pomogło. Tylko wszystko rozmasał, a wokół niego roztoczył się duszący smród. Zajął najbliższe wolne miejsce i zaczął grzebać w neseserze. Oczywiście chusteczki, które zawsze starał się mieć pod ręką, gdzieś przepadły.

– Pięknie – sapnął.

Pomyślał, że przed spotkaniem musi zahaczyć o jakiś sklep. Wtedy jeszcze bardziej się spóźni, ale co mu pozostawało? Iść boso? Bo na pewno nie tak jak teraz. Teraz nie dość, że był brudny, to jeszcze roztaczał wokół siebie okropny fetor.

Nagle z głośników popłynęło: „Kasowniki zablokowane. Proszę przygotować bilety do kontroli”.

Dryblas, który siedział za nim, podniósł się i od razu nachylił w jego stronę.

– Kontrola. Proszę bilet.

Nie pomogły tłumaczenia ani branie na litość. Dryblas, wierny swoim obowiązkom, ze zmarszczonym pewnie od zapachu nosem, wręczył mu mandat, a na koniec, o ironio, życzył miłego dnia.

Boguś na spotkanie z klientem dotarł paskudnie spóźniony, spocony, biedniejszy o dwie stowy, kompletnie wytrącony z równowagi, a do tego cholernie głodny. Niemniej przeprosił uniesienie i wymyślił jakąś bajeczkę, która w połączeniu z urokiem osobistym obłaskawiła kontrahenta. Nie pomogła jednak w sprzedaży. Gość szamotał się, wahał, aż w końcu uznał, że da Bogusiowi znać telefonicznie. Jakby Boguś nie oferował produktów najlepszej jakości i to w najkorzystniejszych cenach. Już dawno nie poniósł podobnej porażki. Tym bardziej, że urabiał faceta od tygodnia.

Miał ochotę od razu wrócić do domu. Otworzyć zimne piwo, rozsiaść się na kanapie. Włączyłby kanał sportowy i udawał, że nic, co wydarzyło się tego ranka, nie miało miejsca. Musiał jednak iść do biura. Mógł wziąć taksówkę, ale był zbyt skąpy. Mógł ponownie wskoczyć w autobus, ale na razie miał dość komunikacji miejskiej. Poszedł więc piechotą.

Od miejsca docelowego dzielił go kilometr. Oszacował, że piętnaście minut spaceru dobrze mu zrobi. Zrobiło, ale do momentu, w którym nie wjechała w niego hulajnoga elektryczna prowadzona przez nastroszone babsko. Wszystko przez to, że zamiast porządnie trzymać kierownicę, jedną ręką podtrzymywała kubek z kawą, która swoją drogą wylądowała na koszuli Bogusia.

– Niech pan uważa, jak chodzi! – wrzasnęła, dźwigając się z ziemi. – Całą kawę mi pan zmarnował!

Mężczyzna obserwował ją wielkimi oczami z poziomu chodnika, na którym leżał plackiem.

– O, i hulajnoga porysowana! – kobieta wskazała palcem leżący obok niego sprzęt.

Otrzeptała się szybko, podniosła hulainogę i natychmiast odjechała.

Boguś otworzył usta. Chciał za nią zawołać, ale już zniknęła w tłumie, który otaczał go ze wszystkich stron. Ludzie spieszyli przed siebie, omijali go obojętnie niczym słup latarni. Nikt się nie zainteresował, czy wszystko z nim w porządku ani nawet nie zapytał, dlaczego właściwie leży na środku chodnika. Zupełnie jakby był niewidzialny.

– Świat zwariował – powiedział do siebie i podniósł się niezgrabnie.

Bolało go w kilku miejscach. Potłukł się i pewnie pobrudził garnitur, nie wspominając o wielkiej plamie po kawie. Wyciągnął telefon i zrezygnowany zadzwonił do firmy. Na resztę dnia wziął wolne.

Ruszył do domu. Miał nadzieję na dobry obiad, zimne piwo, jakieś pół godzinki drzemki przed telewizorem, a wieczorem może małe tête-à-tête z małżonką. Gdy przekroczył próg, niemal od razu miał ochotę wziąć dupę w troki i uciekać, gdzie pieprz rośnie. Otóż od strony kuchni przez całe mieszkanie niósł się wyraźnie skrzekliwy głos teściowej.

Już miał zawracać, już był na powrót na wycieraczce, gdy odezwała się jego żona:

– Boguś, to ty?

Mężczyzna zmełł w ustach przekleństwo, wziął głęboki wdech i odkrzyknął:

– Tak!

Począł do kuchni. Stał w progu pomieszczenia i próbował się uśmiechnąć. Wyglądał przy tym równie nieszczerze, jak się czuł.

– Mamusia! Jak miło cię widzieć. Nie wiedziałem, że mamusia już wróciła z Ciechocinka.

Teściowa obrzuciła go spojrzeniem pełnym politowania.

– Tak, już tydzień temu – cmoknęła niezadowolona. – Jak ty wyglądasz? Jakiś taki wymięty jesteś.

Cóż, w końcu do centrum i z powrotem jechał zatłoczonym autobusem, w międzyczasie potrafiła go wariatka na jednoślądzie. Jak miał wyglądać? Zmilczał jednak, ponieważ nie chciał dojrzeć w oczach tej starej zołzy błysku radości ze swojego nieszczęścia.

– Zjadłbym coś – powiedział pod nosem i minął teściową szerokim łukiem, zmierzając wprost do lodówki. Na obiad było zbyt wcześnie, ale wiedział, że powinien znaleźć w niej resztki z poprzedniego dnia. Przeliczył się. – Nie ma już gołąbków?

– Och, mamusia nie jadła śniadania, więc ją poczęstowałam. No nie wiem, jakieś kanapki możesz sobie zrobić czy coś... – Ilona machnęła dłonią, jakby odganiała muchę.

Boguś stał przez chwilę i trawił słowa małżonki.

– Nie rób takiej miny – odezwała się teściowa, zanim zdążył cokolwiek skomentować. – Jeszcze pomyślę, że mi jedzenia żałujesz. Zresztą nieważne, i tak odrobina diety ci nie zaszkodzi.

Brzuszek ci się ostatnio zaokrąglił.

Boguś westchnął.

– Długo mamusia zostaje?

– Nie planowałam dłuższego pobytu, ale skoro sam proponujesz, może zostanę na weekend.

Co ty na to, córciu?

„A to harpia!” – pomyślał mężczyzna i nie czekając na reakcję żony, oddalił się do garażu. Tam podłączył prostownik do akumulatora. Przysiadł na starej skrzynce i czekał. Czas dłużył mu się niemiłosiernie, a odmierzały go coraz silniejsze odgłosy niezadowolonego żołądka. Po jego głowie tłukły się myśli pełne żalu. Oto jego ukochana żona nawet nie wpadnie na pomysł, by przygotować mu choćby tosty i przynieść, żeby przypadkiem nie padł z głodu.

Co prawda Ilona zajrzała do niego po jakimś czasie. W Bogusiu obudziła się nadzieja, gdy dostrzegł jej sylwetkę w drzwiach. Jednak po dokładniejszym przyjrzeniu się jej chmurnej minie, uczucie to szybko umarło.

– Długo tu będziesz siedział?

Wzruszył ramionami.

– Nie wiem, akumulator muszę skończyć ładować. Zresztą po co ja wam tam? Przecież doskonale czujecie się we własnym towarzystwie.

Kobieta lekko poczerwieniała na twarzy.

– Głupoty gadasz. Swoją drogą mógłbyś się bardziej wysilić na gościnność. W końcu to moja mamusia, a ty najpierw burczysz do niej kilka niezbyt przyjemnych uwag, a później uciekasz tutaj. To nie jest miłe.

– I naprawdę tylko po to przyszedłeś? Żeby udzielić mi reprimendy? – zapytał zszokowany, a jednocześnie zdrowo wściekły.

Kobieta podparła się pod boki, uniosła brodę i wypięła piersi do przodu.

– A co?

– A to, że dziś jeszcze nic nie jadłem i miałem paskudny ranek. Jedyne, o czym marzyłem po powrocie do domu, to chwila wytchnienia i choćby namiastka zrozumienia!

Roześmiała się, a dźwięk ten ociekał ironią.

– Ty jak zwykle o jedzeniu.

Oczywiście, że tylko to usłyszała – pomyślał.

– Nic, tylko ci michę pod nos podstawić, później fotel, pilot w ręce i już zadowolony – zaczęła trajkotać. – I takie moje życie. Trzeba było za Staśka iść, to chociaż na porządne wakacje raz w roku bym poleciała, a nie na agroturystykę do jakieś tam ciotki. Ale cóż, muszę pić to piwo, wyjścia nie mam, przynajmniej póki lepsza perspektywa się nie pojawi – westchnęła.

– A do twojej wiadomości: mamusia zostaje na weekend – dodała z zadowoleniem.

Boguś nagle zobaczył ją jakby w nowym świetle. Dostrzegł nieznaczące zmiany, jej postawę, wyniosłą minę. Jego żona nie przypominała już tej miłej dziewczyny, w której się zadurzył. Zamiast niej coraz wyraźniej dostrzegał teściową, która jakby zaraziła córkę wszystkimi swoimi najgorszymi cechami. Ta myśl napełniła go wściekłością. Był bliski wybuchu, więc starał się brać głębokie, uspakajające wdechy.

Nie patrzył już na kobietę, którą jeszcze jakiś czas temu uznawał za najbliższą rodzinę. Podeszedł do samochodu, odpiął prostownik, gwałtownie zatrasnął maskę i bez słowa wszedł za kierownicę. Zza szyby słyszał krzyki Ilony.

– Gdzie się wybierasz? Nie możesz mnie tak zostawić! Co ja powiem mamusi?!

Ostatnie zdanie wystarczyło, by dłonie Bogusia zacisnęły się na kierownicy. Przekręcił kłuczyk. Tym razem silnik zareagował. Później już tylko był gaz, a za jego plecami wymachująca rękami małżonka.

Gdy wjechał na podwórze, przywitały go dwa rozszczekane kundle. Ledwie wysiadł z samochodu, dopadły do niego, żądne pieszczot. Zwabiona hałasem ciotka Celina stanęła na ganku.

– Boguś? – zapytała tak zdziwiona, że mężczyzna przez chwilę obawiał się niechętnego przyjęcia. Wrażenie jednak minęło w chwili, gdy na ciocinej twarzy zagościł szeroki, szczerzy uśmiech. – To ci niespodzianka!

Podbiegła do niego w klapkach, po drodze wycierając dłonie w fartuch. Objęła go mocno za szyję, niemal się na nim wieszając. W odpowiedzi uściśnął ją mocno.

– A Ilonkę to gdzie masz? – zapytała, zza ramienia Bogusia zerkając na samochód.

– Sam jestem. Odpocząć muszę. Mogę?

Trzepnęła go w ramię.

– Głupio pytasz! Przecież to twój dom, twoje miejsce, drzwi zawsze są otwarte. No już, zachodź do izby, coś na ząb naszykuję.

Boguś nie potrzebował dodatkowej zachęty. Nawet jego żona, choć nie lubiła wsi, doceniała talenty kulinarne ciotki Celinki, a co dopiero on, który na tych smakach się wychował.

Dom nie był duży, ale ta ciasnota dawała mu za młodu poczucie bezpieczeństwa. Bliskość i wzajemne oddanie były wręcz namacalne. Człowieka ogarniało ciepło i cudowny spokój. Za młodu Boguś myślał, że każdy dom tak wygląda, a później założył swoją rodzinę i okazało się, że był w błędzie. Z Iloną nie potrafili stworzyć takiej atmosfery. Przez pewien czas myślał, że to przez brak dzieci, które jakoś z czasem nie pojawiły się. Ostatnio w jego głowie świła myśl, że deficyt tego magicznego ciepła wynikał z niedostatecznej ilości miłości przypadającej na metr kwadratowy. Podejrzał, że razem z Iloną mogliby uczynić znośnym ledwie trzydziestometrową kawalerkę, a nie wielki dom, kupiony na kredyt, którego koniec Boguś mógł wypatrywać za jakieś dwadzieścia lat. Tego dnia pewnie i na tę kawalerkę nie starczyłoby miłości. Z żalem pomyślał, że przed godziną ich wzajemne uczucie nie ogrzałoby nawet pięciometrowej łazienki.

Boguś wszedł za ciotką do kuchni, która była najprzestronniejszym pomieszczeniem w całym budynku. Prócz swojej podstawowej funkcji, pełniła rolę jadalni, salonu i sypialni ciotki. Pokój obok zajmował kuzyn Bogusia, Sławek. Mieszkał w nim razem z żoną. Stary pokój Bogusia dostali synowie Sławka. Miejsca mieli mało, ale wyglądali na szczęśliwych. Dużo bardziej niż Boguś i Ilona.

– Synek, wyglądasz jakby cię z krzyża zdjęli – ciotka zlustrowała go od stóp do głów, jakby dopiero teraz dostrzegła sponiewierane i poplamione ubranie. – Stało się co?

– Nic wielkiego. Ot, zwykły pech. Jakoś trzyma się mnie od rana.

Celina pokiwała głową, jakby dokładnie rozumiała, o czym mówi.

– Ale to chyba nie wszystko, co? Z Ilonką się pokłóciłeś czy w robocie coś się psuje? – zapytała odkrajając pajdę chleba z wielkiego bochna. Nie robiła tego na blacie, lecz przytulając bryłę pieczywa do brzucha i operując nożem w swoją stronę. Widok ten zawsze w Bogusiu coś rozmiękczał, jakby zdejmował z jego ramion brzemię, sprawiając, że wszystko stawało się prostsze, jak wtedy, gdy pod nosem miał mleko, a nie uporczywy zarost.

– W pracy wszystko w porządku – powiedział wymijająco.

Ciotka westchnęła, jakby tego się spodziewała. Położyła kromkę na stole i zaczęła namaszczać ją sporą warstwą domowego smalcu ze skwarkami i cebulką.

– Wiesz, może nie powinnam nic mówić, ale powiem, co tam – westchnęła ponownie, po czym spojrzała Bogusiu głęboko w oczy. – Za dobry dla niej jesteś, synek. Zawsze byłeś. Uparłeś się, że żona z miasta to nic złego. Nic żeśmy nie mówili, kiedy z domu się wyniosłeś, bo ona na wsi nie chciała. Nic żeśmy nie komentowali, kiedy chodziła po obejściu z nosem zmarszczonym, jakby jej kto łajno pod niego podstawił. Nic, kiedy z każdym rokiem coraz

bardziej szarzałeś, chociaż patrzyło się na to ciężko. Ale teraz powiem, bo jakoś tak mnie gniewie to od środka, jakby wyrwać się chciało. Za dobry dla niej jesteś, bo ona niczym najgorsza pijawka wszystko z ciebie wysysa. I ty się, synek, ratuj, póki możesz, póki jeszcze coś z ciebie zostało.

Boguś nie wiedział, co powiedzieć. Ciotka nigdy nie krytykowała ani jego małżeństwa, ani samej Ilony, a tego dnia od progu i to tak zdecydowanie...

– Ja myślałem, że ty ją lubisz.

Ciotka prychnęła, podsuwając mu pod nos pajdę ze smalcem i słoik kiszonych ogórków.

– Widziałeś, co chciałeś, a ja, synek, traktowałam ją dobrze, bo ciebie kocham.

– To dlaczego wcześniej mi nie powiedziałaś? Dlaczego teraz?

Celina zmarszczyła brwi, przycupnęła na małym taboreciku koło pieca.

– Ja wiem? Twój wybór szanowałam, ale ostatnio... – podrapała się po skroni, jak zawsze, gdy się wahała. – Ostatnio takie złe mi się śni, synek. Jakieś takie przeczucie mnie dusi i zawsze po przebudzeniu na twoje zdjęcie coś mi każe patrzeć. Ja nie wiem, czemu, ale jak to przez nią, to ja wolę ci powiedzieć. Wiadomo, że to twoja ślubna, ale lepiej, żebyś uważał.

Ciotka wypowiedziała ostatnie zdanie tonem tak złowróżbnym, że Bogusiowi przed oczami od razu pojawiła się małżonka wspólnie ze swoją rodzicielką. Obie w tej wizji stały przy jego szklance i patrzyły z fascynacją, jak w płynie rozpływa się jakaś substancja.

Bogusia najpierw przeraziła taka opcja, później prychnęła, potrząsnęła głową i oficjalnie przed sobą uznał ją za niedorzeczną.

– Co też ciocia! – uniósł się, czym lekko ciotkę wystraszył. Zreflektował się zatem, odetchnął, uspokoił głos i jak najrozsądniej uznał, że pewnie to złe przeczucie nic wspólnego z Iloną nie ma.

– Może, może, ale lepiej miej się synek na baczności. Dla mojej spokojności.

Boguś pokiwał głową i wgryzł się w pajdę chleba. Przymknął oczy, a smak w jego ustach odrobinę poprawił mu nastrój, bo tak jak wszystko tutaj, kojarzył mu się z tym, co dobre i beztraskie.

Sławek jeszcze nie wrócił z pola, a jego żona pracowała na drugą zmianę. W domu była tylko ciotka Celina i dzieciaki Sławka, Kajtek i Tymon. Byli bliźniakami, ale łatwo było ich od siebie odróżnić, bo Kajtek miał bliznę na czole. Znamię stanowiło niechlubną pamiątkę po jego bliższym spotkaniu z niedokładnie zabezpieczoną szyną w starej szopie. Ot, chłopak poszedł po rower, a tu nagle szyna się obsunęła i krew zalała mu całą twarz. Jego matka podobno ledwie ustała na nogach ze słabości, tylko ciotka prędko Tymona po doktora posłała, który całe szczęście mieszkał dwa domy dalej.

Boguś lubił chłopców. Mieli po dziesięć lat i przypominali mu jego samego i Sławka, kiedy biegali po obejściu, wymyślając coraz to nowe psoty. Wtedy żył jeszcze wujaszek Czesiek. Boguś kochał go niczym prawdziwego tatę, którego nigdy nie było mu dane poznać. Pamiętał jedynie mamę, ale słabo. Tylko jej oczy, identyczne jak swoje.

Spojrzał na ciotkę, która ofiarowała mu tyle miłości, ile zdołała. Właśnie drylowała wiśnie na konfiturę. Ręce miała umorusane czerwonym sokiem. Widok ten skojarzył mu się z krwią. Sam nie wiedział dlaczego. Niespodziewanie poczuł, że musi coś zrobić, że od tego siedzenia w miejscu już całkiem zwariuje.

– Wiesz, chyba się przejdę – odezwał się.

– Tak?

Skinął.

– Pójdę do lasu. Może trafi się kilka kurek – wyjaśnił.

Na czole ciotki pojawił się mars. Spojrzała w niebo.

– Mało czasu masz. Zmierzch za pasem.

– Wiem, wrócę zaraz.

– Czekaj! Ale w tych butach wyjściowych, w garniturze? Do reszty sobie zniszczysz.

Boguś wzruszył ramionami. W tej chwili było mu wszystko jedno.

Celina odpuściła, ale chłopcy uwiesili się na nim, nie chcąc puścić samego. Dopiero gdy ciotka odezwała się stanowczym „Zostawcie, wujek musi pobyć sam”, dali mu spokój i oddalili się z obrażonymi minami. Ukuły go wyrzuty sumienia, ale kobieta jak zawsze miała rację i prędzej odgadła jego potrzeby niż on sam. Musiał kilka spraw przemyśleć, a do tego potrzebował ciszy i samotności.

Las przywitał go zapachem ściółki. Woń ta była słodka, trąciła lekko zgnilizną i grzybnią, ale jednocześnie oznaczała życie. Właśnie tak kojarzył się Bogusiowi ten zapach. Czuł energię, która tętniła pod jego stopami, wiła się wokół niego, grała każdym dźwiękiem. Och tak, muzyka lasu kiedyś stanowiła jego ulubioną. Szelest, złamana gałązka, szum liści, stukanie dzięcioła i ptasie plotki nad głową. Zdecydowanie kochał ten jedyny w swoim rodzaju harmider, który jednocześnie stanowił idealną harmonię. Jak szybko się okazało, cenił go dużo bardziej niż gwar miasta.

Szedł ze spuszczoną głową. Z uwagą śledził leśne poszycie, wypatrując grzybów. Jednocześnie zastanawiał się nad swoim życiem. Cóż, nigdy nie miał jakichś specjalnych marzeń, planów czy wyobrażeń przyszłości. Pragnął dobrej pracy, dużego domu i pięknej żony, której wszyscy będą mu zazdrościć. Marzył, by wszyscy zobaczyli, że nie jest w ciemni bity, że nie jest popychadłem. Mimo to czuł, że punkt, w którym znalazł się obecnie, nie jest tym, czego kiedykolwiek chciał. Tego był pewien. Problem polegał na tym, że nie wiedział, co ma z tym faktem zrobić.

Gdy był mały, jego wuj mówił, że drzewa widzą wszystko, ale inaczej. Tego dnia mężczyzna miał wrażenie, że rzeczywiście coś go obserwuje. Włoski na karku stanęły mu dęba. Przystanął i bardzo wolno okręcił się wokół własnej osi. Niczego nie wypatrzył.

Słońce chyliło się ku zachodowi. Boguś nadal nie miał pojęcia, co począć ze swoim życiem, ale wiedział, że w tej chwili powinien skierować się w stronę domu. Samotne spacerowanie po ciemnym lesie nie było najlepszym pomysłem. Nigdy.

Już uniośł nogę gotowy, by zrobić pierwszy krok, gdy coś usłyszał. Łamanie gałązek i szelest liści. Odwrócił się na pięcie. Pomiędzy drzewami dojrzał zgarbioną babuleńkę. Na głowie miała chustkę w czerwone maki, a w ręce trzymała grubą gałąź, która pełniła funkcję laski. Zatrzymała się i z uśmiechem na ustach pomachała do niego. Automatycznie uniośł dłoń i odwzajemnił gest. Jakby czas się cofnął. On znowu był подростkiem, a stara Górniakowa prowadziła go po lesie i pokazywała, gdzie rośnie najwięcej grzybów, jagód i malin. Nikt tak jak ona nie znał okolicy. Sąsiedzi szeptali, że była wiedźmą. Boguś jednak nigdy w to nie wierzył. Nie wierzył w żadne gusła, przynajmniej do pewnego momentu.

Górniakowa odwróciła się i ruszyła w las. Automatycznie poszedł za nią, choć wydawało mu się, że idzie w złą stronę. Wcześniej był przekonany, że ścieżka do wsi wiedzie w odwrotnym kierunku, ale przecież ta kobieta znacznie dłużej przemierzała te drogi. Jeśli ktoś z ich dwójki mógł się mylić, to tylko Boguś. Szedł więc z ufnością za staruszką. Zapadał zmierzch, ale czerwona chustka staruszki ciągle była dobrze widoczna. Przyspieszył kroku, żeby ją dogonić, ale pomimo jego starań wciąż dzieliła ich ta sama odległość. Dlaczego na niego nie czekała?

Potknął się o gałąź. Z trudem utrzymał równowagę. Pomyślał, że powinien patrzeć pod nogi. Tak zrobił. Spuścił wzrok ledwie na kilka sekund, a kiedy go podniósł, Górniakowej już nie było.

Został w lesie sam. Szedł dalej przed siebie, bo nie miał innego wyjścia. Szybko się ściemniało. W końcu zobaczył światło. Myślał, że to ona. Kiedy podszedł bliżej, na wysokości jego łydek zatańczył błędny ogień. Najpierw jeden, potem więcej. Zrobił krok i rozległo się głucho pluśnięcie do pary z jego przekleństwem:

– Cholera jasna!

Teraz stał zanurzony po pas w bagnie wśród kpiącego rechotu żab, a przed nim siedział czart, którego Boguś miał nadzieję nie spotkać do późnej starości.

– Och, przykro mi, że cię rozczarowałem, ale musisz wiedzieć, że nie zawsze jestem cierpliwy – odezwał się diabeł. – Czasem, gdy widzę pewien potencjał, wprost nie mogę się oprzeć, żeby nieco dopomóc losowi.

Boguś sapnął. Nagle pojął, że cały ten dzień zawdzięczał właśnie jemu.

– Czego chcesz, Kusy?

Czart uśmiechnął się brzydko.

– W twoich ustach moje imię brzmi jak przekleństwo. Bardzo mi się to podoba, bardzo. Zawsze wiedziałem, że masz charakter.

– Skończ te gierki, oszuście jeden, i do rzeczy!

Diabeł spowaźniał. Jego oblicze pociemniało, a wszystko wokół ucichło.

– Uważaj na słowa. Możesz nazywać mnie, jak chcesz, ale nigdy nikogo nie oszukałem! – zadudnił.

Bogusiowi znów ze strachu stanęły włoski na karku, ale nie zamierzał przeproszać. O nie!

– Miałem mieć lekkie życie, piękną, kochającą żonę i cudowny dom. Co dostałem?

Kusy pstryknął palcami. Przed Bogusiem zawisła kartka papieru. Jarzyła się lekkim światłem, dzięki czemu tekst był czytelny w ciemnościach.

– Przeczytaj raz jeszcze. Czy widzisz coś o miłości? Dostałeś ode mnie ładny dom...

– Z hipoteką – mruknął mężczyzna pod nosem.

Diabeł go zignorował.

– Piękną żonę, której wszyscy twoi koledzy ci zazdroszczą... – kontynuował.

– Bo nie wiedzą, jaka z niej żoła.

– Masz też lekką pracę, niefizyczną i dobrze płatną. Jesteś lepszy od tych, którzy cię kiedyś gnębili. Nie dręczą cię żadne poważniejsze problemy. Wszystko idzie jak z płatka. Dostałeś wszystko, o co prosiłeś, a teraz przyszła pora zapłacić.

– Jak to – zapłacić? Już? A spokojna starość?

Diabeł podrapał się po policzku.

– Hmm... Takiego zapisu sobie nie przypominam.

– Co?! – krzyknął Boguś i złapał jarzący się papier w ubłocone dłonie.

Uważnie przebiegł tekst wzrokiem. Rzeczywiście, nie było określone, jak długo miał czerpać korzyści z umowy. Jak to możliwe, że to przeoczył?! No tak, miał wtedy siedemnaście lat, ale mimo wszystko powinien o tym pomyśleć.

Nagle do niego dotarło, do czego zmierza ta cała sytuacja. Diabeł przyszedł po zapłatę, a zapłatą miała być dusza Bogusia.

– Ale... Ale... Miałem być szczęśliwy... – szepnął.

Diabeł pokręcił głową na boki jak rodzic nad rozkapryszonym dzieckiem.

– Szczęście... – powiedział powoli, jakby smakował to słowo. – Myślicie, że dają je bogactwa, sukces... Gonicie za nim, szukacie. Poświęćcie siebie, swoje rodziny, cierpicie. Nawet nie dostrzegacie tego, co wokół was się dzieje. Zupełnie jak bezmyślne konie z klapkami na oczach. Byle dalej, byle do przodu. Nie potraficie pojąć, że tak naprawdę sprawa jest o wiele prostsza. Wystarczy dać się prowadzić i doceniać to, co was spotyka.

– Nawet złe rzeczy?

Czart spojrzał w niebo. Dlatego nigdy nie nauczał ludzi – oni nic nie rozumieli... Tym razem jednak musiał uzbroić się w cierpliwość i tłumaczyć, aż prawda dotrze do zakutego łba tego człowieka. Jeśli chciał osiągnąć cel, nie było innej drogi.

– Zwłaszcza te – przeszył Bogusia wzrokiem. – Lekcje są trudne, ale o nie właśnie chodzi. O naukę, o doświadczanie, a przede wszystkim o miłość. Nie przyziemną, zrodzoną z pożądania, ale czystą, szczerą, dobrą... Wiesz, że jedną z największych sztuk jest pokochanie samego siebie? Akceptacja, wybaczenie. Dopiero gdy się tego dokona, można w pełni oddać miłość innym. Dopiero wtedy ma to sens.

– Nie rozumiem.

Diabeł poprawił się na konarze. Wyglądał, jakby chciał uciec, ale siłą się przed tym powstrzymywał.

– Dobrze – zaczął jeszcze raz – weźmy ciebie. Kiedy cię spotkałem kilka lat temu, byłeś nieśmiały, zahukany chłopcem, którego koledzy upokorzyli na oczach dziewczyny. Byłeś na nich wściekły, wiadomo, ale przede wszystkim gardziłeś sobą. Nie lubiłeś siebie. Dalej nie lubisz. Szukałeś pocieszenia na zewnątrz, podczas gdy twoje wnętrze ciągle się psuje. Byłoby zupełnie inaczej, gdybyś wybaczył sobie swoje słabości, zaakceptował je.

– Co by to zmieniło?

– Gdybyś siebie kochał, Bogusiu, gdybyś siebie lubił i akceptował, tamci chłopcy nie zdołaliby zranić cię tak dotkliwie. Pewnie byłoby ci przykro, ale szybko byś się otrząsnął i im wybaczył.

– Po co? Po co miałbym im wybaczać?

– Żeby nie hodować w sobie tego lęku, tej ciemności, która mnie wtedy do ciebie przyciągnęła. Żeby żyć miłością. Żeby być szczęśliwym – wyliczał na palcach.

– Nie rozumiem.

Diabeł głośno wypuścił powietrze z płuc i bezradnie zwiesił ramiona.

– Ach, wy, ludzie. Dla was najprostsze prawdy zawsze były najtrudniejsze do pojęcia – sarknął, skoczył na nogi i zaczął przechadzać się po kłodzie w tę i z powrotem. – Zawsze wiecie najlepiej, czego potrzebujecie. Tymczasem to wszystko złudzenia. Szczęścia nie może dać wam bogactwo, lekkie życie czy kariera. Szczęście możecie jedynie odnaleźć w sobie. Jedyne wasze zadanie, gdy zjawiacie się na tym świecie, to dać się prowadzić miłości. Ale nie, bo po co, skoro można po swojemu. I zawsze kończy się tak samo – zamachał ręką w stronę Bogusia. – Ale ja się cieszę z waszego egocentryzmu i zadufania. Gdyby nie wy, strasznie bym się nudził.

Boguś powoli trawił jego słowa. Czy rzeczywiście? Czy gdyby przed laty posłał go w diabły, a raczej z powrotem w piekielne otchłanie, zamiast ulegać pokusie, byłby teraz szczęśliwszy, spokojniejszy i bardziej spełniony?

Kusy klasnął w dłonie. Stał teraz na szeroko rozstawionych nogach i uśmiechał się do mężczyzny uwięzionego w bagnie.

– Oj, Boguś. Dobrze, że chociaż tyle do ciebie dotarło, bo już myślałem, że podjąłem błędną decyzję. A musisz wiedzieć, że ja bardzo nie lubię się mylić – mrugnął do niego porozumiewawczo.

Mężczyźnie ani trochę nie było do śmiechu.

– Czyli to już koniec? – spytał słabym głosem. Nie chciał umierać. Może niezbyt lubił swoje życie, ale mimo wszystko nie chciał się z nim rozstawać. Nie, dopóki miał nadzieję na coś lepszego.

Coś błysnęło w oczach czarta.

– Wybór jak zawsze należy do ciebie, mój drogi przyjacielu. Już teraz możesz zakończyć swój marny żywot lub zawrzeć aneks do umowy i zacząć zupełnie nowy rozdział.

– Jaki aneks?

Czart uśmiechnął się jak Kot z Cheshire i pstryknął palcami. Przed Bogusiem zawiśła kolejna kartka zapisana drobnym druczkiem.

– Streścić ci? – zapytał niewinnie diabeł.

– Dzięki, tym razem przeczytam osobiście.

Kusy uniósł dłonie w górę, jakby się poddawał. Zdziwiłby się, gdyby usłyszał inną odpowiedź. Naiwni i nierozsądni ludzie podpisywali umowy z diabłem, ale tylko prawdziwi głupcy robili to drugi raz, nie szukając „drobnego druczku” w kontrakcie. Musiał przyznać, że Boguś całkiem szybko się uczył... jak na człowieka.

Czart położył się na powalonym drzewie i spojrzał w rozgwieżdżone niebo. Wciągnął w nozdrza wilgotny zapach bagien i rozkoszował się muzyką, która go otaczała. Z lubością słuchał rechotów, kumkań, plusków, pohukiwań i szelestu poszycia. Wszystko wokół niego tętniło pradawną siłą istnienia. Jako uosobienie mroku może i powinien wzdrygać się na samą myśl o tym, ale jak by mógł, skoro sam miał w sobie część tej mocy? Przecież zrodził się z niej jak reszta świata i z pokorą wypełniał powierzoną mu funkcję.

– Sprzedawca marzeń? – usłyszał zdziwionego Bogusia.

Czart usiadł i płynnym ruchem założył nogę na nogę.

– Czemu nie? Sam musisz przyznać, że to bardzo chwytliwa nazwa.

– I naprawdę sądzisz, że ludzie się na to złapią? Wiesz, nie obraż się, ale dopóki nie spotkałem cię osobiście, ani trochę nie wierzyłem w te całe czary mary.

– Ludzie uwierzą we wszystko, nawet największy sceptyk, gdy u sąsiada zobaczy, że to zadziało.

Boguś wzruszył ramionami.

– Może, nie ja tu wnoszę cały kapitał.

– Nie, nie ty – wymruczał czart. – Ale to los twojej duszy zależy od powodzenia tego projektu, więc lepiej, żebyś się przyłożył.

– Jeszcze się nie zgodziłem – odburknął Boguś.

Diabeł zachichotał.

– Czyżby?

Mężczyzna łypnął na niego rozdrażnionym wzrokiem. Cholerne czytanie w myślach...

– Podsumujmy. Ja otwieram firmę, w której będę realizować ludzkie pragnienia.

– Dokładnie. Nowa fura, żeby sąsiadowi szczeka opadła, wygrana na loterii, wyjazd teściowej za granicę z biletem w jedną stronę albo cudowne uzdrowienie. Dosłownie wszystko, prócz paru wyjątków. Wszystko dyskretnie i w uczciwej cenie. Płatne gotówką, przelewem, na raty lub czymś znacznie cenniejszym, czyli ludzką duszą. Zależy.

– I po 200 latach pracy moja własna dusza wróci do mnie? Trochę dłużej.

– Raczej jak pstryknięcie palcami, Boguś, jak pstryknięcie palcami. A w czasie tych dwóch wieków pełna opieka medyczna, nawet stomatologiczna, zatrzymanie starzenia się i ogólny dobrobyt. Żyć, nie umierać, że tak powiem.

– A co powiem ludziom? Że jestem nieśmiertelny?

– Naprawdę sądzisz, że okresowa zmiana wyglądu i nowa tożsamość do kompletu to dla mnie problem?

– No tak... – bąknął Boguś. – Czary-mary.

– Czary-mary, przyjacielu.

Boguś nie miał ochoty przez 200 lat pracować dla Kusego, ale to był jedyny sposób, by ocalić siebie. Gdyby się nie zgodził, już za kilka minut jego dusza przepadłaby bezpowrotnie. Nie mógł też zaprzeczyć, że wizja tak długiego życia była dosyć kusząca.

Nim zdążył mrugnąć, przed jego nosem pojawiło się dobrze znane pióro. Lekko się skrzywił, ale ujął je w dłoni. Przyłożył stalówkę do palca serdecznego przeciwnej dłoni i przycisnął. Zakuło jak ukąszenie komara. Później złożył wyraźny podpis na jarzącym się papierze. Ledwie skończył, zarówno pióro jak i kartki rozplynęły się we mgle, a on leżał na pachnącym leśnym poszyciu.

Boguś usiadł. Lekko zakręciło mu się w głowie. Oparł się więc o pobliskie drzewo i czekał. Szybko stwierdził, że jest zadziwiająco czysty jak na kąpiel w bagnie. Koszula co prawda nosiła ślady plam po kawie, a garnitur bolesnego upadku na chodnik, ale nie było nawet kropli błota. Tylko jego buty gdzieś zniknęły. Było też jaśniej. Jakby zmrok jeszcze nie zapadł, jakby słońce dopiero chyliło się ku zachodowi.

– Dobra... – mruknął pod nosem. – Czas iść do domu.

Wstał powoli. Stara gałąź jakby sama wpadła mu w rękę. Pomogła utrzymać pion, a kiedy Boguś próbował się zorientować, w którą stronę powinien ruszyć, pociągnęła go na północny wschód.

Zaledwie po kilkudziesięciu metrach zobaczył dobrze znany zarys stodoły i budynków gospodarczych. Gdy wkroczył na podwórko, dojrzał Sławka, który spacerował nerwowym krokiem to w jedną, to w drugą stronę. Na jego widok kuzyn się zatrzymał i odetchnął z wyraźną ulgą.

– Boguś! Już chciałem cię szukać! Co żeś tak długo w lesie robił? I dlaczego boso? – dopadł do niego i zaczął ni to tulić do siebie, ni to poklepywać niezdarnie.

– Pomyśleć musiałem. A buty... Buty mi się całkiem rozlażyły, to je zostawiłem. Dobrze cię widzieć, bracie.

Sławek wzmocnił uścisk, a po chwili, trochę po kryjomu, otarł z policzka łzę.

– Ja ci mówiłam, Sławek – odezwała się ciotka z progu chałupy – że nic mu nie jest, a przed nocą wróci. A ty tylko złe przeczucie i złe przeczucie – splunęła na trawę, jakby odganiała zły urok. – Zachodźcie do kuchni, kolacja gotowa.

Przy wspólnym stole było ciepło i wesoło. Jedzenie było pyszne, a synowie Sławka dokazywali, jak oni sami kiedyś. Później do domu weszła żona Sławka. Zmęczona, ale zadowolona. Z serdecznością przywitała Bogusia i razem z nimi usiadła do kolacji.

Po posiłku w kuchni zostali tylko on i ciotka Celina, która już wcześniej przygotowała mu miejsce do spania po drugiej stronie pokoju, jakby doskonale wiedziała, że będzie chciał zostać. Usiadł na puchowej kołdrze i spojrzał na kobietę, którą traktował jak matkę.

– Ciociu, tak się zastanawiałem...

– Co tam, Boguś, co tam? – odpowiedziała, przecierając stół.

– Co słyhać u starej Górniakowej?

Ręka Celiny znieruchomiała. Zmarszczyła brwi i spojrzała na wychowanka czujnym wzrokiem.

– Jak to co? Przecież już pół roku, jak staruszka zeszła z tego świata. Sławek dzwonił do was, z Ilonką rozmawiał. Ale jakżeś na pogrzeb nie przyjechał, to żeśmy myśleli, że zajęty byłeś. Wiadomo, nikt o to do ciebie pretensji nie miał.

Boguś jakby po głowie dostał, tak wstrząsnęła nim ta informacja.

– Dobrze się czujesz? Zbladłeś jakoś.

– A wiesz, bo Ilona wcale mi tego nie przekazała... – wyszeptał.

– Och...

– Położę się już, dobrze?

– Dobrze, synuś, dobrze.

Pogładziła go po głowie spracowaną dłonią, ucałowała w czoło i położyła się na swojej starej kanapie. Boguś odwrócił się do ściany. Zanim usnął, bezgłośnie zapłakał.

Po drodze do miasta Boguś zajrzał na cmentarz. Zapalił znicz na grobie wiedzmy, zmówił modlitwę i ruszył do domu. Już opuszczał wieś, gdy na poboczu dostrzegł coś czarnego.

Zwolnił, wyteżył wzrok, a zaraz potem gwałtownie zahamował. Wysiadł z samochodu i podszedł do pary skórzanych, drogich butów, które stały równiutko ustawione na skraju lasu. Jakaś gałązka pękła w gęstwinie. Spojrzał w tamtą stronę i wydało mu się, że między drzewami przemyka przygarbiona postać w czerwonej chustce na głowie. Uśmiechnął się, pomachał jej, złapał buty i ruszył w dalszą drogę.

W domu czekała na niego obrażona żona z naburmuszoną teściową. Z całkowitą obojętnością zmierzył je obie wzrokiem

– Pakujcie się i wynoście z mojego domu – zarządził.

Następnie, ignorując wszelkie krzyki, zamknął się w gabinecie. Tam już czekał na niego Kusy. W dłoni trzymał zdjęcia Ilony w niedwuznacznej sytuacji z innym mężczyzną.

– Pomyślałem, że pomogą ci sprawnie pozbyć się tego problemu.

Boguś przyjął je ze skinieniem głowy. Sam był zdziwiony, że nie poczuł niczego ponad głębokie poczucie ulgi. Później obaj zabrali się do pracy.



Roman Timofiejuk, „Wiatr od wschodu”

Bogdan Knop

ŻALE DOJRZAŁE I MĄDROŚĆ

*Zakłęty krąg upadły los
Za oknem mijający dzień
Daremnny krzyk fałszywy blask
Dzień postny obrócony w sen*

Szczerze mówiąc, nigdy nie byłem wędkarzem, a po prawdzie nawet nie lubię wędkarstwa. Wspominam o tym tylko po to, żeby uzmysłowić wszystkim kłopotliwość sytuacji, w której się znalazłem zupełnie przypadkowo, choć i na własne życzenie niejako.

Było to w tej porze życia, gdy już nie liczenie wiosen, ale jesieni staje się wyznacznikiem wieku. Dawno minęły burze młodości, drobne szaleństwa wieku średniego, zbliżała się pora oczekiwana żalów dojrzałych i mądrości.

Tak oto nadszedł czas, że Pilzner stracił swój smak i urok, a knajpę – co „Rzym” się nazywa – dawno zamknięto. O mojej przygodzie z Wolfgangiem Biesem nikt już prawie nie pamiętał, a i ja zepchnąłem w niepamięć te odległe czasy.

Siłą przyzwyczajenia jednak (nie nałogu) szwendałem się jeszcze od czasu do czasu po różnych nowoczesnych lokalach, w towarzystwie lub samotnie, w poszukiwaniu chwil minionych i utraconych wspomnień. Choć w czas zaprzeszły zapadła się knajpa „U Roga na Rogu”, to w innych miejscach siadałem przed lustrem, co mapą świata było, z nadzieją, że gdzieś może przemkną Anda i Niemiec trzymający się za ręce i szepcący sobie jakieś tajemnice. Nic z tego.

Właściwą kolejną losu skończyły się niekończące się dyskusje o piętrze niżej i piętrze wyżej, a w prześwitującym bursztynie na dnie szklanicy było widać tylko czyjeś przekrwione, bycze oczy. „Jest strasznie, jest strasznie” – przemykało mi w myślach jak echo.

Na cóż jeszcze mogłem się zdobyć, z czym wziąć się za bary? Czy wciąż brzmiało we mnie zdanie przeczytane w młodości – „Zobacz, w płomieniach stoi przyszłość”?

Trzeba przy tym wiedzieć, że od pewnego czasu nachodziły mnie dziwne lęki. Nachodziły i znikwały, by znów powrócić. A przecież nie miałem szczególnych powodów do zmartwień, choć nie dało się powiedzieć, że życie miałem usłane różami.

Niby nic, ale kiedyś w jednej z tych niedawno powstałych knajp o nazwie „Mango” czy tak jakoś, ślęcząc nad śledziem po japońsku, posłyszałem głos czy to w głowie swojej, czy gdzieś w pobliżu, mówiący o jakichś trzech życzeniach. I już mi się zdało, że to Wolfgang Bies niechlubnej pamięci powrócił po moją duszę, ale żadnego „sz” w głosie nie posłyszałem, co dowodziło, że żadne sprawy germańsko-diabelskie nie wchodziły w rachubę.

Nie zdało mi się to zbyt wielką pociechą, bo właśnie rozważałem w myślach coś ważnego, a może nawet oryginalnego. A nawet gdyby nic takiego, to przecież jednak coś miałem na myśli. Zatem poczułem się jak ktoś, kto pogrążony w półśnie usłyszy dzwonek telefonu i nie może rozróżnić, czy telefon dzwoni we śnie, czy do snu się wkrada jawa w postaci dzwonka telefonu. Mawia się nawet, że tak nas, zwykłych ludzi, rzeczywistość ze snu budzi. I nie jest to przyjemne uczucie.

Wzdrygnąłem się w śledzia wpatrzony i wpierv we własne myśli się wsłuchałem, a nic tam nie słysząc, odwróciłem głowę w prawo i lewo.

Przy stoliku obok nad pstrągiem *sauté*, jak mi się zdawało, siedział lekko wymięty jegomość i szeptał coś ni to do siebie, ni to do pstrąga:

– ... ażeby mnie, ażeby ją, ażeby was... – walił się przy tym pięściami po czole, bo walić po stole widocznie nie uważał za stosowne.

– ... a ja, głupi, trzy życzenia – twarz wykrzywił mu dziwny grymas – trzy durne życzenia.

Stolik był oddalony może na trzy metry od mnie, a jegomość wygląd przedstawiał żaloszny. Nie dość, że był wymięty, to jakoś skurczony, nieuczestany i niechlujny, tu rozpięty, a tam oberwany. Jakoś znoszony, zmurszały i przygarbiony.

Jego oczy pały nabyły ognie, cerę miał jak papier, nosem pociągał, najwyraźniej był bliski płaczu. Ryba zaś rosła mu w ustach i nijak nie dawała się przełknąć.

Ten moment mojego wyrwania się z myśli czy też z bezmyślności wypadł na jego zerknięcie spoode łba i tak spojrzenia nasze na mniej niż chwilę się skrzyżowały, po czym uciekły od siebie w popłochu, ale już schronić się do siebie do końca nie mogły.

Bo widziałem ja jego z gębą skrzywioną, a on mnie z bezmyślną, a nawet nieważną, jaka ta mina była, ale to, że była.

I choć nic nie powiedział więcej, to przecież całą tę historię prześwieconą na wylot rozpoznałem od razu.

Było tak, że nie miał nic, a potem miał wiele, ale marzeniem jego nie były pałace ani kurne chaty, tylko ta pełnia, która wysusza w naszych głowach wyobraźnię niczym wódka we wrześniu. Więc modlił się nocami, by mu było dane. Aż może złowił jakąś rybkę, a ta obiecała mu dużo, choć on się wzdrygał, bo twierdził, że nic mu nie brakuje, a rybki są od tego, by pływać w morzach i oceanach, ewentualnie w rzekach, jeziorach i stawach.

A gdy wrócił do domu i chciał to opowiedzieć, nikt go nie słuchał, bo co to za brednie. A w ogóle, jak komuś nic nie brakuje, to o cóż ma prosić jakąś tam rybkę – o zdrowie, o długie życie, bo resztę już ma? Wolne żarty. Ale gdy do snu się ułożył, długo nie mógł zasnąć, bo sen mu ciągle podpowiadał, podszeptował i judził:

„Rzuć to wszystko i w podróż się udaj, do wnętrza siebie, w głębi, gdzie oceany są czarne, a rzeki niosą wspomnienia i dobre rady. Wróć tam, gdzie przerwałeś. Dogadaj się z rybką”.

I we śnie, bo chyba nie na jawie, chciał się z rybką dogadać. Przez trzy noce wracał we śnie do tego samego ciemnego lasu, w którym był tym, kim zawsze chciał być, a ciągle to było nie to, bo nie mógł się zdecydować, czy los wyklęty jest lepszy niż sława i chwała, i czy królowanie jest wtedy, gdy nam wszystko zabiorą, czy przeciwnie – gdy nam wszystko dadzą.

A rybka wielką miała cierpliwość do niego, ale przecież trzy tylko zachcianki mogła spełnić, nawet jeśli to miały być trzy te same, a odwołanie życzenia liczyło się tak samo jak samo życzenie.

„Zrób tak, żebym był sławny” – zażyczył sobie pierwszej nocy.

„Zrób tak, żebym był sławny, napiętnowany” – poprawił kolejnej nocy.

„Zrób tak, żebym był sławny, napiętnowany i powtórnie wyniesiony” – rzekł trzeciej nocy.

Spojrzała na niego swym nierybim okiem i rzekła – „Uważaj, to trzecie życzenie. Czwartego nie będzie. Ale że jesteś dobrym człowiekiem, pozwolę ci cofnąć to życzenie i zamienić je na inne, jeśli się zdecydujesz. Jednak tylko ten jeden jedyny raz. Masz czas do jutra”.

I tak trzy noce wydłużyły się do czterech.

To był czwarty wieczór przed nocą ostateczną.

Tę noc miałem spędzić w nie bardzo podłym lokalu „Mango”.

Wymięty, poszarpany usiadłem przy stoliku naprzeciw lustra i zamówiłem pstrąga *sauté*.

Czy mścić się chciałem, czy może wyrazić swe lekceważenie – trudno orzec. W każdym razie przekrwionym wzrokiem wpatrywałem się w talerz w tej strasznej chwili.

Rozważałem wszystkie za i przeciw odnośnie sławy, napiętnowania i wyniesienia. Chwilami zdawało mi się, że wyniesienie – szczególnie powtarne – jest jednak przesadą, ale znów po chwili czułem, że bez wyniesienia powtórnego żadnego efektu nie będzie, bo musi przecież głód i mizéria poprzedzać dostatek i zaspokojenie. No chyba że na odwrót, ale to inna sprawa i nie ona mnie frasowała, i rybka jej głosu nie dała. Albo – albo, tak czy owak.

Czas płynął mi nad pstrągiem, a sen nie nadchodził. Zresztą jaki sen w środku tętniącego życiem wieczoru. Zacząłem pojmować niedorzeczność całego zamysłu. Nic się nie składało i los był nie do odwrócenia. Czas mijał nie tylko teraz, ale jak nabrzmiewająca rzeczywistość mijał od lat. Teraźniejszość napierała w ciszy. Pojąłem sens całej tej historii i zacząłem walić się pięściami po głowie, wyrzucając z siebie nieutuloną skargę:

– ... ażeby mnie, ażeby ją, ażeby was... – bo walić po stole nie uważałem za stosowne.

– ... a ja głupi, trzy życzenia, trzy durne życzenia.

Wtedy go dostrzegłem. Jego twarz nie wyrażała żadnych konkretnych uczuć. Siedział nad śledziem po japońsku przy stoliku obok czy może naprzeciw. Spoglądał na mnie z politowaniem, a nawet z pewną wzdargą, tak właściwą ludziom dobrze wychowanym, zadbanym i punktualnym. Nasze spojrzenia na mniej niż chwilę się skrzyżowały, po czym uciekły od siebie w popłochu, ale już schronić się do siebie do końca nie mogły.

Bo widziałem go z gębą bezmyślną, a on mnie ze skrzywioną.

W dzieciństwie łowiłem ryby, ale nie na wędkę. Po intensywnych deszczach, gdy łąki nad starorzeczem zatapiała woda, braliśmy siatkę z pralki „Frania”, naciągaliśmy ją na dwa kije i ruszaliśmy na połów w granatowych majtkach i siatkowych koszulkach bez rękawów. Karaś, liny, piskorze (te odrzucaliśmy), płotki – zjadaliśmy upieczone popołudniem na ognisku.

Zaś zimą cudem doprawdy było oglądać przemykające pod lodem dorodne okazy (pewnie powiększone przez lód), obojętne na tupot dziecięcych stóp, goniących za podwodnym cieniem.

Zdarzało mi się też stoczyć bój krwawy z wigilijnym karpem, ale tylko do czasu, gdy zacząłem go nabywać wpraw w stanie ogłuszonego na amen, a potem wręcz pokrojonego. Te epizody niespecjalnie odbiły się w mej pamięci.

Wszystkie te epizody niespecjalnie wryły się w mą pamięć, choć przecież zamieszkały w niej na równych prawach z innymi drobiazgami.

A jednak, z różnych względów, spotkanie z rybką nie wydaje mi się za bardzo prawdopodobne.

UKOŃCZYŁEM W MAJU 2024 R.



Aksana Maria Juczkowicz

NASZE ŚWIĘTA CIĄGLE NIEPAŃSTWOWE

przełożył z białoruskiego Bogdan Knop

Ktoś – świętuje, a kogoś za kraty!
 Ktoś – szczęśliwy, bystry, nieustrudzony,
 A ktoś jak Żmicier¹, niczym niezłamany.
 Ktoś woła do domu, do mamy i taty,
 A mówią do niego raz kaci, raz kraty.
 Ktoś nieustannie goni za wolnością,
 Ktoś nieustannie zмага się z podłością.
 To, o co prosi uwolnione serce,
 Które trwożliwie i radośnie bije,
 Może z wiwatem, a może z armaty,
 Może jak piorun, a może z utraty.
 Uczy się serce wybijania w takt,
 Gdzie rytm jego chodu wyznacza ów gwałt,
 Co dzieje się obok, prawie jak w teatrze,
 Tyle że w kulisach – przyczajona straż.
 Rozchylmy zasłony – ujrzymy swój kraj,
 Ból nas ogarnie, ogarnie nas żal.
 Bo nikt nam nigdy nie zakaze głosić,
 Że prawdy i wolności nie damy zagubić.
 Wolnością będziemy oddychać i śnić,
 W wolności będziemy i konać, i żyć,
 Kochać, nadzieję mieć i wierzyć, i być,
 Jesteśmy jak wiosna – nie zatrzyma nas nic.

Aksana Maria Juczkowicz – urodziła się w święto „Dziadów”, czyli 2 listopada 1989 r. w Parafianawie (Witebszczyzna). Do szkoły uczęszczała w Głębokim (o którym, według legendy, Napoleon powiedział: „Ależ głęboko wpadłem!”). Po ukończeniu studiów na Wydziale Filologii Uniwersytetu w Mińsku w 2011 r. otrzymała dyplom nauczycielki języka i literatury białoruskiej, w roku następnym napisała pracę magisterską na temat „Wykorzystanie elektronicznych materiałów bibliotecznych w badaniach literackich”. Swoje wiersze publikowała w gazetach i czasopismach, była współautorką książki dla dzieci.

Jest aktywną katoliczką, a także harcerką. Pracowała jako nauczycielka oraz dziennikarka oficjalnego portalu Kościoła Rzymskokatolickiego na Białorusi Catholic.by, uczestniczyła w pomaganiu więźniom politycznym. Za swoją działalność została zatrzymana 23 stycznia 2024 r. podczas masowych aresztowań. 26 kwietnia sąd w Mińsku skazał ją na trzy lata aresztu domowego za rzekomą „organizację i przygotowanie działań, rażąco naruszających ład społeczny”.

1 Żmicier (Dzmitryj) Daszkiewicz – urodzony w 1981 r. białoruski opozycjonista, lider Młodego Frontu.

Konrad Ludwicki

PAMIĘTNIK LEKTURY – ARKADIUSZ FRANIA O TADEUSZU GIERYMSKIM

TADEUSZ GIERYMSKI (1928–2009) NARESZCIE DOCZekał się SOLIDNEJ monografii. Pod auspicjami Towarzystwa Galeria Literacka – które w propagowaniu środowiska prozaików i poetów (nie tylko) Częstochowy ma zasługi nieoszacowane – ukazuje się wolumin autorstwa Arkadiusza Frania. Na okładce widać portret Gierymskiego, będący – jak czytamy – „graficzną impresją czarno-białej fotografii Janusza Jano Mielczarka z roku 1996” (s. 2). Arkadiusz Frania, poeta i prozaik, który z pasją pisze również o twórcach Częstochowy, popełnił (w końcu!) książkę o Tadeuszu Gierymskim¹. Na czwartej stronie okładki widnieje spis tytułów Arka Frania poświęconych życiu literackiemu oraz twórcom Częstochowy. Publikacja niniejsza ukazuje się – jak mówi autor we *Wstępie* – „w punkcie przecięcia światów i świadomości, między dwiema rocznicami: 95. urodzin i 15. śmierci Poety” (s. 4). Twórca ów – trzeba to powiedzieć – istnieje generalnie w świadomości wyłącznie Częstochowian. Jakkolwiek i tu jest dość marginalizowany. Pisałem m.in. i o tym w roku 2018: „Tadeusz Gierymski należy do literatów regionu częstochowskiego nieco zapomnianych (...). Szerzej w humanistycznym obiegu i literackim dyskursie istnieją – że ograniczę się do współczesności – na pewno Jerzy Liebert, Władysław Sebyła czy Ludmiła Marjańska. Bardziej obecni w ogólnopolskim dyskursie wydają się być też Tadeusz Chabrowski, Andrzej Kalinin czy Waldemar M. Gaiński”². Tym lepiej, że Arek Frania przybliży czytelnikowi postać Gierymskiego. Uwidacznia jego dorobek, życie, wady i zalety. Bowiem zarówno słabości, jak i przymioty u tego twórcy mocno się przenikają. Ktoś powie „jak u każdego”, no ale jednak nie u każdego twórcy z taką konsekwencją. Gierymski – egoista i tropiciel prawdy; jak również okresowo zmagający się z problemami natury psychicznej i wzorowy dziadek. Kąśliwy krytyk i ciepły, przyjazny propagator młodych poetów. Już sam stosunek do niektórych osób i miejsc jest u niego dość wymowny. Przykładowo obecna jest częsta ambiwalencja wobec Częstochowy, którą hołubi i deprecjonuje, czy też przeciwstawność względem Waldemara M. Gaińskiego, którego na przemian nobilituje i deprecjonuje. Antynomie – u tego twórcy – dotyczące postaci, a i pewnych miejsc, są dość częste. Zauważa to i wyjaśnia autor książki.

Przypomnijmy telegraficznie i dla porządku, iż debiut poety to rok 1955 i „Tygodnik Powszechny”, w którym publikuje wiersz *Przeciw wojnie*. Jego debiutem książkowym natomiast był wydany w 1976 roku arkusz poetycki *Krótką oda do lampy*. Sześć lat później ukazał się tomik poetycki *Rosa i rdza*. W roku 1999 wydane zostały *Wiersze*, a w 2001 *Notatki z czasu*. W 2002 roku ukazały się *Opowiadania najkrótsze* i wybór poezji *Wyścig z Czasem*, a w roku 2003 dwa tomiki poetyckie: *Piołun* i *Tulia* oraz – co trzeba odnotować – praca *Region częstochowski w literaturze pięknej*. Jego ostatnia książka (*Miscelanea literackie*) ukazuje się w roku 2005. Szczegółowe informacje bibliograficzne odnoszące się do tekstów Tadeusza Gierymskiego przywołuje badacz (wszak Frania to też doktor literaturoznawstwa) na końcu publikacji.

1 O bogatym dorobku Arkadiusza Frania pisałem w „Galerii”. Por. O „Osobowościach i osobliwościach...” *Arkadiusza Frania i o osobie ich autora*, w: Częstochowski Magazyn Literacki „Galeria”, październik-grudzień 2020, nr 56, s. 81-83.

2 K. Ludwicki, „O Notatkach z czasu Tadeusza Gierymskiego”, w: A. Czajkowska, J. Warońska, E. Wróbel (pod red.), *Częstochowa, nasze miasto. Wydarzenia, wspomnienia, ludzie*, Częstochowa 2018, s. 267.

Zamieszcza też wykaz wypowiedzi i listę wywiadów poświęconych pisarzowi i poecie. Mnie obojętnie zabrakło jedynie indeksu nazwisk.

To Tadeusz Gierymski – przypomnijmy – był jednym z inspiratorów życia literackiego w Częstochowie. Był swoistym *spiritus movens* konkursów poetyckich (m.in.: Ogólnopolskich Konfrontacji Poetyckich im. Haliny Poświatowskiej czy Turnieju Jednego Wiersza). O wszystkim tym szczegółowo pisze autor w swoim szkicu-monografii. Bo przede wszystkim jest to jednak – myślę – monografia.

Jednym z postulatów Arka Frani jest chęć badania twórczości Gierymskiego przez pryzmat kategorii historii (a i egzystencji) i przez pryzmat własnej wrażliwości. Frania infiltruje twórczość Gierymskiego. Da się zauważyć wspólną wrażliwość oraz zbieżne wyczulenie na pewne kwestie. Łączy ich osobliwe przymierze i swoista (bo przecież też i różna) duchowa więź. Mówi o tym w *Posłowie* Barbara Strzelbicka: „Książka jest świadectwem niezwyklej więzi autora-poety z bohaterem-poetą, to pełne empatii odczytywanie myśli i uczuć z zapisków starego poety i przepuszczanie ich przez własną wrażliwość” (s. 210).

Frانيا skrupulatnie konfrontuje fakty. Szczegółowo zestawia wydarzenia zarówno z życia prywatnego, jak i twórczego Gierymskiego. Koryguje nieścisłości. Np. błąd, jaki popełnił poeta z nazwą tytułu pisma. Rzekomej (zdaniem Gierymskiego) „Kultury” – a przecież chodziło o „Kuźnicę” (s. 55). Frania wyjaśnia nieścisłości. Szuka, wertuje, porównuje, tropi.

Janusz Pawlikowski w drugim *Posłowie* publikacji snuje takie refleksje: „Są literaci wymagający ponownego odkrycia i badacze twórczości, którzy wymagają od siebie, by to odkrywanie przeprowadzić. Tak właśnie jest w przypadku Tadeusza Gierymskiego i Arkadiusza Frania, badacza, który znów przygląda się jego tekstom. Lubię to logiczne i precyzyjne podejście do literatury, konkretne, niemal matematyczne, jakie znajduje się na kartach książek Arkadiusza Frania” (s. 209). Trudno nie zgodzić się z autorem powyższych zdań. Januszowi Pawlikowskiemu należy jedynie przyznać rację. Frania to autor – (nie tylko) w kontekście Gierymskiego – wnikliwy, ale wręcz pedantyczny nade wszystko w swoich weryfikacjach.

Jaki obraz Gierymskiego rysuje nam się po lekturze książki Frania? To obraz pisarza odizolowanego i nieco samotnego. Wizerunek twórcy z wieloma zasługami dla środowiska częstochowskiego, ale też częstymi pretensjami i zadrąmi względem niego. Widzimy człowieka bez wątplenia dobrego, ale i cokolwiek konfliktowego. Mamy obraz poety, publicysty, dziennikarza z pozostałościami i śladami „wyobraźni dziecięcej, logiki niezgadzającej się z normami i zasadami odbioru świata” (s. 194). I bardzo dobrze – chciałoby się dodać.

Wiadomym jest, iż – generalnie – łatwiej jest człowiekowi poznać samego siebie, żyjąc we wspólnocie, niż w odosobnieniu. Gierymski jednak idzie w odseparowanie, samotny namysł nad sobą bywa u niego do pewnego stopnia toksyczny. Jakkolwiek pojmuję on, iż jedynie słuszną drogą w twórczości i egzystencji jest – bez względu na to, jak patetycznie to zabrzmie – droga realizacji najwyższych wartości. Stara się to czynić. Osiągnąć to można, o ile w ogóle, poprzez wiarę. To oznacza, że punktem wyjścia i pierwszym przedmiotem jego literatury jest nie tylko i nie tyle człowiek, ale i Absolut. Człowiek – ma tę świadomość Gierymski i wie to Frania – jest bowiem kimś znacznie więcej niż sam wie o sobie. W swoistym defekcie świata tkwi dla człowieka przyczyna, która nie pozwala mu znaleźć spełnienia tylko w egzystencji. Każe mu więc niejako poszukiwać czegoś (Kogoś) niezawodnego w niej, ale i p o z a nią. To nieustanna potrzeba bycia poza światem wyłącznie rzeczywistym, mimo że tak mocno osadzona również na jawie – w rzeczywistości.

Arkadiusz Frania, *Tadeusz Gierymski: „pisanie wierszy to umieranie po kawalku”*, Towarzystwo Galeria Literacka, Częstochowa 2024, s. 212.

Tomasz „Aztzenty” Barański

ANDY WARHOL W RZESZOWIE

W SPOSÓB ZAMIERZONY NIE UJĄŁEM NAZWISKA ANDY'EGO WARHOLA w cudzysłów, choć przecież sam artysta z wielorakich względów osobiście w Rzeszowie pojawić się nie mógł... – chodzi o to, że gdy znalazłem się w Muzeum Okręgowym w Rzeszowie przed salą, gdzie były wystawiane prace Andy'ego, znajdowała się perfekcyjnie wykonana jego figura (nie wiem, czy to z tworzywa sztucznego, czy też z wosku) – tak bardzo przypominająca żywą istotę, że aż zaniemówiłem. W pewnej chwili uświadomiłem sobie, że być może to jest ktoś żywy przebrany za artystę (tak bardzo było to realistyczne), a wykonując z bliska zdjęcia twarzy tej figury obawiałem się, że zostanę ofuknięty za to, iż podchodzę tak blisko! Wrażenie naturalności potęgowały jeszcze widoczne przebarwienia skóry twarzy (później dowiedziałem się, że w związku z tym artysta nosił przezwisko „Plama”, które otrzymał jeszcze w dzieciństwie). Więc – to był Warhol we własnej osobie! – przy okazji przekonałem się, że miał drobną, szczupłą i nie za wysoką sylwetkę.

Legendarny Andy Warhol to syn rusińskich rodziców, pochodzących z wioski Mikova na wschodzie Słowacji, który wylansował w sztuce nowy sposób wypowiedzi artystycznej i dzięki temu stał się „supergwiazdą”, królem pop-artu, kultową postacią sztuki, jak również życia kulturalnego XX wieku. Był dokumentalistą swego czasu, portrecistą społeczeństwa, grafikiem, rysownikiem, fotografikiem, twórcą filmowym, autorem sztuk teatralnych i biografii, producentem i menedżerem muzyki rockowej, wydawcą czasopism oraz autorem programów telewizyjnych, a także czołową postacią „The Factory”, legendarnego atelier w sercu Nowego Jorku. Wszystko to składa się na obraz artysty, który za życiowy cel obrał sobie ideę prezentowania banalnych motywów i ekscentrycznych obrazów snobistycznej i konsumpcjonistycznej społeczności amerykańskiej. Wylansował siebie jako celebrytę kulturalnej sceny. Wszystko to uczyniło z niego z jednej strony dziwnego ekscentryka i intelektualistę-mądrą, a z drugiej człowieka pełnego tajemnic, który swój image potwierdzał wieloznacznymi wypowiedziami o sobie, swojej sztuce i o życiu w ogóle. Jego „schizofreniczny” tryb życia – ekstrawaganckiej *super star* i jednocześnie introwertyka – może być dla kogoś przejawem rekompensaty. Jako jedna z największych osobowości Ameryki, ale i najbardziej nietypowa, idąc na imprezę kulturalną, zażywał lek przeciwlękowy. W świecie amerykańskiej śmietanki towarzyskiej występował jako... obserwator. Narzuca się pytanie: dlaczego uciekał ze świata powierzchowności w zacisze swojego mieszkania, pełnego antyków, banalnych przedmiotów, do swojej matki, prostej wiejskiej kobiety, do modlitwy? Sam o sobie mówił tak: „Jeśli chcecie wiedzieć o mnie wszystko, spójrzcie na powierzchnię moich obrazów, filmów i na mnie – to jestem ja. Nic się za tym nie kryje” – tak maskował się Warhol, który metodą sitodruku stworzył wiele tematycznych dzieł, na pierwszy rzut oka jasnych i zrozumiałych, ale prezentujących w tle złożoną strukturę. To, co stworzył, przepełnione jest ukrytymi implikacjami, ale niesie też ze sobą wtórne znaczenia. Wygląda to na manipulację szeroką publicznością, kiedy wprowadza do swej sztuki przeróżne treści (portrety morderców i kryminalistów, a także znanych osobistości) – sam pozostając z boku. Jako Amerykanin twierdził, że skoro amerykańska demokracja jest zjawiskiem masowym, to dlaczego masowa nie może być również sztuka? Dla Warhola nie ma nic tak trywialnego i banalnego, co by nie mogło zostać zmonumentalizowane techniką sitodruku i dodatkowo wzmocnione seryjnym powtórzeniem.

Szczypta wiadomości biograficznych. Mikova – z wolna wymierająca rusińska wioska na wschodzie Słowacji (na omawianej wystawie eksponowany był modlitewnik matki artysty, pisany cyrylicą!) – jest miejscem urodzenia Andreja Varhola i Julii Zarickiej – rodziców najbardziej charakterystycznej osobistości świata sztuki drugiej połowy XX wieku. W roku 1909, po ślubie w cerkwi w Mikovej, Julia Varholova wyjechała ze swoim mężem do Ameryki. Jej podróż wiodła przez Polskę ku Gdańskowi (którą odbyła ze swoją przyjaciółką pieszo), następnie z Gdańska do Nowego Jorku statkiem. Osiedlili się w Pittsburgu, w mieście górników i przemysłu. Wygnani przez biedę, znaleźli na obcej ziemi to samo – biedę. Ciężka praca ojca nadwyrężyła jego zdrowie na tyle, że zmarł w 1942 roku. Chorowity młody Andy spędzał całe dni w towarzystwie matki. Aby rodzina mogła przeżyć, starsi bracia John i Paul musieli iść do pracy. John wspominał: „Byliśmy bardzo biedni. Mama chodziła dorabiać sprzątaniami, w domu po nocach szyła i wyrabiała różne pamiątki, które potem sprzedawała. Żyliśmy bardzo ubogo i nieraz nawet nie było co jeść. Mama była bardzo oszczędną kobietą. Nigdy nic nie wyrzucała, mówiła: wszystko się kiedyś przyda”. Z tej przyczyny Andy chętnie zbierał różne rzeczy, rzadko kiedy coś wyrzucał. W swoim domu miał wiele różnych drobiazgów z pchlich targów: kolorowe talerzyki, dziesiątki gipsowych krasnoludków, zabawek, młynków, atrap owoców – wszystko to z wielką lubością skupował, a ludzie dziwili się, na co mu to potrzebne. Częste choroby i bieda wykształciły u neurotycznego młodego Andy’ego pewne cechy. Czytał wiele gazet i pisywał do nich listy, słuchał opowieści matki podczas dni spędzonych w łóżku, przeglądał też reprodukcje ikon. Pomimo wiecznych niedostatków, skończył Carnegie Institute of Technology w Pittsburgu, po czym w 1949 roku wyjechał do Nowego Jorku, gdzie zmienił nazwisko z pierwotnego Andrew Warhola na Andy Warhol. Zatrudnił się jako grafik w modnych magazynach „Vogue”, „The New Yorker” oraz w firmach, jak np. Tiffany. W owym czasie często zmieniał miejsca zamieszkania, co pogłębiało jego samotność. W 1952 roku przyjechała do niego matka, z którą mieszkał aż do jej śmierci w 1972 roku.

Przez całe życie bał się śmierci – już jako sławny artysta pop-artowy wykonywał prace z ludzkimi czaszkami – nawet do własnego portretu dodał czaszkę, bardzo przypominającą fizjonomię jego twarzy – jakby samego siebie przekonywał o tym, że nie odczuwa strachu przed śmiercią – czy naprawdę? Z relacji ludzi bliskich Andy’emu wiadomo, że nie chciał, by na grobie znalazło się jego nazwisko, lecz napis „Nikt”. Zmarł w Nowym Jorku 22 lutego 1987 roku na skutek komplikacji po operacji woreczka żółciowego.

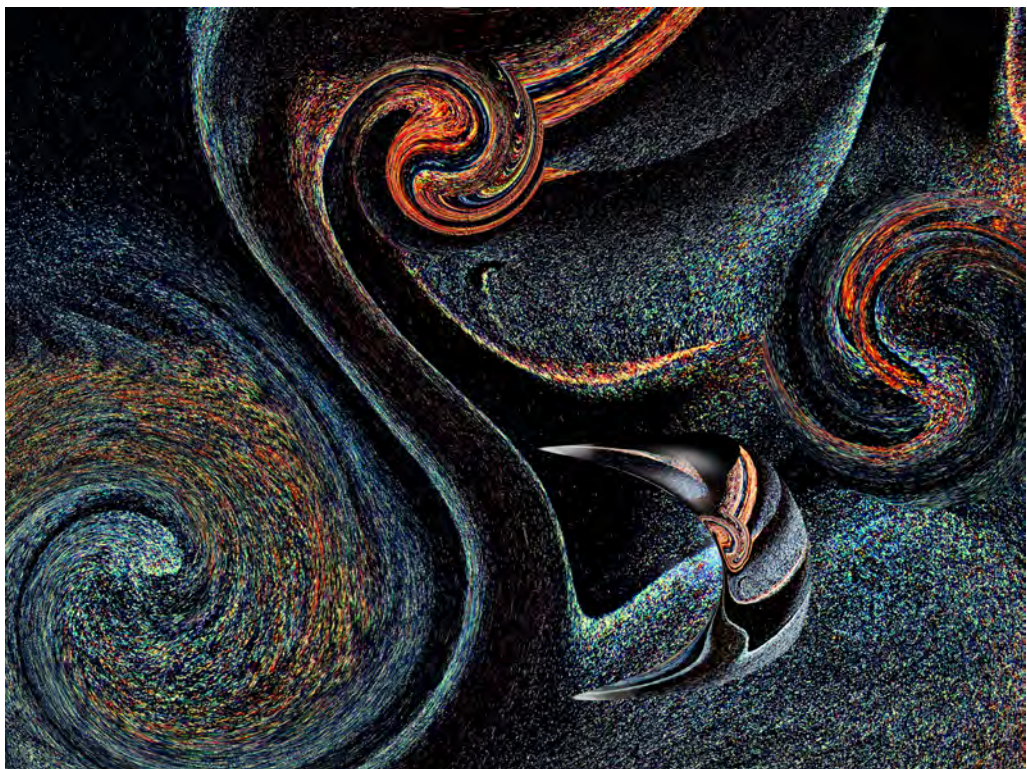
Wystawa w Rzeszowskim Muzeum, sprowadzona z powstałego w 1991 roku Muzeum Sztuki Nowoczesnej Andy’ego Warhola w Medzilaborcach (Słowacja), nosiła tytuł „Andy Warhol – przed i po” i jak każda szanująca się wystawa zawierała różne artefakty związane z bohaterem, były tu m.in. fotografie matki artysty, a nawet stroje. Obejrzawszy ją przyznaję, że dziwi mnie wypowiedzi, że twórczość Warhola niewiele ma ze sztuką wspólnego i złośliwe opinie, że jest to „sztuka użytkowa”. Oprócz obrazów na wystawie zaprezentowano również film, w którym Warhol spożywa hot doga – niby nic, a jednak jest to wydarzenie jedyne w swoim rodzaju. Jego postać i ruchy były czymś niezwykle oryginalnym i biła od nich jakaś moc i magia – czy to za sprawą samej jego obecności, czy może jest to pokaz „dobrych manier” na miarę przełomu XX i XXI wieku. Prezentowany „luz” nie jest czymś błahym i wymaga wbrew pozorom wiele kunsztu, którego nie można się tak łatwo nauczyć.

Pozostaje jeszcze kwestia techniki sitodruku – jako humanista nie do końca rozumiem jego „ideę” oraz jego rację bytu. Czy patrząc na dzieło sitodrukowe patrzę na oryginał, czy też nie? Widziałem słynne obrazy prezentujące Marilyn Monroe w wielu barwach, jego autoportrety (skoro mówicie, że to nie sztuka – to spróbujcie wyglądać tak jak On!). Żałuję tylko, że nie było tu słynnych obrazów z zupą pomidorową w puszcze (były natomiast jakieś

pudła, odpowiednio podrasowane, służące jako opakowania (chyba żywności). Różne inne kompozycje z ludźmi, kwiatami, zaskakujące kolaże o różnych dziwnych kształtach, fantastyczne pejzaże.

Wspomnę jeszcze o samym Rzeszowie, bo na dobrą sprawę miasto zobaczyłem po raz pierwszy i zrobiło na mnie ogromne wrażenie. Jest tu mnóstwo wspaniałych budynków, w tym także budynek Muzeum, liczne bardzo piękne i stylowe kamienice, znajduje się tu również okazały zamek, rynek i cała sieć urokliwych uliczek w centrum. Zastanawiam się, skąd wzięła się ta „wielkość” Rzeszowa, który w historii nie odegrał przecież zbyt wielkiej roli – w przeciwieństwie np. do pobliskiego Przemyśla. Tak, mile się rozczarowałem! Udało mi się również ustalić, że główna ulica Starego Miasta, nosząca nazwę 3. Maja (na której notabene pod nr 19 znajduje się Muzeum), nazywała się kiedyś Pańska, w tutejszej gwarze „Paniaga” i w związku z tym trzeciego maja odbywa się tu „Święto Paniagi”, na które nie zdążyłem przyjechać. Ale przede wszystkim dziękuję miastu za zorganizowanie wspaniałej wystawy, sprowadzonej z pobliskiego miasta Medzilaborce, dokąd można dostać się z Rzeszowa specjalnym pociągiem, jednak wystawa w Rzeszowie oszczędziła mi wiele trudu, czasu i pieniędzy, choć ograniczała się tylko do jednego pomieszczenia. Przy okazji dowiedziałem się, że Rzeszowskie Muzeum Okręgowe posiada w swoich zasobach piękne zbiory malarstwa, od dawnej sztuki szlacheckiej do Witkacego. Ja w każdym razie zaliczyłem (małym kosztem) kolejny słup milowy w mojej edukacji kulturalnej!

Wykorzystano: *Andy Warhol's life and death* – przewodnik po Wystawie w Medzilaborcach.



Roman Timofiejuk, „Odyseja – podróż po czasie i przestrzeni 4”

Małgorzata Nowakowska-Karczewska

ON | ONA



Ty sam się rodzisz i umierasz po to,
Byś raz z miłosną spotkał się pieszczotą.
(Maria Konopnicka)

LOS DAJE SZANSE NA MIŁOŚĆ, od wieków wszak – tu przywołam słowa Kaspra Miaskowskiego –

Kupido, stanąwszy na ustroniu w kroku,
Nałożywszy swą strzałę, ciągnie łuk po oku

i budzi serca, daje nadzieję na szczęście. Strzały Kupidyna godzą celnie i wkrótce jakiś młodzian, oczarowany urokiem dziewczęcia, sławi wdzięki wybranki w wierszykach równie czułych jak ów, który wyszedł spod pióra Józefa Szymanowskiego:

(...) moja luba,
Jakżeś oczom miła!
Pięknych kwiatków jesteś zgubą
I różęś zgasła.

Inny młodzieniec, upojony smakiem pierwszych, ukradkowych może pocałunków, chciałby zakrzyknąć jak Katullus:

Całuj mnie tysiąc razy i sto potem,
I znów tysiąc, i znów na sto mam ochotę.

A wzorem Podstoliny niejedna pani, udając nieczułą, pouczać będzie:

Służ, nadskakuj i bój się, i wahaj w nadziei,
Te są drogi do serca, tym się miłość klei –

by przekonać się, ile szczeroci mieści się w owych finezyjnych komplementach, którymi obdarzał ją Fircyk.

Wszyscy, o których ów boski łucznik przypadkiem zapomniał lub zwlekał z oddaniem celnego strzału, potrafią znaleźć inne, choćby sekretne sposoby, na przykład sporządzić – recepturę łatwo odnaleźć w pismach Nostradamusa – napój miłosny Medei. Mikstura, efekt wieloletnich eksperymentów sławnego alchemika, pełna jest wprawdzie najdziwaczniejszych ingrediencji, niełatwa do wykonania, ale czegoż nie warto zrobić dla szczęścia.

Strzały Kupidyna trafiają celnie, napój miłosny Medei – wedle zapewnień Nostradamusa – działa znakomicie, przeszkody usunięte, zmysły na wodzy utrzymać trudno, pojawia się tedy myśl o ślubie. Przeciwnicy małżeństw – pewnie pod wpływem własnych niefortunnnych doświadczeń – odradzają stałe związki. Lepiej – przekonują – nie przeżywać bolesnych rozczarowań, gdy słodkie dziewczę, którego bliskości tak się pragnęło, zmieni się w jędzę, zazdrośnicę, kłamczuchę i przyjdzie przyznać rację Arystofanesowi, który w jednej ze swych komedii pomieścił takie słowa:

Nie istnieje nad kobietę okropniejszy w świecie stwór,
nawet ogień i pantera, choć bezwzględna, przy niej – nic!

Powaby niewieście także wędzną zbyt szybko, żona brzydnie, stara się wprawdzie dbać o atrakcyjność, stosuje różne sztuczki, barwiczki, mazidla, ale w końcu nawet owa maść Nostradamusa – ta na bazie żółci zwierzęcej, która wedle zapewnień wynalazcy usuwać miała wszelkie zmarszczki już po jednym zastosowaniu – urody czasu młodości nie przywróci i raczej przypominać się będą złośliwe epigramy Marcjalisa:

Sztuczne zęby i włosy sztukują twą postać,
Cóż z okiem będzie, Lelio? Trudno pono dostać.

Hippokans z Efezu jeszcze mocniej przekonywał panów, że ślub ku szczęściu nie prowadzi:

Dwa dni z niewiastą najweselej człowiek spędza,
Gdy ją za żonę pojmie, i gdy w grób kładzie.

Paniom mariaż także gwarancji szczęścia nie daje, wymarzony mąż często niewierny albo despota, nakazujący – wzorem Zeusa besztającego Herę:

Siedź i skromnie się moim powoduj rozkazom,
Bo cię tu nie zasłonią wszystkie bogi razem
Od strasznego tej ręki ogromnej zamachu.

Wprawdzie, zdaniem Dulskiej, żaden mężczyzna nie jest wart, by przez niego cierpieć, męża można „uchodzić”, zabierać mu pensję, „gdy zaferuje”, wydzielać cygara, pieniądze na kawę „do łapy”, ale pewnie nie takiego szczęścia oczekuje się w życiu.

Argumentów sporo, małżeńskie szczęście to raczej złuda, ale kiedy jest się zakochanym, kiedy namiętności sięgają zenitu, trudno wyrzec się marzeń o wspólnym szczęściu.

Kornel Ujejski ożenił się po krótkiej znajomości, pulchniutka panna Komorowska, jak przyznawał, podziałała na jego zmysły jak żadna inna dotąd. Po ślubie osiedli w dzierżawionym majątku, a w wierszu dedykowanym żonie poeta obiecywał:

Pójdziemy razem, pójdziemy we dwoje, (...)
A w chwilach trwogi ja cię uspokoję, (...)
A cierpiąc – cierpieć będziemy – we dwoje!

Rychło okazało się, że podnieta zmysłów to za mało, żona nie rozumiała jego potrzeb duchowych, w dodatku, zajęta prozaicznymi, codziennymi sprawami, zaniedbała się. Rozczarowani oddalali się od siebie. Dojrzała miłość przyszła później, gdy poeta poznał Leonie Wildową. Podobno miała jakiś niezwykły urok, któremu nie sposób było się oprzeć. To ona, jak wspominał Kornel, kołba jego zbołałego ducha, łączyły też wspólne zainteresowania, muzyka, poezja. Szczęśliwy romans ukrywali przed światem, wszak oboje nie byli wolni. Pani Jasna była adresatką pięknych erotyków:

Usta nie będą próżnować, (...)
Całować mają, całować,
Aż się na popiół scałują.

Małżeńskie szczęście kruche, trzeba je pielęgnować, inaczej... – jak zgrabnie przedstawił, sam gorzko wspominający własny krótkotrwały związek Jan Lemański:

Ołtarz. Na wieczność przysięga.
Łoże. Raj zenitu sięga. (...)
Upływa rok. Dwa. Trzy. Cztery.
Żona rodzi. Ty grasz w kiery. (...)
Pas! Pas!... Pękły serc ogniwa.
Twój przyjaciel w domu bywa.

Dośkonale rozwinięcie takiej sytuacji odnajdziemy w komedii *Mąż i żona* Aleksandra Fredry. Jest i mąż karciarz, i przyjaciel, który ma ochotę na amory, i jeszcze okno, przez które w potrzebie łatwo się wymknąć. Hrabiemu Wacławowi, tytułowemu mężowi, na krótko starczyło uwielbienia dla Elwiry, której powszechnie mu zazdrozczono:

On oziębły ze swą żoną,
Domu swego już nie lubił.

Doświadczony uwodziciel spróbował owej „kwaśnej słodyczy”, tym bowiem stało się dlań małżeństwo, i żałuje dawnej swobody. „Pókiśmy wolni, lepiej nam się wiedzie” – zwierza się przyjacielowi nieświadom, że Alfred uwodzi mu żonę, co trudne nie było, bo i Elwirę małżeństwo rozczarowało. Jest jeszcze pokojówka Justysia, owa „lubcia droga”, która obu panom

wpadła w oko. Alfred miewa chwilowe skrupuły, szybko je odsuwa: „Żyj, Alfredzie, krótkie życie!” – zresztą Elwira już mu się znudziła, ów „pociąg luby i ognisty” naprawdę nie istniał, Justysia wydaje się słodsza. Waclaw, pewien przymiotów swej żony, nie podejrzewa zdrady, ma się za doskonale doświadczonego w takich sprawach: „Poznam takiego gacha za pierwszym wejściem”. Sprytna Justysia knuje, jak by najlepiej dla siebie wykorzystać sytuację.

A ta najlepiej, duszyczka kochana,
Bo zwiedła i mnie, i panią, i pana –

konstatuje Alfred, gdy prawda wychodzi na jaw. Małżonkowie postanawiają jednak dać sobie szansę:

(...) błędy nasze, zostając przestrogą,
Spokojność z czasem przywrócić nam mogą –

mówi Waclaw, rozstając się z przyjacielem.

Co ciekawe, sam Fredro żył w szczęśliwym związku ze swoją pieszczotliwie nazywaną Zolką. Wielka miłość wytrzymała próbę czasu, gdy ładnych parę lat Aleksander czekać musiał na unieważnienie pierwszego małżeństwa Zofii. Nie był łatwym partnerem, czasem wpadał w stany depresyjne, w okresach nasilenia bólów podagrycznych myślał nawet o samobójstwie.

Nie jeden niewierny małżonek przekonał się, jak byle przypadek sprawia, że żona prawdę poznaje. Oto pewien znany pisarz – powiedzmy pan X – chętnie innym wypominał nieuczciwości małżeńskie, a sam wierny nie był. Skandal wybuchł, gdy w wieku mocno już średnim, jako tata sporej gromadki dzieci zakochał się w kilkunastoletniej aktorce. Nie on wszak pierwszy, takie historie panom, którzy chcą uciec od myśli o zbliżającej się starości, zdarzają się nader często. Zaczął farbować brodę, przerzedzone włosy przeczesywał ołowianym grzebykiem, co pono pozwalało je przyciemnić. Jakże celny będzie w tym miejscu epigram Marcialisa, który chętnie wykpiwał takie słabostki:

Farbując włosy, chciałeś się odmłodzić
I – gołąb siwy – nagle zmieniłeś się w kruka.
Ludzi mógłbyś, Lentynie, jeszcze trochę zwodzić,
Ale śmierci fryzurą nie zdołasz oszukać.

Prawda wyszła na jaw z „winy” jubilera. Piękna bransoleta z wygrawerowanymi inicjałami, miast na rączkę dziewczęcia, trafiła do żony. Sprawa dostała się do gazet – a czytelnicy lubią takie pikantne historie. Pan X próbował rzecz zatuszować, sąd wszakże orzekł separację.

Czym żyć na potem z serca połowicą?
Smutny to pobyt. (...) ty w kominie nogi,
Zdrzymniesz się z kuflem... a ockniesz się z rogi –

pytał pewnie nie jeden małżonek, gdy lata mijały, coraz częściej wkradała się nuda, sił ubywało. Adam Naruszewicz, autor wiersza, chyba tych dylematów nie przeżywał. Nie był już młodzieńcem, gdy po sekularyzacji zakonu jezuitów zakochał się w Magdalenie z Ejsmondów. Pozostał wierny uczuciu lat 20 i żałował, że „miłosna pieszczota” przyszła późno i na zbyt krótko.

A panom, którym łózkowe figle z wiekiem trudniej przychodziły, niezawodny Nostradamus proponował miksturę, która wigor przywracała. Wykonania mógłby się podjąć chyba tylko jakiś nieczuły ornitolog, przepis wymagał bowiem zdobycia kropelek krwi spod lewego skrzydełka siedmiu wróbli samczyków. Bohater epody Horacego i tak pewnie nie sięgnąłby po nią, chyba że znalazłby się w innym łóżu:

To ty masz czelność pytać, próchno stare,
Co sprawia, że brak mi męskości?
Zęby masz czarne i zmarszczek nad miarę
Na czole zawdzięczasz starości.

Związki niszczy nie tylko upływający czas, także zazdrość, brak zaufania, podejrzliwość, niewierność. Zdrada zawsze boli:

Któż myśli o słowach w rozpacz?
Milczeć? (...)
Milczeć – lecz zazdrość – ta musi wybuchnąć,
Musi wybuchnąć! –

mówi Mulaj, bohater dramatu Calderona, zakochany w córce króla Fezu.

Zazdrość różne rzeczy potrafi zrobić z człowiekiem, świetnym przykładem może być historia z wiersza Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego:

Gdy flirtowała z drabem,
biedny mąż się ukrył za grabem.
Kiedy zaczęła z Leonem,
biedny mąż stanął za jesionem. (...)
Potem dęby, sosny i klony
jęły kryć tego męża niewiernej żony.

Wierności dochować niełatwo – „droga cnoty śliska” – jak mówi bohaterka ballady *Lilie*. Nie tylko ona jej nie dochowała, niejedna pani, nim nazwą ją „próchnem starym”, ulegnie podobnym pokusom – zdrada legła u podłoża niejednej zbrodni.

Miłość jednak potrafi też doskonalić, czego przykładem losy Damona, bohatera komedii Franciszka Zabłockiego *Zabobonnik*. Młodzian poślubił w sekrecie dziewczynę ubogą, ale przeciw:

Komu miłość szczerze w serce wlezie,
Nie pomni o posagu ani intercyzie.

Ojciec sknera chciał innego ożenku i teraz szuka sposobu, by syna rozwieść albo wydziedziczyć: „Niech pozna hołysz, co miłość o głodzie”. Damon jest jeszcze w wieku, w którym ojciec ma prawo żądać podporządkowania się jego woli, w dodatku nie ufa synowi. Sługa Filutowicz przypomina młodzieńcowi niedawny czas:

Gdyś się świszczypalstwem bawił i pustotą,
Kiedyś wiatry upędzał i kaduk wie, gdzie chodził,

Panienki oszukiwał, mężatki rozwodził,
Kiedyś ojca z majątku okradał i tracił.

Damon, teraz już odmieniony, szczęśliwy w miłości, zyskuje sojuszników, którzy znajdują sposoby, by pogodzić Anzelma z synem.

Nie zawsze jednak miłość łączy dwoje ludzi i wtedy trudno szukać w małżeństwie szczęścia i wierności.

On nie kochał, nie jęczał, tylko trzosem zabrzęczał,
Tyś mu wszystko sprzedała na wieki –

wypomina ukochanej bohater ballady *Czaty*. Często bowiem skuszają: „Owe wioski, co z mymi graniczą dziedziczne” – co przyznaje – „wpisany w bractwo braci żałujących” – bohater satyry Krasickiego. Podobnej pokusie uległ ongi Jan Chryzostom Pasek. Swatali krewni i przyjaciele, „serce chwyciło” do panny Śladkowskiej, jedynaczki, dziedziczki wioski Boża Wola, w której na każdym zagonie piękna „pszenica i cebola”. Mariaż był już niemal postanowiony, gdy bies chyba jakiś podszeptnął, by wraz z krewniakiem udać się z towarzyską wizytą do wdowy Remiszowskiej. Trunki, muzyka, komplementy, wdówka zdawała się być ponętna, zamożna. Miał też Pasek nadzieję doczekać upragnionego potomka. Krewni szybko zakrzętnęli się, nawet rodziców o błogosławieństwo pamiętnikarz nie zdołał poprosić, a już był po ślubie. Nadzieje na zamożność zawiodły. Syna nie doczekał – podejrzewał wprawdzie, że za sprawą magii, znalazł bowiem w łóżu ślady jakoby o tym świadczące. Ponętna wdówka miała wprawdzie pięć córek, ale też w chwili ślubu lat 46. Dość powiedzieć, że i Pasek w owym „bractwie braci żałujących” się znalazł.

Dziwne i nieszczyśliwe bywają najczęściej związki dynastyczne. Przykładem może być małżeństwo Jerzego IV i Karoliny Brunszwickiej. Król, jeszcze jako książę Walii, prowadził – ku zmartwieniu Jerzego III – życie nad stan. W trosce o ciągłość dynastii należało go szybko ożenić. Książę zobaczył wybrankę dopiero krótko przed ślubem. Wymagający, próżny Jerzy zobaczył niską, nieco flejtuchowatą Niemkę z dużym biustem i przeżył szok. Końca uroczystości ledwie doczekał, od początku czuł wstręt do żony, a kiedy na świat przyszła córka, przestał się pojawiać w komnacie małżonki. Zamieszkali w osobnych rezydencjach. Karolina nie rozpęzała, myślała może podobnie jak bohaterka znanej tragifarsy: „pogodziłam się z życiem i kradnę to, co jest najpiękniejszego”. Wydawała więc szalone przyjęcia, otoczona młodymi mężczyznami podróżowała po Europie, szokowała strojami, ogromną, czarną peruką i nigdy nie kryła, że uwielbiała upokarzać małżonka.

A strzały Kupidyna ranią kolejne serca... i znów sekretne wyznania... nowe nadzieje... rozczarowania.



Jarosław Kapsa

SZAROŚĆ

Wspólne cierpienie (...) nigdy ludzi nie brata, ale oddala ich od siebie. Łączyć i bratać może tylko radość. Nie ma bohaterstwa klęski, jest tylko bohaterstwo zwycięstwa. Nie istnieje również braterstwo broni ani wspólnota przeżyć wojennych, obozowych czy więzionych. Poczęły je moralne klęski człowieka, a porażka nie łączy i nie wiąże. Istnieje natomiast spora więzanka frazesów o uszlachetniającej roli cierpienia i o wspólnocie krzywdy¹.

I

Wacława S. aresztowano w kwietniu 1947 w Kudowie-Zdroju na polecenie częstochowskiej prokuratury. Śledczy z dolnośląskiego miasta sprawy nie znali, przesłuchiwali rutynowo. Czy siedział w więzieniu? Aresztowany, siedząc sztywno na stołku, z rękami przepisowo położonymi na kolanach, odpowiadał beznamiętnie. Tak, od 29 stycznia 1945 r. do 29 listopada 1945 za znęcanie się nad Polakami. Czy znęcał się w czasie okupacji? Nie. Przyznał się do znęcania za sanacji, przed 1939 r., do przestępstwa uznanego w powojennym dekreście za udział w faszyzacji kraju. Wyjaśniał: od 1936 pracowałem w fabryce „Blachownia”, w 1938 przyszedł M. z kolegą, chciał pieniędzy, wyjąłem pistolet i postrzeliłem go. Sąd sanacyjny skazał go na grzywnę 48 zł. Co się stało z M.? Józef M. nie żyje, został zastrzelony przez kolejarza przy kradzieży węgla. Czy to wy podmówiliście kolejarza, by zastrzelił Polaka? Nie, nie spotkałem M. w czasie wojny, nie wiem, gdzie przebywał, co porabiał... W czasie kampanii 1939 r. byłem w straży granicznej, wraz z nią odwrót do Bugu, tam spotkaliśmy rosyjskie czołgi. Poddaliśmy się Niemcom... Po 4 tygodniach wróciłem do domu. Pracowałem w hucie „Blachownia”, po roku zostałem wywieziony na roboty na Górny Śląsk, do huty żelaza Andreas Hutte, tam pracowałem do wejścia Rosjan. Nie było najgorzej. W domu bywałem co tydzień, a nawet częściej....

Na podstawie donosu sąsiedzkiego funkcjonariusz MO Ireneusz N. z Częstochowy ustalili, że zatrzymany w Kudowie Wacław S. winny jest zdrady, w 1942 r. doniósł władzy niemieckiej na Olszewskich. Ustalenie to oparł na zeznaniach Eugeniusza Sz. Świadek zeznawał w prokuraturze 30 maja 1947 r. Z S. znał się od dziecka. W czasie okupacji był w GL, S. uchodził za szpicla. W dniach 23-25 czerwca 1942 r. z K. Kierachem i Olszewskim w domu Olszewskiego zabijali świnię, zjawili się Niemcy – udało im się uciec. Następnego dnia wezwałem S. do mieszkania Anastazego R., przesłuchałem, nie zaprzeczał, że doniósł. Zeznanie Sz. wydawało się prokuratorowi niewiarygodne. Śledztwo umorzono, w lipcu S. odzyskał wolność².

Nie na długo. Ponownie został aresztowany 9 stycznia 1950 r. Oskarżono go, że w 1942 r. doniósł do niemieckich żandarmów na trzech sąsiadów – Konstantego Kieracha, Władysława Olszewskiego i Eugeniusza Szymonika – o nielegalny ubój świni. Kierach trafił do Oświęcimia i już nie wrócił, Olszewski uciekł do Niemiec, Szymonik trafił do aresztu w Lublińcu. Żona Wacława, Zofia S., oskarżona została, że latem 1944 r. doniosła na Józefę Pydę, że ta zabija Niemca.

1 T. Nowakowski, *Obóz wszystkich świętych*, „Czytelnik”, Warszawa 1990, s. 196.

2 IPN Ki 126/192.

Śledztwo w tej sprawie prowadziła od czerwca 1949 r. MO z Blachowni. Podstawą było oskarżenie złożone przez Jerzego D., który oskarżył małżeństwo S., że donieśli żandarmerii o planowanym zabiciu ukraińskiego żandarma. O współpracę z Niemcami oskarżono także Michalinę Kluzę, Genowefę Sukiennik, Sabinę Kołaczekiewicz. D. spędził w aresztach niemieckich w Lublińcu, Bytomiu i Gliwicach siedem tygodni. Twierdził, że przez S. aresztowano także Józefę Pydę. Całe to towarzystwo, zdaniem D., utrzymywało towarzyskie kontakty z żandarmerią, jeździli do Krzepic, gdy tam trwała wywózka ludności, przywozili gęsi, kury, ubrania. Doniesienie D. uzupełniło zeznanie córki Pydowej: matka pracowała jako sprzątaczką w gestapo. W rozmowie z Michaliną Kluzą powiedziała, że jeszcze czterech Niemców zabije, a jak syn wróci, to ją pomści. Została aresztowana niedługo po tej rozmowie, 2 sierpnia 1944 r. Jako dowód przywołano także zeznania Kazimierza Krawczyka, dowódcy lokalnego AL i Bolesława Nowackiego z AK; organizacje wydały wyrok śmierci na S. za szpiclowanie: GL w 1943, AK w 1944 r.

Prokuratura podważyła wiarygodność zeznań D., bo nie miały one pokrycia w dowodach; D. siedział 7 tygodni za opuszczanie dniówek w pracy, doniesienie na S. złożył dopiero w 1949 r., a wcześniej zgodnie mieszkali w jednym domu. Do zeznań dowódcy AL Krawczyka odniósł się S. w piśmie do Sądu Najwyższego: „Krawczyk Kazimierz nie oskarżył mnie ani w 1945, ani w 1947, lecz dopiero w 1950 r. Brat Krawczyka zastrzelił funkcjonariusza UB Kazimierza Sukiennika, syna mojej siostry Genowefy. Przed wojną Krawczyk był w PPS, pracował dla kapitalistów w fabryce „Blachownia”, robił to także w czasie okupacji. Spowodował wysłanie mnie na roboty”. Śledztwo wobec Sukiennikowej, Kołaczekiewiczowej i Kluzie prokuratura umorzyła. Wyrok Sądu Apelacyjnego w Kielcach na sesji wyjazdowej w Częstochowie pod przewodnictwem sędziego St. Jabłońskiego z 19 maja 1950 r. uniewinnił Zofię S., jednocześnie wobec Wacława orzekł karę śmierci. Od tak surowego wyroku swój głos odrębny złożył przewodniczący składu sędzieja Jabłoński. W zeznaniach dotyczących czerwca 1942 r. dostrzegł dużo sprzeczności: czy rewizję w czasie uboju prowadzili żandarmi, czy inni Niemcy (grupa przysłana do likwidacji getta Krzepice)?; brak, zdaniem sędziego, dowodów świadczących o kontakcie S. z żandarmami; dlaczego wyrok GL wydano rok po fakcie, a wyrok AK dwa lata po nim? Konstanty Kierach kazał żonie Wandzie mścić się, a ona przekonała Olszewskich. Kierach jednak został aresztowany kilka miesięcy po wydarzeniu czerwcowym, zarzucono mu kradzież świń u polskiego rolnika, dalekiego krewnego.

Sąd Najwyższy 1 marca 1951 r. wydał wyrok „salomonowy”: uznał S. winnym kolaboracji, obniżając wyrok do 6 lat. Uznał, że śmierć w obozie Kieracha nie miała nic wspólnego z doniesieniem S.

Czego nas uczy ta historia? Niczego, mówi jedynie o szarości, o cierpieniu upodlającym ludzkie charaktery...

II

Wilhelma G. z Sierakowa nikt nie lubił, nawet najbliższa rodzina. G. wyzywał sąsiadów od polskich świń, pobił żonę i córkę, gdy prosiły, by nie pisał listów obrażających władze. Nie lubili go także funkcjonariusze SB, choć uznawali za cennego agenta umożliwiającego penetrację środowiska niemieckich autochtonów. Wyrazem tej niechęci był kryptonim „Kameleon”, nadany jego sprawie. Urodzony w 1902 r. G. przed wojną został zwербowany przez polski wywiad, konkretnie przez II Oddział Sztabu Generalnego, podobno w latach 1929-1933 był cennym informatorem, przekazującym dane o sytuacji za niemiecką granicą. Podobno – a tych „podobno” jest więcej niż dowodów – w 1933 r. przewerbowała go niemiecka Abwehra. W 1950 r. został oskarżony o umożliwienie porwania przez Niemców Bugdoła, współpracownika II Oddziału,

zabitego podczas wojny. W atmosferze 1950 r. przedwojenna współpraca z „dwójką” była cięższym oskarżeniem niż kolaboracja z Abwehrą – wszak w podręcznikach szkolnych uczono, że „dwójkarze” zajmowali się mordowaniem komunistów. Sąd skazał G. na 6 lat, zwolniony został w 1953 r., w 1955 r. zwerbowany przez SB, współpracę prowadził z przerwami do lat 70.

Pracował w lokalnej spółdzielni „Las”, a przekazywane SB informacje dotyczyły zazwyczaj spraw gospodarczych. Ambicją wojewódzkiej komendy SB było ukierunkowanie agenta na „odcinek niemiecki”, bo za granicą aktywnie działały ziomkostwa wywodzące się z opolskich miasteczek i wsi. Niechęć mieszkańców Sierakowa wynikała nie tylko z gburowatego charakteru Wilhelma, ale i z jego przekonania o nietykalności. Szczególne oburzenie wywołał fakt, że córka G. wyszła za mąż za funkcjonariusza MO. Niechęć do ojca przeniesiono także na syna Józefa, prowadzącego prywatny zakład betoniarski. W 1967 r. Józef, ponoć wbrew woli ojca, ożenił się z Hiltraudą Mayerhofer, skazaną w 1965 r. na 2 lata i 6 miesięcy więzienia za „pomoc matce w szpiegowaniu”. Elżbieta Mayerhofer z kolei skazana została za współpracę z niemieckim wywiadem na 12 lat.

Elżbieta była Ślązaczka, jej mężem był Austriak. Wojna ich rozdzieliła, Elżbieta pozostała na terenach włączonych do Polski, próbowała ratować swój dom, nie mogła rozstać się z małą ojczyzną. Podzieliła los większości autochtonów: majątek uległ konfiskacie, ją traktowano jako „obywatelkę II kategorii” i zatrudniano do prac niewolniczych. Zarzut szpiegostwa wynikał z odnowienia przez nią po 1956 r. kontaktów z rodziną w Niemczech i Austrii. W listach pisała, jak jest – opisywała swoją dolę „wykluczonej”. Fragmenty jej listów były cytowane przez prasę zachodnoniemiecką. Córka Hiltrauda w początkach lat sześćdziesiątych dostała pracę jako sekretarka w urzędzie powiatowym. Gdy SB rozpoczęła śledztwo w sprawie przekazywania przez Elżbietę „fałszywych informacji szkalujących Polskę”, córce zarzucono, że wzbogaca wiedzę matki, przynosząc jej informacje z magistratu... Skazana na 12 lat Elżbieta w więzieniu miała objawy choroby psychicznej. Jednym z nich było przekonanie, że jest przyrodnią siostrą Hitlera. Z maniackim uporem dowodziła współosadzonym kobietom, a potem także strażnikom, że jej matka służyła w Austrii u Alojza Hitlera i zaszła z nim w ciążę. Historia ta nie jest nieprawdopodobna, ojciec Führera słynął z licznych romansów i nieślubnych dzieci. Można jednak uznać, najdelikatniej rzecz określając, za nietakt wysyłane w latach 60. listy Elżbiety z więzienia, błagające rządy demokratycznych Niemiec i niedemokratycznej Polski o pomoc i zwolnienie w imię szacunku dla przyrodniej siostry samego Hitlera. Raczej nie pomagało to ani uwieszonej, ani jej córce.

Zatem Józef, narażając się na gniew ojca i niechęć lokalnej społeczności, stał się mężem „hitlerówny”. Wilhelma zawiodły także córki. Jedna wyszła za Polaka milicjanta. Druga swój nieudany związek małżeński rekompensowała romansami z księdzem G. z Sierakowa. Ksiądz przejął się losami Mayerhoferów, pośredniczył w przekazywaniu grypsów Elżbiety jej austriackiej rodzinie. A Wilhelm na własną rękę przywracał moralność w swej rodzinie, bijąc żonę i córki wszystkim, co mu wpadło do ręki.

Historia ta miała szczęśliwe zakończenie. Umowa Edwarda Gierka z rządem niemieckim umożliwiała wyjazd Ślązaków do Vaterlandu, z czego też rodzina G. skorzystała³.

III

Urodzony w 1923 r. mieszkaniec Mstowa Edward K. został aresztowany w lutym 1945 r. za swoją głupotę, określoną jako współpraca z okupantem. Gmina Wancerzów, do której należał Mstów, miała swoją okupacyjną specyfikę: wójt słynął z gorliwości we współpracy z Niemcami,

3 IPN Ka 027/95, SOR „Kameleon”.

za co najpierw otrzymał od podziemnych organizacji chłostę, a potem kulę w łeb. W ślady wójta poszło wielu obywateli, po wyzwoleniu stanowczo się tego wypierając. Rodzice K., pisząc prośbę o zwolnienie syna, wskazywali, że donos na niego złożył milicjant C. z zemsty za odrzucenie jego załotów przez siostrę Edwarda. Sam donoszący także, zdaniem rodziców Edwarda, tak jak i inni nie miał „czystych rąk”, korzystał ze współpracy z okupantem, rabując mienie żydowskie. Sąsiedzi potwierdzili doniesienie milicjanta, rodzina K. często w swoim domu podejmowała wódką żandarmów z Chorzenic, w zamian ci „przymykali oko” na ich handlową działalność. Mówiono też o współpracy z gestapo dwóch starszych braci Edwarda. Jeden prowadził sklep w Jaskrowie, pod koniec wojny zabili go partyzanci; drugi, Alek – zbiegł. Siostra wyszła za K., skazanego na karę śmierci „za bandytyzm” po wojnie. Aresztowany Edward bardziej zawinił głupotą, niż czynem. Bywał, elegancko ubrany, na „wódeczce” z żandarmami w mstowskiej knajpie, miał przy tym „szeroki gest”... Ponieważ nie pracował, plotki dopowiadały, skąd miał pieniądze. Zeznania złożone przez Edwarda w śledztwie odrzucały posądzenia. W okupację został wywieziony do Niemiec, wrócił w 1942 r., wcielono go do Baudienstu (jedna z form pracy przymusowej zorganizowana przez niemieckie władze okupacyjne dla Polaków i Ukraińców w Generalnym Gubernatorstwie). Po zakończeniu służby znów wysłali go na roboty w Niemczech, do Zabrze, gdzie pracował do wyzwolenia. W Mstowie bywał często, bo w nagrodę za dobrą pracę dostawał przepustki.

W więzieniu Edward przesiedział kilka miesięcy, w sierpniu 1945 r. śledztwo zostało umorzone – głupota przestępstwem nie jest, a dowodów potwierdzających kolaborację zabrakło. Starszy brat, też oskarżany o kolaborację, zniknął, ponoć wyjechał do Warszawy. W Mstowie K. lekko nie było, sąsiedzi swoje wiedzieli i dali to odczuć. Edward wyjechał w rodzinne strony do Rembielic, gdzie K. mieszkali, zanim przenieśli się do większego miasteczka. Pracę znalazł w Krzepicach w zakładach tkackich, został kierownikiem przyzakładowej świetlicy.

Ożenił się w Rembielicach, zamieszkał u teściów. Dzięki ich pomocy poznał dyrektora miejscowej szkoły, Bolesława M., przedwojennego działacza OZN. M. „kupił” opowieść Edwarda o niesłusznym prześladowaniu go przez komunistów i zatrudnił jako nauczyciela. Pracę tę stracił w 1950 r., gdy inspektorat oświaty weryfikował kadry pod kątem „politycznej poprawności”. Znajomość z dyrektorem jednak przetrwała, spotykali się na kolacyjkach u teściów, wymieniając antykomunistyczne plotki. Na życie zarabiał młody K., nielegalnie produkując buty i sprzedając je na targach. Miał smykałkę do interesów, pozyskał także zaufanie lokalnych rzemieślników. Był to jednak czas, gdy „prywaciarz” uznawany był za wroga ustroju. SB na polecenie centrali podjęła dochodzenie w celu rozpracowania środowiska krzepickich „prywaciarzy”. W 1955 r. SB z gminy Popów przesłało informację do częstochowskiej centrali o tzw. zjawiskach patologicznych. W gminie występowały następujące patologie: nielegalny ubój, handel tekstyliami i żywnością, przetwórstwo mięsne, produkcja wódki, nielegalne garbownictwo i wyrób butów. Służby zwróciły uwagę na powtarzające się w doniesieniach nazwisko K., ściągnięto o nim informacje z Mstowa i w efekcie uznano za dobrego kandydata na współpracownika: żyje z nielegalnej produkcji obuwia, kocha żonę, boi się aresztowania, dba o rodzinę, ma zaufanie w środowisku. Z punktu widzenia SB – same zalety. Zaczynał się jednak czas odwilży, planowano odchodzenie od „bitwy o handel”, a przeszłość okupacyjna K. była kompromitująca dla zlecniodawców agenta. W służbach jednakże są priorytety, za zezwoleniem centrali pozyskano Edwarda na współpracownika, kierując na inny newralgiczny odcinek – przeciwdziałania dywersji w Ośrodku Maszynowym w Zawadach. Dywersji, co prawda nie wykryto, ale w tym POM-ie zatrudnił się M., syn przedwojennego wójta gminy i działacza PSL, zatem zagrożenie istniało⁴. Dobry agent jest zawsze niezbędny...

4 IPN Ka 1189, t. 1 i 2.

IV

Tadeusz Zielonka, przebywający od marca 1945 r. w areszcie w Kielcach, oskarżony został o zdradę Narodu Polskiego przez służbę w niemieckiej żandarmerii. Spodziewać się mógł kary śmierci, bo Naród Polski zdrajcom nie wybacza.

Rodzice Tadeusza pracowali w majątku Złote w pobliżu Jędrzejowa. Ojciec zmarł, matka nie była w stanie zapracować na wyżywienie urodzonego w 1917 r. syna. Oddała go do sierocińca w Pińczowie. Wybór okrutny, zważywszy na to, czym były niegdyś sierocińce. Dla Tadeusza jednak okazał się szczęśliwym: rygor mu się podobał, karmili lepiej niż w domu, w dodatku mógł ukończyć 7 klas szkoły powszechnej. Wsparcie opiekunów z sierocińca umożliwiło mu dalszą naukę, przyjęto go w 1932 r. do szkoły podoficerskiej dla nieletnich w Nisku. Służbę wojskową odbył w latach 1937-38 jako kapral w łódzkim 28 Pułku Piechoty, rysowała się przed nim wymarzona perspektywa zostania zawodowym podoficerem. Rygor lubił, karmili dobrze, a co najważniejsze nie trzeba było się martwić, jak żyć, bo od zmartwień są przełożeni. Ten wymarzony świat posypał się we wrześniu 1939 r.

Wrócił do matki, do majątku. Była bieda, matka tak przed wojną, jak i w okupację zarabiała 40 zł miesięcznie. Ceny podczas okupacji wzrosły kilkakrotnie, a otrzymywany jako część wypłaty deputat żywności z trudem wystarczał na wyżywienie jednej osoby. Tadeusz pracował w majątku „za darmo”, czyli w zamian za wyżywienie, jednocześnie czuł, że jego obecność materialnie ciąży schorowanej matce. Wstąpił więc na ochotnika do Baudienstu. Praca ciężka, budowanie dróg i umocnień, ale zakwaterowanie w obozie, wyżywienie, rygor, czyli jakaś namiastka „porządnego życia”.

Znajomy z Pińczowa był szefem komisariatu „granatowej” policji. Radził Tadeuszowi, by rzucił machanie łopatą i wstąpił do policji. Tam potrzebni są wykwalifikowani podoficerowie, karmią też lepiej, a rygoru nie brakuje. Tadeusz złożył stosowne podanie, ale maszyna biurokratyczna coś pomyliła i zamiast do szkoły policyjnej w Nowym Sączu, trafił do szkoły żandarmerii w Dębicy. Policja, nawet w warunkach okupacyjnych, służyła ludziom, broniła ich przed zwykłymi bandytami. Żandarmeria zaś to była służba Niemcom, wykonywanie ich nawet najpodlejszych rozkazów. Do Dębicy trafiali „ochotnicy” uciekający przed odpowiedzialnością za przestępstwa pospolite albo koniunkturaliści gotowi bogacić się na ludzkiej krzywdzie. Tadeusz taki nie był i gdy zorientował się w sytuacji – zdezerterował. Miał pecha, wpadł, 5 miesięcy spędził w areszcie krakowskim na Montelupich. Sąd skazał go za dezercję, ale ponieważ w 1943 r. Niemcom ludzi brakowało, ponownie go wcielono do żandarmerii i wysłano na Wołyn, do Łucka. Tam nie musiał się wstydzić swojej służby, żandarmeria broniła mieszkańców polskich wsi atakowanych przez partyzantów z UPA.

Gdy wojska radzieckie zajęły Wołyn, batalion polskiej żandarmerii wysłano do Alzacji. Nie na długo. Tadeusza skierowano do Częstochowy, gdzie tworzono centralny punkt dysponowania żandarmerią „pomocniczą”. Pozwolono mu wybrać miejsce dalszej służby, wskazał Kraków. Natychmiast po przybyciu do dawnej stolicy udało mu się nawiązać kontakt z AK. Walka na Wołyniu była tu dobrą rekomendacją. Jesienią 1944 r. walczył już w szeregach oddziału AK pod Tymbarkiem, w styczniu 1945 r. za wykazaną odwagę został odznaczony Krzyżem Walecznych. Przyszło jednak „wyzwolenie”, oddział dostał polecenie ujawnienia się przed nową władzą i oddania broni. Tadeusz broń oddał, ale swoim. Nie ujawniał się, pojechał do szwagra do Częstochowy. Tu po miesiącu mieszkania u szwagra na Stradomiu został aresztowany przez UB.

Rozprawę w procesie Tadeusza rozpoczęto 27 listopada 1946 r. Po zeznaniach oskarżonego odroczono sprawę z powodu konieczności przesłuchania świadków. W Częstochowie Sąd

Grodzki przesłuchał Franciszka Zielińskiego, szwagra Tadeusza, oraz sąsiada Zielińskiego – Henryka Ładę. Obaj twierdzili, że nie znają faktów działań na szkodę Polaków, wiedzą o dezercji i więzieniu oskarżonego w 1943. Kolejno wystąpiło kilkunastu świadków potwierdzających zeznania Tadeusza, w tym m.in.: Jan Bogdański z WUBP Kielce (potwierdza fakt dezercji i więzienia w 1943 r.), Zygmunt Koral z WUBP Kielce (nie działał na szkodę ludności cywilnej), Józef Błaszczak i Franciszek Maskalak z KM MO Częstochowa, Zdzisław Węgrzyn z Krakowa (służba na Wołyniu). MO z Tymbarku przedstawiło zaświadczenie, że walczył w AK, sumiennie i z poświęceniem pracował dla Polski.

Sąd w tamtych czasach musiał go skazać, służba w niemieckiej żandarmerii była, bez względu na czyny, uznawana za kolaborację. Wyrok wydany 5 lipca 1947 r. był zadziwiająco niski – 3 lata. Dla Tadeusza Zielonki najgorszy był sam fakt skazania, a nie długość więzienia. Jego marzeniem był powrót do służby wojskowej, do życia w rygorze, na odpowiedzialność przełożonych. Pisał do Bieruta w prośbie o łaskę: „Gdy miałem 7 lat, zmarł ojciec, matka z 6-tygodniowym niemowlęciem, starsza siostra, 16 lat (...), została z najmłodszą, siostra do rodziny, a ja do sierocińca. (...) Udało mi się dostać do szkoły wojskowej, dzięki temu zrobiłem maturę, stałem się podoficerem zawodowym. Walczyłem w 1939 pod Kutnem. Do Baudienstu wstąpiłem, bo nie miałem z czego żyć. (...) W Dębicy od 1 lipca, 12 listopada 1942 r. zdezerterowałem z grupą 14 osób. Za to siedziałem do maja 1943. (...) Chcę spłacić swój dług Ojczyźnie, pragnę służyć w wojsku. Błagam Pana Prezydenta – mam starą matkę na utrzymaniu”.

Prośba została odrzucona, wyrok Zielonka odsiedział w całości, do 15 marca 1948 r. Do wojska jako skazany nie został przyjęty. Ponownie w 1956 r. skierował do Sądu Najwyższego prośbę o wykreślenia kary z rejestru⁵. Karę wykreślono, ale ze względu na wiek nie mógł być podoficerem. Nie spełnił swojego marzenia.

V

Zwykle historie, niezwykle czasy. Historie wypierane z pamięci oficjalnej i rodzinnej. Historie zatopione w szarości. Żaden Naród nie składa się z bohaterów, zbiorowe cierpienie nie uszlachetnia Narodu. To nie masochizm „pedagogiki wstydu” nakazuje przypominać wyparte z pamięci zdarzenia. Jest to potrzebne, by uświadomić sobie, jak straszną rzeczą jest wojna, jak niszczy ludzi nie tylko fizycznie, ale i moralnie. Chcąc żyć godnie, nie uczmy dzieci strzelania, lecz etyki.

PS. Dziękuję oddziałowi IPN w Katowicach za pomoc i udostępnienie materiałów archiwalnych.



5 IPN Lu 315/119.



Roman Timofiejuk, „Pomost”

Anna Jędryka

WIERSE DLA DZIECI

GDZIE ZAGINAŁ KRASNOLUDEK?

Krasnoludek Niezabudek zagubił się w lesie,
płacze tata, płacze mama, głośny płacz się niesie.
Już od rana go szukają sąsiedzi, rodzina;
biedny tata rwie włos z głowy: – Gdzie jest ta dziecina?
Łzy olbrzymie roni mama ogarnięta trwogą:
Co się stało z naszym synkiem, jaką poszedł drogą?
Czy spotkało go coś złego, zwierz go jakiś gania?
Wszak oddalił się bez słowa i nie zjadł śniadania.
Może wilki go napadły albo niedźwiedź bury
i nie może się uwolnić, bo mu wbił pazury?
Zamartwiają się rodzice i wszyscy dokoła,
rozglądają się uważnie, mama synka woła.

Przyfrunęła wścibska sroka, pyta: – Co się dzieje?
Ja z pewnością chłopca znajdę! – i frunęła w knieje.
Z czubka drzewa dźwięcznym głosem kukuleczka kuka:
– Ja polecę hen wysoko, będę chłopca szukać.
Dzięcioł w drzewo głośno stuka: – Może mnie usłyszysz,
wszak nic więcej nie zakłóca panującej ciszy.
Na gałązce nieopodal przycupnęła wrona,
wtém zerwała się do lotu: – Ja tego dokonam.
Młody jeżyk się wynurzył spod małego krzaczka:
– Ja wam chętnie też pomogę, znajdę nieboraczka.
Nagle zając przebiegł obok, usłyszał nowinę:
– Niezabudka wnet wypatrzę, dajcie mi godzinę.
Będę pędził co sił w łapach i nadstawiał uszu,
nie umknie mi żaden szmerek, co zadźwięczy w buszu.
Do pomocy wezwę echo, co powtarzać umie,
będzie słyhać każde słowo nawet w liści szumie.
I w rodziców krasnoludka wstąpiła nadzieja,
że niedługo znajdą malca – nawet w gęstych kniejach.

Nagle słońce ozłociło paprociowy krzaczek,
spod którego się wychylił malutki chłopaczek.
I piąstkami przetarł oczy całkiem jeszcze senne,
bo mu prosto w nie świeciły promienie wiosenne.
I zadziwił się ogromnie, o co tyle krzyku?
Wszak się nigdzie nie oddalił – smacznie spał w koszyku.
Otulony w liść paproci, by mu ciepło było,

wciąż by dalej spał głęboko, bo mu się coś śniło.
Ale echo niecierpliwe krasnalka zbudziło
I słoneczko, co mu w oczy prosto zaświeciło.

Z tej radości tata z mamą szykują śniadanie,
aby synek się posilił, gdy za chwilę wstanie.

22 KWIETNIA 2024 R.

GRZYBKI W LESIE

Jak pewna wieść z dawna niesie,
W dużym, gęstym, starym lesie
Rosły sobie grzybki młode,
Co deszczową piły wodę.

Rósł borowik nieboraczek,
Co się często krył pod krzaczek,
Rósł kozaczek gdzieś pod brzozą –
Proszę go nie mylić z kozą;
Żółte kurki w mokrej trawie,
Co patrzyły wciąż ciekawie,
Przytulone dwa maślaczki –
Zawsze razem, bo bliźniaczki.

Grzybki żyły w wielkiej zgodzie,
Przy dobrej i złej pogodzie.
Wczesnym rankiem się budziły
I na spacer wychodziły.
Wymyślały też zabawy,
Wychylając główki z trawy.

Dnia pewnego, o świtanu,
Wszystkie grzybki po śniadaniu,
Gdy jak zwykle się spotkały,
Z zadziwienia oniemiały:
Gdzieś wśród trawy, wśród zieleni,
Dostrzegły kolor czerwieni.
Zdziwił się borowik młody,
Co słynął ze swej urody
I kozłar nie krył zdziwienia,
Gdy wychylił głowę z cienia.
Stadko kurek na murawie
Spoglądało też ciekawie,
Opuszcili swoje krzaczki

Zadziwione dwa maślaczki.
Wszyscy patrzą zaskoczeni,
Co w tej trawie się czerwieni?
Gdy przyszła obiadu pora,
Zobaczyły muchomora,
Co kapelusz miał czerwony,
W białe kropki ozdobiony,
Przy tym wzrostu ogromnego
I wyglądał na silnego.

Gdy muchomor ujrzał grzybki,
Zaraz wydał rozkaz szybki
I co dzień nowe rozkazy
Wydawał im kilka razy.
Spokój minął bezpowrotnie,
Grzybki bały się okropnie,
Wypełniały więc rozkazy
I płakały wiele razy.
Cóż to była za udręka,
Jakaż była straszna męka,
Bez przerwy słuchać olbrzyma –
Któż by zdołał to wytrzymać?
Smutno dni im upływały,
Nawet bawić się nie chciały.

Lecz we wrześniu, gdzieś o świcie,
Gdy się w lesie budzi życie,
Gdy nadeszła zwykła pora,
Nie ujrzały muchomora.
Grzybki bardzo się zdziwiły,
Pytały się i radziły:
Co się stało z muchomorem,
Wszak widziały go wieczorem?
Wreszcie już nie wytrzymały
I na miejsce się udały,
Gdzie muchomor rósł czerwony,
Taki dumny, napuszony.

A na miejscu istne dziwy,
Spotkał go los sprawiedliwy,
Muchomor zgnieciony cały,
Wióry po nim pozostały.
Może ktoś go nogą trącił
I kapelusz barwny strącił
Albo jakiś robak głodny
Pogryzł mu kapelusz modny?
Nie dowiemy się, niestety,
Bo to grzybów są sekrety.

Odtąd, tak jak przedtem było,
Znów się grzybkom dobrze żyło,
Znów wróciły im uśmiechy
Oraz chęci do uciechy.
Śmiał się kozłarz, ten spod brzozy
I borowik piękny, hoży;
Kurki śmiechem zarażały,
Aż listki na krzaczkach drżały
I maślaczki, te sklezione,
Były bardzo rozbawione!

9 PAŹDZIERNIKA 2023 R.

JESIENNY MALARZ

Jakiś malarz nieznany zmienił drzewom kolory,
Pomalował na liściach kropki, cętki i wzory.

Tworzył barwne desenie, koła, kratki, wężyki,
Kreski jasne, podłużne – jak słoneczne promyki.

Nagle malarz niesforny rozlał farby z palety
I choć bardzo się starał – wyszły plamy, niestety.

Zdenerwował się malarz, zmieszał farby w palecie,
Liście przybrały barwy najpiękniejsze na świecie.

Z góry słońce spojrzało poprzez drzewa koronę,
Żółte plamy ogrzało i zmieniło w czerwone.

Złota jesień sypnęła złotym pyłkiem obficie,
Liście blasku nabrały i wstąpiło w nie życie.

Ale wietrzyk się zerwał – jak to bywa jesienią,
Liście w górę się wzniosły i fruwały nad ziemią.

Pospadały z drzew liście, ciepłym wiatrem smagane,
Tworząc miękkie kobierce z barwnych liści utkane.

Jeszcze słońce w południe wyęczało swe siły,
Grzało liście opadłe, by się szybciej suszyły.

Jeszcze wiatr je podrzucał, jakby z nimi się droczył,
Ale wkrótce deszcz z nieba wszystkie liście zamoczył.

I już nic nie zostało z urodziwej jesieni,
Bo deszcz zimny, rzęsy, liście w błoto zamienił.

Zafrasował się malarz, gdyż trud poszedł na marne;
Wszędzie barwy ponure: szare, bure i czarne.

I zadumał się mocno, skąd by zdobyć kolory?
I rozmyślał dniem, nocą i w jesienne wieczory.

Upłynęło dni kilka – może nawet tygodni
I zrobiło się jasno od śniegowej pochodni.

Już nie martwił się malarz, że jest brzydko wokoło;
Dzięki białym śnieżynkom było jasno, wesoło.

Jeszcze sypnął sreberkiem malarz wielce radosny,
Potem ziewnął i zasnął, i tak przespał do wiosny.

16 PAŹDZIERNIKA 2019 R.

Elżbieta Jolanta Gola

KĄCIK DLA NAJMŁODSZYCH

Bałwanek i piecyk

dla Emilki

MI WYBIEGŁA PRZED DOM, ZAWSZE BYŁA SZYBKĄ i spontaniczną jak jej babcie. Śnieżny puch przykrył ogród białą kołdrą. Od dawna czekała na ten moment, aby ulepić bałwana. Chciała, aby był wyjątkowy, niepodobny do innych. Z długiego torsu wyrastały kształtne ramiona, a smukłe palce zręcznie przytrzymywały osadzony na miotle karmnik dla ptaków. Głowa z rozchylonymi zaciekawieniem ustami i zgrabnie przylegającymi uszami miała tradycyjny nos, za sprawą marchewki lekko zadarty do góry. W czarnych koralikach oczu odbijało się zachodzące słońce. Słomkowy kapelusz chronił przed ciepłymi promykami, a lekki wrzosowy szal dodawał fantazji. Mi założyła bałwankowi rudą kamizelkę. Na ramieniu Feliksa – takie nadała mu imię – zasiadła zaraz jemiołuszka, a na kapeluszu dwie czeczotki, które wraz z gromadą gili przyleciały z dalekiej północy na zimę do Polski.

Dziewczynka z zadowoleniem spoglądała na bałwanka: był jak żywy i zdawało się jej, że przymykając zabawnie oczy, poruszył jednym uchem. Z domu usłyszała wołanie:

– Mi, wracaj, już późno!

Mróz wymalował na szybach koronkowe wzory, a rozgwieżdżone niebo wzywało do spaceru. Feliks otrząpał się z puchu, na tarasie przed domem leżała szeroka deska. Miał wielką ochotę na spacer, a jeśli się o czymś marzy, to bywa, że nasze życzenia się spełniają. Przytwardził deskę pod dolną bryłę, która zamieniła się w dwie mocne nogi i odpychając się miotłą, poszusował do drogi. Samochody dawno już zasnęły w garażach, więc swobodnie pokonał oblodzony asfalt. Otoczył go las, cisza i tylko skrzypienie młodych drzew tworzyło tajemniczy nastrój. Z dała ktoś się zbliżał. Usłyszał posapywanie żelaznego piecyka, który śnił mu się wielokrotnie, nawet wtedy, gdy jeszcze był śnieżną poduszką. Na fajerkach w miedzianozłotym czajniku gotowała się woda. Piecyk sam dokładał drewno do paleniska i na żelaznych nogach zmierzał do pracujących przy odśnieżaniu dróg. Donosił im gorącą wodę na herbatę.

Feliks – z oczywistych względów – trzymał się w pewnym oddaleniu, ale pogwizdujący czajnik i dziarsko maszerujący piecyk byli dla niego najmielszym towarzystwem. Trasa prowadziła przez niewielkie miasteczko, w którym budynki przyklejone były do obu stron długiej drogi. Dotarli do domu bez okien, spali tam bezdomni. Piecyk nagrzał im izby i butelki z wodą, a bałwanek wyczarował z lodowych tafli śnieżnobiałe szyby. Mijali zalodzone domostwa. W jednym z okien zobaczyli starszą panią. Siedziała przy świeczce, grzejąc nogi w stercie niemodnych już futer. Piecyk dorzucił do paleniska, obszedł dom dookoła i wnet lodowa pokrywa odpadła od ścian, zapaliło się światło i ruszyło ogrzewanie. Starsza pani uśmiechnęła się tak promiennie, że w całym domu zrobiło się jaśniej. Wyniosła jakąś paczkę, a do karmnika Feliksa wysypała garść ziaren. Gdy odchodzili, długo jeszcze machała im na pożegnanie.

Bałwanek i piecyk Walerek ponownie weszli do lasu. Feliks delektował się ulubionymi czekoladowymi lodami – był to prezent od starszej pani, a piecyk podsmażał na fajerkach plastry boczku i słoniny dla sikorek i zaprzyjaźnionych czterech srok, które zawsze trzymały się razem. Z kominka buchała para, a wesoło pogwizdujący czajnik wypływał z dziubka krągłe obłoczki pary. Był to umówiony sygnał dla bywalców leśnej polany. Zaraz też zjawili się na niej: stado

saren, trzy małe liski z mamą, dwa jeże i rude wiewiórki. Na wysuszonych liściach złożyli dary: odnalezione w dziuplach orzechy laskowe, ususzone na gałązkach maliny, małe rajskie jabłuszka i ziemniaki z piwniczki turkucia podjadka. Walerek zaraz dorzucił do pieca, do wody wysypał garść suszonych malin, a do paleniska jabłuszka i ziemniaki. Po całym lesie snuł się nadzwyczajny aromat. Rozbrykane wiewiórki rozgryzały orzechy i częstowały nimi wszystkie ptaki. Zapach pieczonych jabłek i ziemniaków zwałił na polanę leśniczego, który wraz z przyjaciółmi przyniósł karmę dla saren. Nikt się niczemu nie dziwił, bo to była wigilijna noc, kiedy wszystko zdarzyć się może. Zasedli wokół sypiącego skrami paleniska. Popłynęły opowieści o leśnych duszkach, tajemnicach sowy oraz o turystach, którzy zabierali swoje śmieci, bo las pachnie najpiękniej, gdy jest w nim czysto. Ucztowali w najlepsze, gdy na polanę ostrożnie i po omacku zbliżył się kret. Jego zwykle lśniące czernią futro poszarzało, a nawet miejscami wyłysiało. Posłano gońca po sowę, którą uważano za najmądrzejszą. W końcu widzi nocą to, czego inni nie potrafią zobaczyć nawet w ciągu dnia. Ona jednak nigdy nie przechwalała się swoimi umiejętnościami, za to zawsze służyła pomocą. Sowa obleciała teren i odkryła, że w sąsiedztwie domu kreta wylewane są ścieki z małej fabryczki świecidełek.

– Za dużo chemii – stwierdziła autorytatywnie – musisz zmienić mieszkanie i to natychmiast, jeśli nie chcesz całkiem wyłysieć, a twoja rodzina ciągle chorować!

– To straszne! – kret aż usiadł na ziemi. – To straszne, właśnie skończyłem remont. Wzmocniłem ściany korytarzy, ułożyłem nowe posadzki w stylu art deco: no wiecie, geometryczne kształty płytek, motywy roślinne i kawałki najlepszego drewna... To potworne... – długo jeszcze słychać było lament posiadacza niegdyś najpiękniejszego futra.

– Co robić, co robić? – zastanawiały się zasmucone zwierzęta, bowiem zdawały sobie sprawę, ile pracy i wyrzeczeń wymaga zbudowanie nowego domu.

Zaczęła się narada, głos zabrał Walerek:

– Mam pomysł, możemy ocalić dom naszego przyjaciela. Przynieście dużo patyków, gałęzie, deseczki i glinę. Tu niedaleko, w kotlinie, gdzie bije ciepłe źródło, jest jej dużo, dam wam wielki koszt.

Bałwanek zaraz usadowił go na swojej narcie i Walerek poszusował w dół. Za nim pośpieszyli wszyscy. Piecyk dyrygował pracą, a zwierzęta z pomocą Feliksa wylepiły gliną rynną z patyków, gałęzi i drewienek. Umocowali ją tuż przy otworze, z którego wylewała się brudna, cuchnąca ciecz. Teraz omijała krecie domostwo i spływała w stronę wysypiska śmieci.

Ziemia wraz z rodziną kreta odetchnęła, a uradowany gospodarz podziemnych korytarzy opróżnił całą spiżarnię, aby wszystkich ugościć.

Zmęczony Feliks poszusował do ogrodu Mi i zaraz zasnął, opierając się na miotle. Walerek zgasił ogień i usadowił się w garażu starszej pani, która oferowała mu ciepłą przystań.

Rankiem Mi wybiegła przed dom, by przywitać się z bałwankiem. To dziwne, pomyślała, nogi ma w glinie, słomę na kapeluszu i wygląda, jakby całą noc bałowała...

6 LIPCA 2020 R.

Konik na biegunach

Na przedmieściach całkiem sporego miasta mieszkała prawie ośmioletnia dziewczynka. Miała na imię Bella i czuła się dzisiaj samotna. Wprawdzie rodzice poświęcali jej swój wolny czas, ale dla dziewczynki to wciąż było za mało. Ponadto roznosiła ją energia, a najbardziej lubiła organizować zabawy, w których była głównym reżyserem. Zimowy czas ograniczał wyjścia z domu, więc musiała poszukać nowego zajęcia.

Bella stała przy oknie, którego szyby zmatowił mróz, rysując na taflach niedościgłe wzory. Próbowwała na kartce namalować podobne, ale wciąż nie była zadowolona z ostatecznego efektu. Linijką wyskrobała na szybie niewielkie okienko i wyjrzała przez nie: w ogrodzie przystanął koń na biegunach. Ciągnął bryczkę, w której siedział starszy pan w kapeluszu. W dłoni trzymał bat i popędzał konia. W zasadzie konik na biegunach porusza się tylko w przód i w tył, ale ten był jakiś dziwny, bo posuwał się cały czas do przodu. Za chwilę zniknie mi z oczu, pomyślała Bella, szybko włożyła kurtkę, ciepłe kozaczki i pobiegła do ogrodu. Konik mijał już płot sąsiadów. W ostatniej chwili dopadła bryczki i usadowiła się przy starszym panu.

– Jestem Bella, a jak panu na imię?

– Michał Mrozowicz, dziewczynko. Jadę do największej biblioteki, bo przeczytałem już wszystkie książki, które kupiłem lub dostałem od przyjaciół. A ty lubisz czytać?

– Mam już swoją biblioteczkę i wszystkie tomy Harry’ego Pottera. Lubię wielotomowe opowieści. Moja ciocia jest zawsze zdumiona, że pamiętam wszystkie szczegóły i imiona niezliczonej ilości bohaterów. A pan mi kogoś przypomina, chyba widziałam pana podobnego w gazecie. Czy pan się nie zgubił?

– Być może, ale to nieistotne, najważniejsze, by dotrzeć do centrum miasta i tej dużej biblioteki doktora Biegańskiego.

– Wiem, gdzie to jest, musimy pojechać w Aleje. Doktor Biegański siedzi na ławeczce tuż przed biblioteką i zaprasza, aby do niej wstąpić. Zaglądam tam często z moją mamą. Wybieramy wówczas tylko takie książki, które dobrze się kończą. Wiem, że w życiu różnie układają się losy, bywa, że trzeba iść ciągle pod górkę, ale za to kiedy się wraca, jest już łatwiej. Czy pan miał pod górkę? – zapytała Bella i naciągnęła mocniej czapkę na uszy.

– Ciągle tak mam, zobacz, muszę powozić koniem na biegunach. On się czasami buntuje i zamiast do przodu, przenosi mnie wiele kilometrów w tył do nieznanych mi miejsc, a ostatnio zawiózł mnie do Lubolandii. To przedziwne miejsce, wszyscy mieszkańcy są tam niezwykle uprzejmi. Pozdrawiają się na ulicach i uśmiechają się do siebie. Często zapraszają na herbatę nawet dopiero co poznane osoby. Nie zamykają drzwi na klucz, bo nikt nikomu nie zazdrości, wszyscy mają to, co jest im potrzebne. Często urządzają spotkania na zielonych placach, a jest tam wiele takich miejsc. Dzieci bawią się razem, rodzice rozmawiają i nikt się nie spieszy. Polecają sobie nowe książki i oglądają zabawne filmy. Nikt nie jest tam smutny...

– Bardzo chciałabym tam pojechać z rodzicami. Spodobałoby się im w tym mieście. Czy mógłby pan, panie Michale zabrać nas tam kiedyś?

– Mógłbym spróbować, chociaż mój Biegunek bywa nieobliczalny i czasami zabiera mnie w inne rejony, do Furlandii...

– Co to za miejsce? – Bella zaczęła się wiercić i podskakiwać w bryczce.

– Tam jest zupełnie odwrotnie. Wszyscy są nieuprzejmi, ryglują drzwi na siedem zamków. Nikomu się nie odklonią, a o pożyczeniu soli czy cukru nie ma co marzyć.

– Dlaczego są tacy? – Bella spoważniała i przestała się wiercić.

– Może to sprawa diety, surowego klimatu albo nadmiaru zakazów i nakazów? – Michał Mrozowicz zamyślił się, zapalił fajkę i popędził Biegunka.

Ten nieoczekiwany zwrot i zatrzymanie się na rozstaju dróg. Cztery drogowskazy wskazywały kierunki, dokąd można się udać.

– Panie Michale, jedźmy do Lubolandii! O, tu jest drogowskaz! – Bella rozpromieniła się, a mróz namalował jej na policzkach różowe kółka.

– Zgoda, biblioteka może trochę poczekać, a może tam dostanę książkę, której jeszcze nie czytałem – Mrozowicz nacierał uszy i uśmiechał się pod wąsem.

– Już wiem, kogo mi pan przypomina, mojego wujka Michała!

– Tak, Bello, to ja, za kilka lat tak będę wyglądał, a teraz tylko się przymierzam, czy to mi będzie odpowiadać...

– To chyba są żarty, mój tata bardzo lubi żartować, choć czasami nie mogę rozpoznać, czy to co mówi jest na serio, czy to znowu żart – Bella roześmiała się głośno.

– To wspaniale, że twój tata lubi żartować, to bardzo cenna cecha. Nie każdy to potrafi.

– Wujku, opowiesz mi jakiś żart? Dziewczynka spojrzała na Biegunka, który machał ogonem na wszystkie strony.

– Moja sąsiadka lubi jeździć na rowerze, ale takim stacjonarnym, który stoi u niej w pokoju. Często pedałuje przez godzinę, aby ćwiczyć nogi. Otwiera okno i głośno oddycha. Kiedyś jej mąż, który bardzo lubi ją rozśmieszać, wrócił ze spaceru z psem i patrząc na żonę, powiedział:

– Znowu o mało co nie przejechałaś Fuksa. Uważaj, bo następny zakręt jest bardzo ostry!

I oboje śmieją się do łez.

– Jeszcze jeden, jeszcze jeden żart – Bella przytuliła się do wujka, który jakby nieco odmłodził.

– Wystarczy tych żartów. Umówiłem się z twoją mamą, że spotkamy się w bibliotece, a tymczasem nie wiem, dokąd nas konik dowiezie.

– Ojej, jak tu szaro i ponuro – dziewczynka podniosła ciepły kołnierz. Gdzie my jesteśmy?

– Chyba skręciliśmy do Furlandii, to fatalnie... – zamruczał Michał.

– Co teraz? Może ominie tę krainę?

– Niestety, musimy przejechać główną drogą.

– Jedźmy szybko!

– Hola, hola! – zakapturzony dryblas zagroził im drogę. – A dokąd to tak spieszycie?

– Jedziemy do biblioteki – donośnym głosem powiedział Michał. – A pan co tutaj robi?

– Czekam na paczkę, myślałem, że to właśnie pocztowa bryczka.

Bella, trochę przestraszona, wyjęła z kieszonki malutką paczuszkę, która zaczęła sama obracać się dookoła.

– Czy to może jest paczka dla pana?

– Jeśli jest przewiązana srebrnym sznurkiem, to tak.

– Zaraz sprawdzę. Tak, jest srebrny sznurek, proszę – podała zakapturzonemu paczkę.

– Poczekajcie, razem zobaczymy, co w niej jest – ostrożnie rozwiązał supeł i otworzył pudełko.

– No, no, no... nie myślałem, nie myślałem. Jednak przysłali... – Michał i Bella spoglądali w puste wnętrze pudełka.

– My nic nie widzimy!

– Ach, bo trzeba mieć specjalne okulary... Popatrzcie!

Michał i Bella założyli przeraźliwie różowe okulary.

– No nie, no nie...

Furlandia zamigotała tęczowymi barwami, słońce rozjaśniło całą okolicę, a mieszkańcy porzucili czarne stroje i wybiegli na główny deptak, by poznać swoich sąsiadów i zaprosić ich na wspólne pieczenie chleba bez polepszaczy.

– Co to było? – Bella spoglądała okrągłymi ze zdumienia oczami na wiatr historii, który odmieniał ludzkie losy i zamieniał szarość w blask tęczy.

– To wspaniale! Zabierzmy trochę tego blasku do smutnych domów! Chciałabym, żeby wszyscy mogli mieszkać w Lubolandii, czytać dobre książki i codziennie żartować.

– To dopiero byłaby bomba! – Michał roześmiał się serdecznie.

– Wracajmy, bo mama już czeka. To była wspaniała podróż, dziękuję, wujku!

Bella stała nadal przy oknie, zastanawiając się, czy to wszystko było snem, czy naprawdę spotkała wuja, który postanowił wypróbować zmianę czasu... z zimowego na letni...

Barbara Strzelbicka

NIEBO JANA MARCINA

Osoby¹:

Jan Marcin Szancer (JMS)

Pan Ambroży Kleks

Koszałek-Opalek

Anioł – Narrator

Adam Niezgódka

Wróżka

Pinokio

Lis Witalis

Król Błystek

Pchła Szachrajka²

Kaczka Dziwaczka

Sierotka Marysia

Brzydkie Kaczątko

Calineczka

Elza

Królowa Śniegu

Duszek Kwiatów

Scena przedstawia trzy plany: Obłok Niebieski, Obłok Różowy oraz Ministerstwo.

Scena 1

Na Różowym Obłoku przy biurku siedzi skupiony JMS i rysuje, nie zwracając uwagi na otoczenie. Na środek sceny (między obłoki) wychodzi Anioł – Narrator, który ubrany jest w białą suknię, ma długie, ciemne włosy, przepasane żółtą wstążką i kolorowe, motyle skrzydła.

Anioł: Jan Marcin Szancer kochał dzieci i dla nich stworzył wiele pięknych ilustracji. Za te zasługi po śmierci trafił do baśniowego raju. Zamieszkał na Różowym Obłoku, który łagodnie go kołysał i przenosił z miejsca na miejsce. Jan Marcin Szancer miał do dyspozycji wszystkie barwy, jakie tylko mógł sobie wymarzyć, jego przybory malarskie były mu posłuszne i wszyscy mieszkańcy Nieba podziwiali coraz to nowe dzieła Mistrza. Wkrótce anioły zaczęły nosić skrzydła, zaprojektowane przez Jana Marcina Szancera, bo były o wiele piękniejsze, niż te (z pogardą) tradycyjne, z piór!... Janowi Marcinowi niczego nie brakowało do szczęścia, siedział sobie przy biurku i rysował, rysował... (pauza) Aż tu pewnego dnia... do Nieba zaczęły trafiać postacie z książek ilustrowanych przez Jana Marcina Szancera.

1 Sztukę napisałam, kiedy byłam nauczycielką w szkole noszącej imię Jana Marcina Szancera. Stworzyłam postaci dla wszystkich dzieci, które chciały wziąć udział w przedstawieniu, a role dostosowałam do możliwości aktorów. Chłopiec, który grał rolę Króla Błystka, miał nogę w gipsie, dlatego „przymarł do tronu”. Plany sceniczne z łatwością można zbudować w sali gimnastycznej.

2 W rzeczywistości Jan Marcin Szancer na skutek nieporozumienia nie zilustrował Pchły Szachrajki.

Scena 2

Obłok Różowy

Koszałek-Opalek puka do drzwi domku na obłoku JMS

JMS *podnosi powoli głowę, rozgląda się nieprzytomnie*: Proszę wejść!

Koszałek-Opalek *wchodzi powoli, jest przygarbiony i smutny*: Dzień dobry, Panie Marcinie!...

JMS: Dzień dobry, Koszałku-Opalku! Co tu robisz?!

Koszałek-Opalek *sapiąc*: Och, panie Marcinie, szukam wiosny.

JMS *zdziwiony*: Jak to – szukasz wiosny w Niebie?!

Koszałek-Opalek: Tak... Szukałem jej na Ziemi, ale dzieci przestały czytać książki i już nie mogą szukać dalej. Żałuję, że nigdy nie dowiem się, jak wygląda wiosna...

JMS: Mój biedaku! Mówisz, że dzieci przestały czytać książki?...

Koszałek-Opalek *macha ręką z rezygnacją*: Taak! Nie czytają! Siedzą przed telewizorami i grają na tym..., no, na... komputery, a książek nie czytają...

JMS *zdziwiony*: Na czym grają? Chyba na pianinie, na kapturze się nie da!

Koszałek-Opalek: Na komputery, panie Marcinie! To taka maszyna z ekranem, jak w telewizorze, wie pan.

JMS: I można na tym grać? Jak na instrumencie?

Koszałek-Opalek: Nie, Panie Marcinie, inaczej. Można sobie wyświetlać różne gry, filmy i bawić się.

JMS: Z maszyną?

Koszałek-Opalek: No tak, z maszyną...

JMS: To dzieciom chyba jest bardzo przykro... I powiadasz, że już nie... nie czytają książek?

Koszałek-Opalek: Ano – nie!

JMS: Bardzo mnie to martwi...

Koszałek-Opalek: Chyba wszyscy wkrótce tu trafimy: i Pinokio, i Calineczka, i Pchła Szachrajka... Tak, tak...

JMS: Nie martw się, mój mały. Przynajmniej spotkasz tu wiosnę. W Niebie zawsze jest wiosna...

Scena 3

Na Niebieskim Obłoku siedzą postacie z bajek: Król Błystek, Koszałek-Opalek, Sierotka Marysia, Wróżka, Calineczka, Duszek Kwiatów, Pchła Szachrajka, Kaczka Dziwaczka, Lis Witalis, Brzydkie Kaczętko, Elza, Królowa Śniegu

*Wchodzi **Pinokio**.*

Wszyscy: Pinokio! Pinokio!

Kaczka Dziwaczka: Ty też umarłeś?

Pinokio: Ojej, jak was tu dużo! Myślałem, że będę sam...

Wróżka: Ale, Pinokio, czemu znów jesteś drewnianym pajacem i masz długi nos?

Pinokio *(oburzony)*: Ach, czemu! Wiecie przecież, że muszę zasłużyć na to, by zostać chłopcem. Muszę się poprawić! A jak mam to zrobić, jeśli dzieci nie czytają książek? Tak bardzo chciałbym być prawdziwym chłopcem... I mam dość tego okropnego, drewnianego nocha!...

Wróżka: Nie jest taki bardzo brzydki... Widziałam gorsze... Prawda?

Wszyscy *bez przekonania*: Taak...

Pinokio: Dziękuję, jesteście bardzo mili. Ale wolałbym być chłopcem.

Pchła Szachrajka: Ja też wolałbym, żeby mnie wszyscy polubili.

Brzydkie Kaczątko: Ja też chciałbym w końcu stać się łabędziem!

Calineczka: A ja chciałabym, żeby ten okropny kret wypuścił mnie ze swojej nory!...

Król Błystek: No a ja chciałbym wiedzieć, czy w końcu przyszła wiosna!...

Wszyscy: A ja... A ja... A my...

Koszałek-Opalek *unosząc gęsie pióro:* Ale nic się nie da zrobić, jeśli dzieci nie będą czytać książek!

Scena 4

Wchodzi Pan Kleks

Pan Kleks: Dzień dobry państwu!

Wszyscy: O! Pan Kleks!

Kaczka Dziwaczka: Dzień dobry, panie Ambroży! Pan tutaj?

Pan Kleks: Niestety, ja też tutaj. Książkę o mnie dzieci czytały długo, bo była ona obowiązkową lekturą szkolną, ale w końcu i o mnie zapomniwały... Woła Harry'ego Pottera...

Pinokio: Tego czarodzieja? To bardzo miły chłopiec!

Pan Kleks: Owszem, nie przeczę, jest, hmm, bardzo miły i nawet mógłbym go przyjąć do mojej Akademii, ale cóż, znalazłem się w składzie makulatury...

Sierotka Marysia: A przecież jest pan takim wspaniałym nauczycielem, a pańska Akademia to czarodziejska szkoła... Jaka szkoda!...

Lis Witalis: Kto teraz naprawia chore sprząty i zepsute tramwaje?

Calineczka: Kto wysła trzecie oko w kosmos?

Wróżka: Kto wlewa dzieciom olej do głowy?

Pan Kleks *zrezygnowany:* No cóż – chyba nikt.

Wszyscy *(wrzawa):* Ojej, co to będzie, co to będzie?!

Duszek Kwiatów: Słuchajcie, słuchajcie: a co rodzice czytają dzieciom na dobranoc, jeśli wszyscy trafiliśmy do nieba?

(Cisza jak makiem zasiał)

Wróżka: No właśnie: co rodzice czytają dzieciom? *(pauza)*

Pan Kleks *stanowczo:* Tak dalej być nie może! Musimy coś zrobić!

Duszek Kwiatów: Dobrze – ale co?

Pan Kleks: Chodźmy do Jana Marcina Szancera, niech coś poradzi. *(z naciskiem):* W końcu to on nas narysował!

Scena 5

Gromada postaci otacza obłok JMS.

Wróżka: Pan tu spokojnie rysuje, a...

Lis Witalis: A Pinokio musi być drewnianym pajacem!

Elza: A moi biedni bracia dalej są dzikimi łabędziami...

Królowa Śniegu: Gerda nie może znaleźć swojego brata Kaya i w moim pałacu jest okropnie zimno!

Król Błystek: W mojej grocie też jest zimno! Sam przymarzłem do tronu! *(zrezygnowany):* A co wart jest król przymarznięty do tronu?!

Koszałek-Opalek: Marysia Sierotka nie może odzyskać gąsek!.. *(z determinacją):* I dzieciom nikt nie wlewa oleju do głów!

Calineczka: A dzieci nie czytają książek!

JMS *(unoszą ręce, wszyscy cichną):* Dlaczego przychodzicie z tym do mnie?

Królowa Śniegu *(stanowczo):* Bo pan nas narysował!

Koszałek-Opalek: I dzieci lubią książki z pana obrazkami!

JMS: Hmm... Lubią moje ilustracje, powiadacie?

Lis Witalis: O tak, bardzo lubią!

Sierotka Marysia: Wiemy to na pewno, bo pamiętamy szczęśliwe buzie i błyszczące oczy, które się nad nami pochylały!

Wróżka: Pamiętamy, jak rodzice pokazywali nas dzieciom na obrazkach!

Pinokio: A nauczyciele zadawali pracę domową o naszych przygodach!...

Sierotka Marysia: ... a bibliotekarze zwracali uwagę, żeby nie niszczyć książek z naszymi postaciami!

Wszyscy (zaczynają płakać): Chcemy do książek, do dzieci, na Ziemię!...

JMS: To prawda, było tak kiedyś. Ale teraz dzieci mają te kom... komputery i Harry'ego Pottera...

Pan Kleks: Szanowny panie Marcinie, pan pozwoli..., hmm..., ja myślę, że wszystko da się pogodzić: i komputer, i Harry'ego Pottera, i pańskie książki.

Koszałek-Opalek (drapiąc się piórem po głowie): Tylko jak to zrobić, żeby dzieci znów je czytały?...

Królowa Śniegu (z wyższością): Ja wiem! Trzeba wybrać naszego przedstawiciela, który wybierze się na Ziemię i wszystko załatwi!

Kaczka Dziwaczka: Chętnie podejmę się tej misji!

Wszyscy: Nie!

Kaczka Dziwaczka: Dlaczego?!

Lis Witalis (przedrzeźniając): „Kupiłaś raz maczku paczkę, by pisać list drobnym maczkiem!”

Pchła Szachrajka: Moja kandydatura będzie o wiele lepsza!

Wszyscy (z przerażeniem): O – nie!

Sierotka Marysia (stanowczo): Szachrajka nie nadaje się na posła!

Pchła Szachrajka (oburzona): Dlaczego?!

Lis Witalis: To może ja? W końcu kto jak kto, ale Lis Witalis...

Wszyscy: Nie!

Lis Witalis: Co macie przeciwko mnie?!

Brzydkie Kaczko: Wszyscy poznaliśmy twoje szelmostwa!

Koszałek-Opalek: To może Król Błystek?

Król Błystek: No cóż, mój wierny sługo, nie mogę! Wiesz dobrze, że przymarzłem do tronu...
A z tronem tam nie pójde, bo będę głupio wyglądał...

(wrzawa)

JMS: Moi drodzy, przestańcie się kłócić, bo nie do twarzy wam z tą złością. Narysowałem was w dobrych humorach!

(wszyscy oddychają z ulgą i uśmiechają się jak do fotografii)

JMS: Proponuję, żeby wysłać Pana Ambrożego Kleksa. W końcu jest nauczycielem, zna się na książkach i potrafi wlewać olej do głowy. Wprawdzie nie próbował wlewać oleju do głowy dorosłym, ale może i to potrafi! Panie Ambroży – czy zgadza się pan?

Pan Kleks: Oczywiście, panie Marcinie, oczywiście. W takiej sprawie chętnie pofatyguję się, choć skończyły mi się pigułki na porost włosów i jestem bardzo słaby. Dokąd mam się udać?

Koszałek-Opalek (unosząc palec): Myślę, że do Ministerstwa Kultury.

Scena 6

Ministerstwo: biurko z aparatami telefonicznymi, monitorem komputera, papierami. Za biurkiem siedzi z pochyloną głową urzędnik w okularach. Przed nim wizytówka: Minister ADAM NIEZGÓDKA.

Pan Kleks (*nieśmiało*): Dzień dobry, panie ministrze!

Adam Niezgódka (*nie podnosząc głowy*): ... eń ... obry. W jakiej sprawie?

Pan Kleks: Hmm... Nazywam się Ambroży Kleks...

Adam Niezgódka (*podnosi głowę, uśmiecha się, wstaje, rozkłada ramiona*): Panie Profesorze, kochany Panie Profesorze!

Pan Kleks: Adasiu! Poznałeś mnie?

Adam Niezgódka: Pana miałbym zapomnieć? Takiego wspaniałego nauczyciela? Jakże się pan ma?

Pan Kleks: Dziękuję, Adasiu, tak sobie, to znaczy... nie całkiem dobrze... a właściwie.. cóż.. kiepsko!

Adam Niezgódka: Co się stało?!

Pan Kleks (*ze smutkiem*): Wiesz, nie mogę już pracować, bo... bo dzieci nie czytają książek!...

Adam Niezgódka: Co pan mówi?! Naprawdę?!

Pan Kleks: No tak, Adasiu, nie czytają. Postaci literackie powoli umierają... Odchodzimy na... ee... makulaturę...

Adam Niezgódka (*zamyśla się, po chwili*): Musimy temu zaradzić!

Pan Kleks (*ożywia się*): Właśnie z tym do ciebie przychodzę. Uradziliśmy z Janem Marcinem Szancerem, że trzeba wznowić wydania książek, które on ilustrował. Wiesz, Adasiu: „O krasnoludkach i o Sierotce Marysi”, „Pinokia”, „Baśnie” Andersena, „Wiersze” Brzechwy...

Adam Niezgódka: No i oczywiście „Akademię Pana Kleksa”!

Pan Kleks (*skromnie spuszczaając oczy*): Oczywiście! Dziękuję ci!...

Adam Niezgódka: To może także książki dla dorosłych? Im także coś się należy, prawda? Może „Pana Tadeusza”, „Faraona”...

Pan Kleks: Och, Adasiu, mój ukochany uczniu, jakże się cieszę, że cię tutaj spotkałem!

Adam Niezgódka: To ja się cieszę, że mogę coś dla pana zrobić za tyle dobroci, której od pana doznałem!

Pan Kleks: Muszę pilnie wracać do nieba, żeby zanieść moim przyjaciółom i panu Marcinowi te wspaniałe wieści. Do widzenia, Adasiu!

Adam Niezgódka: Do zobaczenia, panie Profesorze!

Scena 7

Na Obłoku Różowym siedzi JMS i w skupieniu pracuje.

Anioł: Pan Kleks wraz z pozostałymi postaciami wkrótce wrócił na Ziemię, bo dzieci znów czytały książki. Kret uwolnił Calineczkę, Pinokio stał się grzecznym chłopcem, Brzydkie Kaczętko przemieniło się w pięknego łabędzia, a Sierotka Marysia odzyskała swoje gąski. Tylko Koszałek-Opalek dalej szuka wiosny... A Jan Marcin Szancer siedzi sobie na Różowym Obłoku i rysuje, rysuje, rysuje...

Obłok Niebieski pustoszeje: postaci gęsiego wychodzą za kulisy.

Po chwili wszyscy wychodzą do ukłonu, w środku Jan Marcin Szancer i Pan Kleks.

[illegible]

Roman Timofiejuk, fragment wystawy KOD



Roman Timofiejuk, Instalacja KOD

Roman Timofiejuk

TRIUMWIRAT FOTOGRAFII: Kod, Wyobraźnia, Narracja

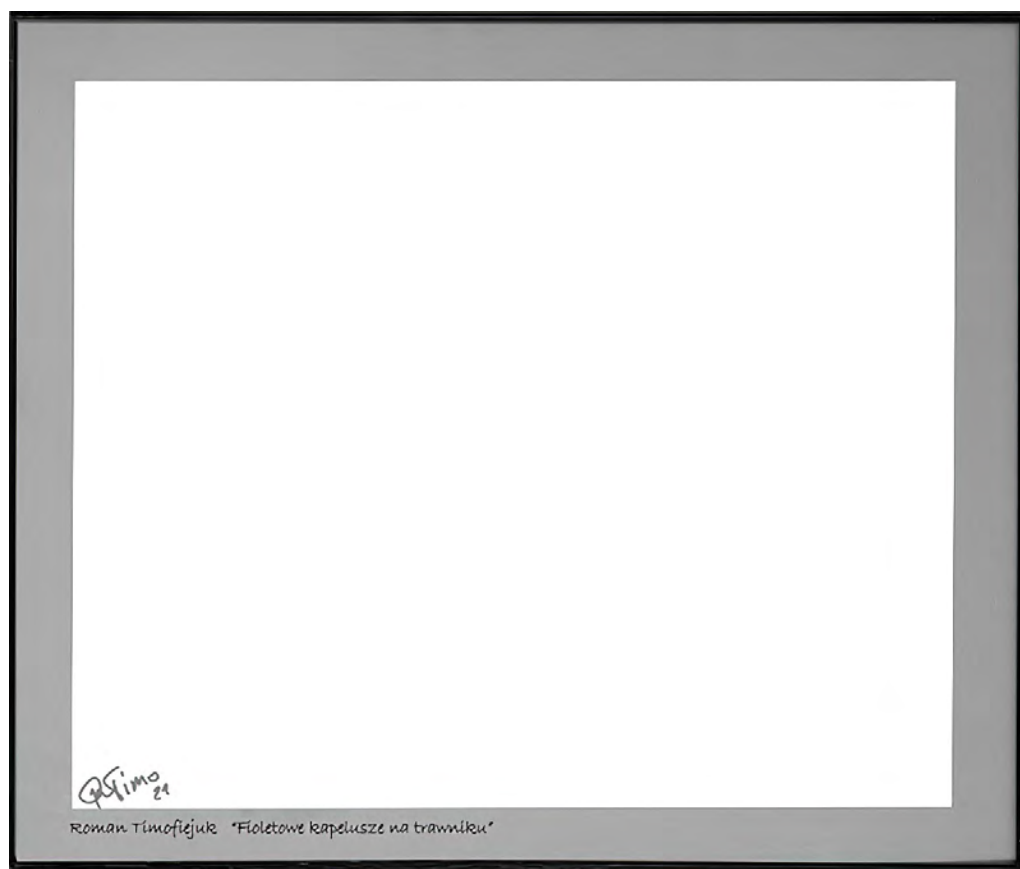
W moich trzech projektach fotograficznych – „KOD”, „NIC” i „CZYTANIE FOTOGRAFII” – odkrywam różne wymiary medium fotograficznego, kładąc z jednej strony nacisk na surowość cyfrowego kodu, z drugiej na wyobraźnię oraz na narracyjną interakcję z fotografiami. Instalacja „KOD” ukazuje piękno i rytm milionów cyfrowych znaków, podkreślając jednocześnie ukryte, ilościowe i znaczeniowe przesłanie. W „NIC” wykorzystuję białe płaszczyzny, tytuły i ramki jako czysty arkusz do wypełnienia wyobraźnią widza, co prowokuje do własnej kompozycji obrazowej. Natomiast w performance „CZYTANIE FOTOGRAFII” eksploruję pytanie, czy fotografię można czytać, łącząc sztukę fotografii z narracją, co pozwala na głębsze zrozumienie i odkrywanie nowych znaczeń. Te trzy projekty stanowią kompleksowe spojrzenie na fotograficzne medium, odnoszące się do kwestii cyfrowego zapisu, wyobraźni i interakcji narracyjnej, a zarazem prowokujące do refleksji nad znaczeniem i wartością fotografii w dzisiejszym świecie sztuki. Projekty „KOD”, „NIC” i „CZYTANIE FOTOGRAFII” stanowią nie tylko eksplorację różnych aspektów fotografii, ale także głębsze zastanowienie się nad jej znaczeniem i wartością w kontekście współczesnej sztuki. W Instalacji „KOD”, poprzez rezygnację z obrazowej prezentacji na rzecz surowego cyfrowego kodu, zadaję pytanie o to, jakie ukryte znaczenia mogą być zawarte w samej strukturze danych. To podejście przenosi naszą uwagę z samej fotografii na proces jej cyfrowego kodowania, co podkreśla, że fotografia to nie tylko obraz, ale również informacja ilościowa i znaczeniowa. W Instalacji „KOD” eksperymentuję z naturą kodu cyfrowego jako nośnika informacji. Poprzez rezygnację z tradycyjnej obrazowej prezentacji i skupienie się wyłącznie na surowym kodowaniu, ukazuję, że fotografia to nie tylko obraz, ale kompleksowa struktura danych. To podnosi pytanie o to, czy kod może być nośnikiem ukrytych znaczeń, stawiając pod znakiem zapytania nasze dotychczasowe rozumienie fotografii jako jedynie wizualnego medium. W wystawie fotograficznej wyobraźni „NIC”, poprzez prezentację niewidocznych obrazów i zmuszenie widza do wyobrażenia sobie pejzaży, aktów czy portretów, eksploruję rolę wyobraźni w procesie odbioru sztuki. Tworząc jedynie białe płaszczyzny w ramach z tytułami, przenoszę odpowiedzialność za tworzenie kompozycji na odbiorcę, co skłania do refleksji nad tym, jak subiektywne wyobrażenia wpływają na percepcję fotografii. Poprzez zmuszenie widza do tworzenia mentalnych obrazów, eksploruję rolę wyobraźni w procesie odbioru sztuki. Pustka fizyczna w ramach staje się niejako płótnem dla indywidualnych interpretacji, co prowokuje do refleksji nad subiektywnym charakterem percepcji fotografii. W performance „CZYTANIE FOTOGRAFII” integruję sztukę fotografii z narracją i stawiam pod znakiem zapytania tradycyjne podejście do odbioru obrazów. To, czy fotografię można czytać, staje się pretekstem do zastanowienia się nad rolą opowieści w zrozumieniu i interpretacji sztuki. Czytanie fotografii jako odbieranie poprzez słuch, a nie tylko wzrok, otwiera nowe możliwości zrozumienia i interpretacji. Wprowadzenie elementu opowieści zmienia dynamikę, kwestionując stanowisko, że fotografia może być postrzegana nie tylko jako statyczny obraz, lecz również jako dynamiczna narracja.

Wszystkie te projekty razem rzucają nowe światło na różnorodne aspekty fotografii, od jej struktury cyfrowego kodu po rolę wyobraźni w odbiorze i narrację. Stwarzają one przestrzeń

do refleksji nad tym, jak fotografie komunikują znaczenia, a jednocześnie zachęcają do zastanowienia się, jakie wartości przypisujemy temu medium w dzisiejszym społeczeństwie. Chciałbym, aby instalacja „KOD”, wystawa fotograficznej wyobraźni „NIC” i performance „CZYTANIE FOTOGRAFII” spełniły rolę istotnych katalizatorów, refleksji nad znaczeniem i wartością fotografii we współczesnej sztuce. Otwieram nimi kompleksowe dyskusje na temat istoty oraz wartości fotografii w dzisiejszym kontekście sztuki. Każdy z tych projektów jest jakby mikrokosmosem, gdzie zdolność komunikowania się fotografii wynika z różnych perspektyw, podkreślając zarówno jej materialny, cyfrowy aspekt, jak i subiektywność interpretacji. W sumie te trzy projekty wspólnie kierują refleksję na różne obszary fotografii, od struktury jej kodu, przez rolę wyobraźni w odbiorze, aż po dynamiczną interakcję z narracją. Stanowią one kompleksową podróż przez różne aspekty fotograficznego doświadczenia, zapraszając do kontemplacji, jak fotografia komunikuje znaczenia, jakie wartości przypisujemy temu medium i jak ewoluujemy w naszym zrozumieniu sztuki w cyfrowym i interakcyjnym środowisku.

Całość nazwana: „Triumwirat Fotografii: Kod, Wyobraźnia, Narracja” to adekwatna nazwa, gdyż używając terminu „triumwirat”, podkreślam równorzędność i synergiczne oddziaływanie między trzema kluczowymi elementami w kontekście fotografii. To słowo nawiązuje do współdziałania trzech ważnych aspektów, co idealnie odzwierciedla treść moich projektów.

GDYNIA 2024 R.



Roman Timofiejuk, „Fioletowe kapelusze na trawniku”

Ida Jadwiga Łubińska

TUWIM KONTRA BRZECZWA



foto: Artur Gielezy

28 marca b.r. w Zespole Szkolno-Przedszkolnym nr 6 przy ulicy Przestrzennej 68 w Częstochowie miało miejsce piękne wydarzenie artystyczne – konkurs recytatorski dla najmłodszych uczniów szkół podstawowych. Nosił tytuł „Tuwim kontra Brzechwa” i właśnie te popularne od dziesięcioleci utwory poetyckie były artystycznie interpretowane przez uczestniczące w konkursie dzieciaki.

Organizatorką konkursu była ucząca w tej szkole nasza „Galerianka” poetka Joanna Szymańska.

Początkowo były pewne perturbacje związane a konkursem, a to ktoś z jurorów zachorował, coś stało na przeszkodzie...

Ale impreza udała się.

Tak o tym wydarzeniu na swojej stronie internetowej pisze Monika Soberka, nauczycielka i działaczka organizacji pozarządowej „Wybieram Częstochowę”: „Późnym wieczorem zadzwoniła do mnie Joanna Szymańska: «Monia, czy chciałabyś zasiąść w jury mojego konkursu recytatorskiego?». Nazajutrz siedziałam w SP 47 za wielkim stołem obok częstochowskich artystów: Idy Jadwigi Łubińskiej i Artura Gielezego”.

Dla mnie to był ważny, inspirujący Dzień. Z uznaniem słuchałam młodziutkich uczestników konkursu – doceniając artystyczną, oryginalną interpretację wierszy, przemyślane gesty, stroje, rekwizyty. Była wspaniała atmosfera, znakomita organizacja imprezy, piękna scenografia. Organizatorzy spisali się na medal. Szczególne podziękowania dla pana Piotra Włoczka, dyrektora Szkoły. Dobrze układała się też współpraca nas, jurorów, bo poziom prezentacji był wysoko ułożoną poprzeczką. Staraliśmy się docenić talenty wszystkich małych artystów.

Barbara Strzelbicka

ARTYSTYCZNI STYPENDYŚCI



Prezydent Miasta Częstochowy corocznie przyznaje indywidualne stypendia artystyczne w dziewięciu kategoriach: literatura, muzyka, sztuki plastyczne, teatr, film, taniec, upowszechnianie kultury, ochrona dóbr kultury, opieka nad zabytkami. Wnioski należy składać do końca stycznia. W tym roku wpłynęły 32 wnioski, a przyznano 10 stypendiów – w czterech kategoriach. Stypendystami w 2024 roku zostali: w kategorii taniec – Dominika Kisztelińska; upowszechnianie kultury – Olga Desperak i Wiktoria Morawska; muzyka – Liliana Karolczyk, Robert Purgał, Wiktoria Sztonder; sztuki plastyczne – Piotr Cieślak, Jarosław Dumański, Marek Laskowski, Łukasz Włodarczyk. Pięć kategorii pozostało nieobsadzonych i bardzo żałujemy, że wśród nich znalazła się literatura.

Wręczenie stypendiów odbyło się 3 kwietnia w Sali Reprezentacyjnej Ratusza, gdzie władze miasta w obecności przedstawicieli częstochowskich instytucji kultury uhonorowały wyróżnione osoby. Oprawę muzyczną zapewnili stypendyści ubiegłoroczni Oliwia Gajda i Robert Purgał. Wiek stypendystów był dość zróżnicowany, jednak z przewagą osób młodych.

Wszystkim serdecznie gratulujemy i mamy nadzieję poznać owoce zainteresowań i pasji wyróżnionych.

Barbara Strzelbicka

PEJZAŻE, CZERWIEN I KORKOCIĄG



Foto: Andrzej Zembik

Barbara Czarnocka jest absolwentką ceramiki artystycznej częstochowskiego Liceum Plastycznego, ale to malowanie jest jej żywotną potrzebą oraz główną formą twórczej ekspresji. W miarę możliwości – ponieważ jest mocno zaangażowana w sprawy rodzinne – bierze udział w plenerach malarskich i eksponuje swoje prace – po raz pierwszy zaprezentowała je w 2010 r. w Galeria Café. Teraz jej pastelowe i olejne pejzaże zostały pokazane w holu Regionalnego Ośrodka Doskonalenia Nauczycieli „WOM”, gdzie pieczę nad „Galerią Kultury i Sztuki” sprawuje Marek Czarnołęski, również parający się malarstwem. Wernisaż wystawy odbył się w pogodne piątkowe popołudnie 12 kwietnia i wydaje się, że pogoda dostosowała się do klimatu eksponowanych prac, urokliwych, przesyconych nostalgicznym światłem rodzimych krajobrazów. Honory domu czyniła sama autorka prac, więc spotkanie miało charakter niezwykle kameralny, zwłaszcza że Barbarę Czarnocką wspierały jej dwie wnuczki (jedna samodzielnie przygotowała babeczki, druga zaś umilała czas śpiewem), a większość gości stanowili krewni, znajomi i przyjaciele. Wystawa była zatytułowana „Mała retrospektywa... Pejzaże” i prezentowała 20 prac. Warto dodać, że inne ulubione obiekty malarki to kwiaty i martwa natura, prywatnie jest wielbiczką koloru czerwonego, tym razem jednak, ku zaskoczeniu gości, wystąpiła w innych barwach.

Niezamierzonym bohaterem spotkania stał się... korkociąg, niezbędny do otwarcia zwyczajowego na wernisażach wina, okazał się jednak niezwykle trudny do zdobycia. No cóż – trudno się dziwić, wszak to Ośrodek Doskonalenia Nauczycieli. Jakoś sobie jednak poradziliśmy i atmosfera spotkania nie ucierpiała.

Wystawę można było oglądać do końca czerwca.

Barbara Strzelbicka

TEATR MALOWANIA I TAŃCA



Wojciech Kołsut, artysta jedyny w swoim rodzaju, zaprezentował 18 kwietnia w Klubie „Tori”, gdzie ma galerię swoich prac, kolejny malarski spektakl. Główną jego osią był seans malowania. Demoniczny malarz, w którego wcielił się sam Wojciech Kołsut, odziany w czarny kaptur i także szatę, pokrywał farbą skórę modelki w stroju białym, przypominającym ślubny. Statystkami były ubrane na czarno wydekoltowane modelki, zasłonięte dużymi okładkami, nieruchomo siedzące w nienagannych pozach na krzesłach. Muzy? Uwagę widzów najbardziej jednak absorbowali tancerze, zajmujący większą część umownej sceny Klubu, wykonujący zmysłowy taniec.

Spektakl jako metaforę można odczytywać na różne sposoby (oczywiście w wyznaczonych przez przekaz granicach), nie będzie więc chybioną interpretacją, że opowiadał on o czymś, co można by określić odmiennym stanem świadomości, szaleństwem twórczym, kiedy artysta pozostaje pod władzą zmysłów i tajemnych sił.

Współtwórczynią spektaklu była żona artysty, Katarzyna, odpowiedzialna zwłaszcza za kostiumy. Na przedstawieniu było wielu fotografów – czemu ja się nie dziwię, bo było co oglądać i fotografować.

Bogdan Knop

SPOTKANIE W ANTYKWARNI

W dniu 26 kwietnia 2024 r. w siedzibie Antykwarni „Niezależna” przy ul. Kopernika 4 odbyło się spotkanie poświęcone sprawie uhonorowania Juliusza Henryka Brauna za wybitne zasługi dla Częstochowy.

Na fotografii siedzą od lewej:

1. Zbigniew Biernacki – właściciel Antykwarni „Niezależna”,
2. Grzegorz Napieralski – sekretarz Towarzystwa Przyjaciół Częstochowy,
3. Jerzy Zając – były poseł, działacz społeczny,
4. Tomasz Haładyj – dziennikarz,
5. Juliusz Braun – syn Juliusza Henryka Brauna, działacz polityczny,
6. Jarosław Kapsa – były poseł, publicysta, pisarz,
7. Bogdan Knop – prezes Towarzystwa Galeria Literacka.

Tyłem siedzą:

8. Janusz Mielczarek – fotografik, pisarz,
9. Ryszard Radkowski – społecznik.

Zdjęcie wykonał Krzysztof Kasprzak.

Spotkanie zakończyło się powołaniem grupy inicjatywnej, której zadaniem jest znalezienie formuły uhonorowania Juliusza Henryka Brauna w 120 rocznicę jego urodzin.



Barbara Strzelbicka

IMIENINY ZOFII



15 maja, w imieniny Zofii, w Ratuszu Miejskim miało miejsce spotkanie na temat książki *Zofia Kossak – bezcenne dziedzictwo* pod redakcją Elżbiety Hurnik, Anny Wypych-Gawrońskiej i Eweliny Dziewońskiej-Chudy, przy współudziale Artura Warzochy (Częstochowa 2020), której wersja angielskojęzyczna ukazała się w roku 2023.

Zofia Kossak (1889–1968) była powieściopisarką, autorką opowiadań i powieści historycznych, a także książek dla dzieci, współzałożycielką dwóch tajnych organizacji w okupowanej Polsce – Frontu Odrodzenia Polski oraz Rady Pomocy Żydom „Żegota”. Została pośmiertnie odznaczona medalem Sprawiedliwych wśród Narodów Świata i Orderem Orła Białego. Należała do sławnej rodziny Kossaków: była wnuczką malarza Juliusza Kossaka, córką Tadeusza, bliźniaczego brata Wojciecha i stryjeczną siostrą artystycznego rodzeństwa: poetki Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej, satyryczki Magdaleny Samozwaniec i malarza Jerzego Kossaka.

Spotkanie prowadziła prof. UJD Joanna Ławnikowska-Koper, zaś twórcy monografii opowiadali o pracy nad nią i o niezwyklej bohaterce książki. Zostały także przeczytane przez autorów fragmenty książki oraz ich przekłady. Z krótkim akcentem muzycznym wystąpiła młoda skrzypaczka Aleksandra Szymańska.

Specjalnym gościem była mieszkająca w Wielkiej Brytanii wnuczka Zofii Kossak, Anna Fenby Taylor, dobrze mówiąca po polsku, która opowiadała o babci i o swoich z nią relacjach, wspominała wakacje w Górkach Wielkich, dokąd zjeżdżały się wszystkie wnuczka pisarki (czworo urodzonych w Anglii i czworo – w Szwajcarii). Podczas tych wizyt pisarka pokazywała dzieciom Polskę. Nad Morskie Oko trafili, gdy był tam kręcony film o Leninie. Wnuczka, dziecko wychowane w Anglii, głośno zapytała babcię, kim był Lenin, a wtedy wokół zapadła cisza i wszyscy patrzyli na babcię, którą z pewnością rozpoznali. Bez chwili wahania, bo starała się odpowiadać na wszystkie pytania dzieci, Zofia Kossak wyjaśniła: Dziecko, to był człowiek, który chciał dobrze, ale źle mu wyszło.

Nie ma to, jak anegdota!

Ida Jadwiga Łubińska

WYSTAWA WOJCIECHA SIUDMAKA

16 maja b.r. w Miejskiej Galerii Sztuki w Częstochowie miało miejsce szczególne wydarzenie: był nim wernisaż wystawy jednego z najwybitniejszych współczesnych artystów tworzących w nurcie realizmu fantastycznego i *science fiction* – Wojciecha Siudmaka.

Tytuł wystawy „Omnis”, czyli wszystko, co najlepsze, sugeruje aurę tej niezwykle uroczystości. Tłumy gości wernisażowych, nie tylko z Częstochowy, ale też z innych regionów Polski, potwierdzały tę opinię.

Wśród około sześćdziesięciu prac artysty są obrazy, rysunki i rzeźby. W jego hiperrealistycznej twórczej wizji prace wydają się trójwymiarowe, przestrzenie się przenikają. Chwilami mamy wrażenie, jakbyśmy patrzyli na dzieła przedstawiane w technologii trójwymiarowej. W całej wystawie dominuje kosmiczna harmonia, uniwersalne piękno postaci, charakterystyczny dla twórcy wachlarz barw, nieprawdopodobne wycucie światła i cienia, perspektywy linearnej i... pewien dystans do sztuki, do kreowanych postaci. Przykład: wizerunki kobiet są wyniosłe, piękne, otoczone aurą tajemnicy, jakby niedostępne.

Autor i jego wystawa trafili do Częstochowy wprost z Paryża.

Bohater spotkania urodził się w 1942 roku w Wieluniu, uczył się w Liceum Sztuk Plastycznych i Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie. Fascynowała go wówczas Francja, tamtejsze trendy w sztuce, artyści wiodący prym w twórczych przedsięwzięciach. W 1966 roku wyjechał do Paryża i rozpoczął studia w Ecole des Beaux Arts.

W poprzedzającym wernisaż spotkaniu Wojciech Siudmak opowiadał o życiu i o tych wydarzeniach, m.in. o tym, dlaczego wybrał Francję i podparyską miejscowość, gdzie żyje i tworzy, o swoich pasjach, zainteresowaniach, umiejętnościach... Inspiruje go wszechświat, ciekawia nowe zadania, jakie stoją przed współczesną cywilizacją, a znajomość fizyki i astrofizyki pomaga w tworzeniu niezwyklej wizji. Za szczęśliwy zbieg okoliczności Artysta uznaje fakt, iż znalazł się w gronie twórców, którzy uchwycili moment otwarcia się społeczeństw na Kosmos, na nowe, niezbadane przestrzenie wszechświata.

Twórczość Siudmaka ma mnóstwo fanów na całym świecie, głównie w Europie, wśród nich wiele wybitnych osobistości kultury, takich jak Federico Fellini, Jean-Jacques Annaud, George Lucas, Paul Guth, John Harrison.

Przykładem jest 6-tomowy cykl powieściowy Franka Herberta „Kroniki Diuny” (uznany za najlepsze powieści *science fiction* wszech czasów), opatrzone reprodukcjami prac Wojciecha Siudmaka. Na obwolutach i wewnątrz książek widnieją znane obrazy artysty, które nie stanowią ilustracji, ale są niezależnymi dziełami, co artysta podkreśla, jako że nie ceni sobie twórczości ilustratorskiej. Prace zainspirowały reżysera Denisa Villeneuve’a (a wcześniej Dawida Lyncha) do zrealizowania filmu „Diuna”, za który otrzymał sześć Oskarów.

Kosmiczne krajobrazy, nieziemskie istoty i formy na prezentowanej wystawie – to wyraz niedającej się zdefiniować ludzkiej wyobraźni.

Rozmowę z Artystą na poprzedzającym wernisaż spotkaniu w OKF „Iluzja” prowadził historyk sztuki, marszand z Galerii i Domu Aukcyjnego ToTuart Dominik Zieliński.

Wystawa w Miejskiej Galerii Sztuki będzie czynna do 30 września b.r.

Barbara Strzelbicka

UMIEJĘTNOŚĆ OPOWIADANIA



Opowiadania Jakuba Barteckiego doczekały się książkowego wydania – dzięki wrocławskiemu Liberum Verbum wyszła książka *Czeski leżak*, na którą złożyły się zaledwie trzy, ale za obszerne opowiadania: *Niedokończony bunt*, *Czeski leżak* i *Dwadzieścia cztery godziny, które trwały nieco dłużej*. Częstochowska promocja (pierwsza była wrocławska) miała miejsce 15 czerwca w OPK „Gaude Mater” i prowadził ją Zbigniew Zebar, wydawca, ale też pisarz. Rozmawiając z bohaterem spotkania, skupił się na opowiadaniach zamieszczonych w książce, pytając o ich związek z doświadczeniami samego autora, interpretację wątków, w tym piwnego, oraz na znajomości opisywanego środowiska.

Narracja wszystkich opowiadań prowadzona jest w pierwszej osobie i trzeba przyznać, że język bardzo dobrze charakteryzuje bohaterów. Składa się na to nie tylko słownictwo, ale też składnia, zwłaszcza długie, wielokrotnie złożone wypowiedzenia, charakterystyczne dla niektórych osób, jakby nie umiały postawić kropki albo nie chciały, aby im ktoś przerwał.

Czytelnicy „Galerii” znają pisarstwo Jakuba Barteckiego, publikującego od kilku lat na naszych łamach, obecnego również w antologii *W kręgu Galerii* i wiedzą, że autor opisywane wydarzenia umieszcza w różnych miejscach i środowiskach, starannie konstruując świat przedstawiony – łącznie z postaciami, które charakteryzuje również poprzez język. Świetnym przykładem jest tu opowiadanie *Zwykły przypadek*, zamieszczone w „Galerii” 69, gdzie różne osoby opowiadają o tym samym wydarzeniu. Można ten tekst potraktować jako wprawkę pisarską, zresztą znakomitą.

Jakub Bartecki (rocznik 1992) jest bardzo sprawny werbalnie – zarówno w piśmie, jak i w mowie. Dużo czyta (jest wielbicielem Hrabala i innych prozaików), jest uważnym obserwatorem, ma wysoką świadomość językową, potrafi prowadzić narrację tak, by była ona interesująca dla czytelnika – po prostu umie opowiadać. Wydaje się, że to dobre kwalifikacje dla pisarza. Powodzenia!

Barbara Strzelbicka

KOCHAJMY FREDRĘ!

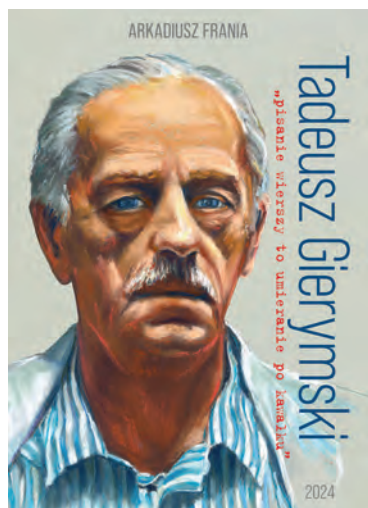


Kilka dni po rocznicy urodzin Aleksandra Fredry, przypadających 20 czerwca, mogliśmy uczestniczyć w panelu dyskusyjnym „Aleksander Fredro dawniej i dziś...”, zorganizowanym przez Instytut Literaturoznawstwa Uniwersytetu im. Jana Długosza, Towarzystwo Mickiewiczowskie i Muzeum Częstochowskie, który stanowił dopełnienie projektu rozpoczętego w Roku Fredrowskim (2023). W panelu uczestniczyły literaturoznawczynie: prof. Agnieszka Czajkowska, prof. Elżbieta Hurnik i prof. Joanna Warońska-Gęsiarz, zaś rolę koordynatorki pełniła dr Elżbieta Wróbel. Uczestniczki odnosiły się do twórczości Fredry z punktu widzenia obszarów swoich badań, które są różne, co gwarantowało, że ocena będzie wieloaspektowa.

Punktem wyjścia do dysputy było dość prowokacyjne pytanie: czy rzeczywiście znamy Fredrę? Oczywiście jest odpowiedź twierdząca, bo przecież jest w spisie lektur obowiązkowych, a każdy teatr ma w żelaznym repertuarze komedię Fredry, tyle tylko, że dotyczy to kilku najbardziej znanych sztuk, choć komediopisarz pozostawił po sobie bogatą spuściznę – w Roku Fredrowskim Teatr częstochowski na przykład wystawił... *Zemstę*. Mało znane są także pamiętniki *Trzy po trzy*, bogate źródło wiedzy o autorze, o epoce, a zwłaszcza o kampanii Napoleońskiej. Wprawdzie pojawiły się próby nowoczesnych inscenizacji Fredrowskich komedii, które wypadły bardzo dobrze, ale były nieliczne – podjęli się ich Grzegorz Jarzyna i Michał Zadara.

Fredro postrzegany jest jako niepozostający w głównym nurcie polskiego Romantyzmu. Wpłynął na to zapewne fakt, że urodził się pięć lat przed Mickiewiczem, co pozwoliło mu jako 16-latkowi służyć w armii Napoleona. Nie wziął też udziału w Powstaniu Listopadowym. Na domiar wszystkiego wszedł w zatarg z Sewerynem Goszczyńskim, który przyprawił mu gębę „niepolskości”, a przyczyna tego była dość banalna: Fredro nie chciał sponsorować czasopisma, na zawartość którego nie miałby wpływu.

Uczestnicy spotkania, mającego miejsce w Domu Poezji – Muzeum Haliny Poświatowskiej, gdzie w środy (a była środa 26 czerwca) spotykamy się my, członkowie Towarzystwa Galeria Literacka, więc była nas spora grupa, wyrazili przekonanie, iż Aleksander Fredro jest stanowczo niedoceniony. Być może wynika to z tego, że jesteśmy narodem świętującym smutne rocznice i nie lubimy się śmiać, a przecież śmiech to zdrowie!



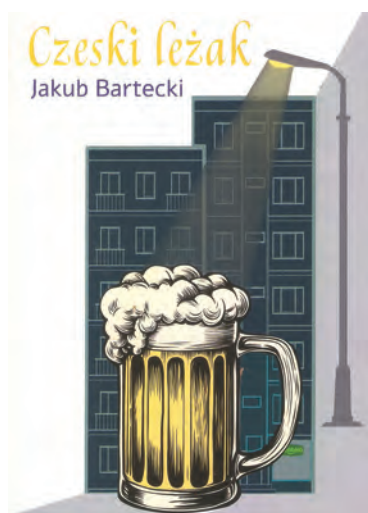
ARKADIUSZ FRANIA, *Tadeusz Gieryski: „pisanie wierszy to umieranie po kawałku”*, Towarzystwo Galeria Literacka, Częstochowa 2024, wydano w serii „Biblioteka Galerii”.

Książka stnowi ukoronowanie serii opisującej poetyckie życie współczesnej Częstochowy. Na okładce portret bohatera autorstwa Jacka M. Krasuckiego, zainspirowany fotografią Janusza Mielczarka. Każdy rozdział otwiera i zamyka cytaty z tekstów T. Gieryskiego. Autorami posłowi są Janusz Pawlikowski i Barbara Strzelbicka. Promocja miała miejsce 22 maja. [BS]



ADRIAN MUSIAŁ, *Słowotok*, Wydawnictwo Agraftka, Przecław 2024.

Debiutancki tomik wierszy związanego z Częstochową poety, którego liryki i opowiadania goszczą na łamach „Galerii” od 2018 r. Autor jest doktorem nauk humanistycznych, absolwentem Uniwersytetu Jana Długosza w Częstochowie. Na tomik składa się zbiór 73 wierszy, które dojrzewały od młodości, dotychczas pisane były do szuflady. Jak wskazuje Autor, „Słowotok” jest subiektywną wędrówką po rubieżach słów, poszukiwaniem prawdy i sensu, osobistym spojrzeniem na wartość słów. Tomik wzbogacony jest 12 rysunkami ołówkiem. [AM]



JAKUB BARTECKI, *Czeski leżak*, Liberum Verbum, Wrocław 2024.

Na książkę, wydaną przez wrocławskiego wydawcę Zbigniewa Zebara, składają się trzy opowiadania: *Niedokończony bunt*, *Czeski leżak* i *Dwadzieścia cztery godziny, które trwały nieco dłużej*. Z noty wydawniczej: „W każdym z nich mamy do czynienia z innym fragmentem życia młodego mężczyzny: bunt pomaturalny, szaleństwo studenckiego życia oraz próba ustakowania się”. Autor zamieścił dedykację: „Mojej ukochanej Izuni. Ta książka powstała tylko dlatego, że wyleczyłaś mnie ze smutku”. [BS]

Zza zasłony czasu. *Historia Klubu Literackiego „Fraszka”*, opracowanie i redakcja: A. Otocka, W. Owczarek, H. Pałka, W. Tomska, Towarzystwo Galeria Literacka, Częstochowa 2024.

Historia powstałego w 2005 r. Klubu Literackiego „Fraszka”, działającego przy Uniwersytecie Trzeciego Wieku przy Wydziale Zarządzania Politechniki Częstochowskiej. Zawiera rys historyczny Klubu, wykaz zbiorowych publikacji, listę i noty biograficzne członków Klubu oraz próbki ich twórczości. Część druga zawiera sylwetki i utwory nieżyjących członków klubu. Książka wzbogacona jest o wkładkę z fotografiami. [AJ]



WASIL BYKAU, *Długa droga do domu*, przekład Joanna Bernatowicz, Wydawnictwo Kolegium Europy Wschodniej, 2023.

Wspomnienia wybitnego białoruskiego pisarza. Ich początek to lata tuż przed II wojną światową. Bykau zasłynął wojennymi powieściami, w których starał się pokazać wojnę taką, jaka była, bez ideologicznych upiększeń. Pisał zawsze po białorusku, choć bardziej znano go z rosyjskich tłumaczeń pod zruszczonym nazwiskiem – Bykow. Przewodniczący białoruskiego PEN Clubu. Zmuszony do emigracji pod rządami Łukaszenki, zmarł w 2023 r. w Mińsku, dokąd wrócił krótko przed śmiercią. [BK]



UŁADZIMIR NIAKLAJEU, *Sam*, przełożyli: Adam Pomorski, Bohdan Zadura, Czesław Seniuch, Jarosław Anders, Wydawnictwo Kolegium Europy Wschodniej, 2023.

Wybór wierszy aktywnego wciąż klasyka białoruskiej poezji. Tom zawiera zarówno najnowsze wiersze, jak i wcześniejsze w wyborze autora, w tym słynny *Polo- nez* w przekładzie Czesława Seniucha, we fragmencie po raz pierwszy drukowany w „Galerii”. Zarówno autor, jak i jeden z tłumaczy – Bohdan Zadura, gościli w Częstochowie na zaproszenie Towarzystwa Galeria Literacka. [BK]



Jan Ciesielski

SCENICZNA WESOŁOŚĆ

Tak się porobiło,
takie mamy czasy,
że im więcej klas się skończyło,
tym mniej ma się klasy.

Dziś chcę przedstawić mój nowy
pogląd na świat nasz kabaretowy
(i chociaż to może wbrew logice,
nic tu nie wspomnę o polityce).

Kabaret? To muza przymilna,
radość powszechna, nie elitarna.
Był kiedyś „Pieprz i wanilia”,
dzisiaj – pieprzenia kloszarda.

Jeden z artystów licząc,
że widz musi być tępy,
ku swej szczególnej radości
wstawił sobie końskie zęby.

Inny wie, że widz się śmieje,
jak on się potyka (lub tylko kuleje).
Jasne, że każdy aplauzem doceni,
gdy artysta się jąka lub tylko sepleni.

A jak już ma autentyczną
wadę zgryzu albo wymowy,
to sukces wśród publiczności
ma pewny, bankowy.

(Często występującym
wystarczy doraźnie,
gdy mówią swoją kwestię
bardzo niewyraźnie.)

A ileż śmiechu na sali
wśród zebranej publiki,
kiedy wykonawca
korzysta z mimiki

robiąc (a widownia
z tej radości aż tupie)
miny – może i śmieszne,
lecz z pewnością – głupie.

(Teraz przyszła pora,
by przejść do ich języka
lub raczej – ozora.)

Bywa, i to często nader,
że gdy w głowie próżnia,
satyryk przy publiczności
lubi się wypróżniać!

Oczywiście – słowami
i by mieć większy aplauz
lub dla sławy, używa języka,
co jest dość plugawy.

(a tak na marginesie:
w TV piknie się to
lub wytnie się.)

Publiczność zaś ma na sali
jakby juwenalia,
im większy na scenie fetor
i słowne fekalia.

Kabaretowy lud coraz częściej
w tej materii hasa,
a najlepsze dowcipy?
Te poniżej pasa.

Idealem dla nich by było,
gdyby tak z polszczyzny
można by wykorzystywać
– tylko wulgaryzmy!

To nie występujących wina!
Oni po programie
śmieją się z tych, co przyszli
na ich nędzne granie,

że widz dał się nabrać,
zapłacił i siedział.
Z czego tak bardzo śmiał się?
– tego sam nie wiedział.

Może przyjdzie refleksja,
myśl się wśród widzów zabłąka:
jak długo można wytrzymać,
gdy artysta puszcza
scenicznego bąka?

(Te zaczadzenia to normalność –
także na innych scenach.)
I tu kończę tę o kabaretach odę,
przepraszam – spuszczę wodę!

SCENICZNA WESOŁOŚĆ

GALERIA

CZĘSTOCHOWSKI MAGAZYN LITERACKI

Copyright © TOWARZYSTWO GALERIA LITERACKA

REDAKCJA:

Barbara Strzelbicka (sekretarz redakcji), Bogdan Knop (redaktor naczelny),
Ida Jadwiga Łubińska, Olga Wiewióra, Arkadiusz Frania.

STALI WSPÓŁPRACOWNICY:

Małgorzata Franc, Małgorzata Nowakowska-Karczewska, Alicja Nowak,
Elżbieta Jolanta Gola, Janusz Jano Mielczarek, Marian Panek,
Tomasz „Aztenty” Barański, Wiesława Owczarek, Jan Ciesielski, Jarosław Kapsa,
Anna Jędryka, Maciej Rudlicki.

LAYOUT: Andrzej Chmielewski

SKŁAD: J.M. Krasucki

REDAKTOR TECHNICZNY: Jarosław Leszczuk

DRUK:

Drukarnia Usługowa „Gryf”



ul. Garibaldiiego 14 a
42-200 Częstochowa
www.gryf.czyst.pl

PRINTED IN POLAND.

WYDAWCA:

Towarzystwo Galeria Literacka



ul. Metlera 4
42-224 Częstochowa
www.galerialiteracka.pl

Adresy e-mail do przesyłania materiałów w formie elektronicznej:

galeria.literacka@gmail.com

Krajowy Rejestr Sądowy nr: 0000545735 Regon: 360871693 NIP: 9492200168

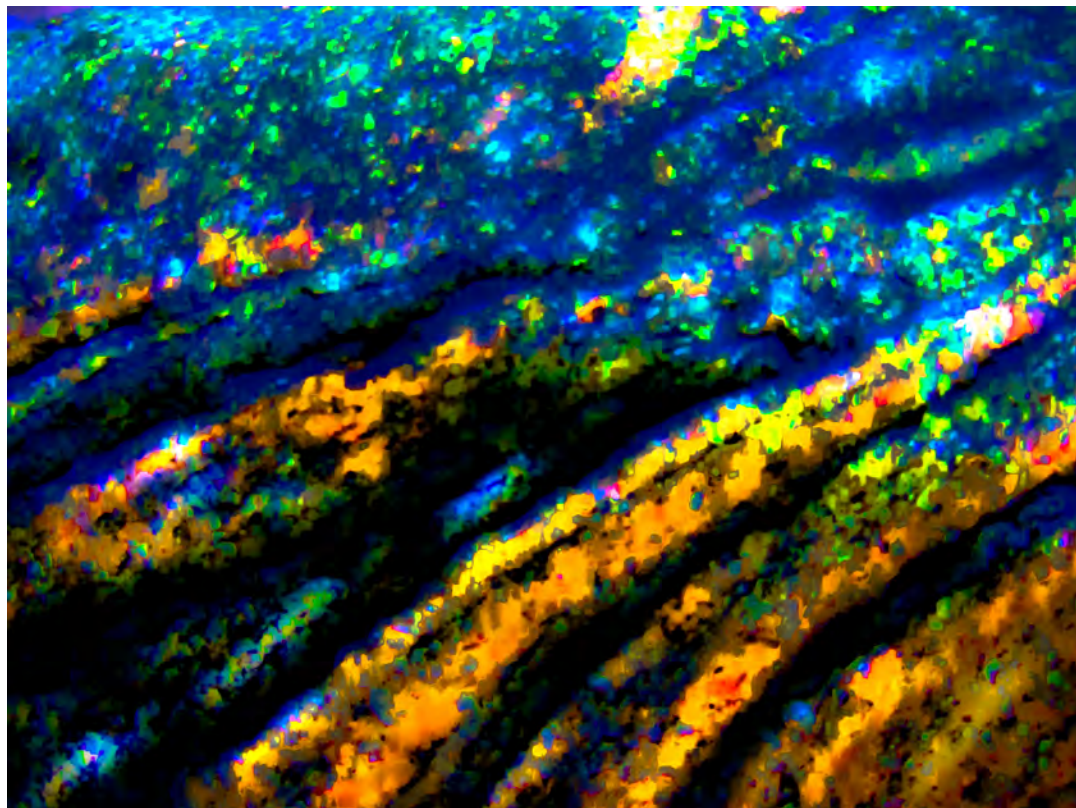
Nr rachunku: mBank 06 1140 2004 0000 3302 7814 7608

Materiałów niezamówionych redakcja nie zwraca i nie przechowuje.

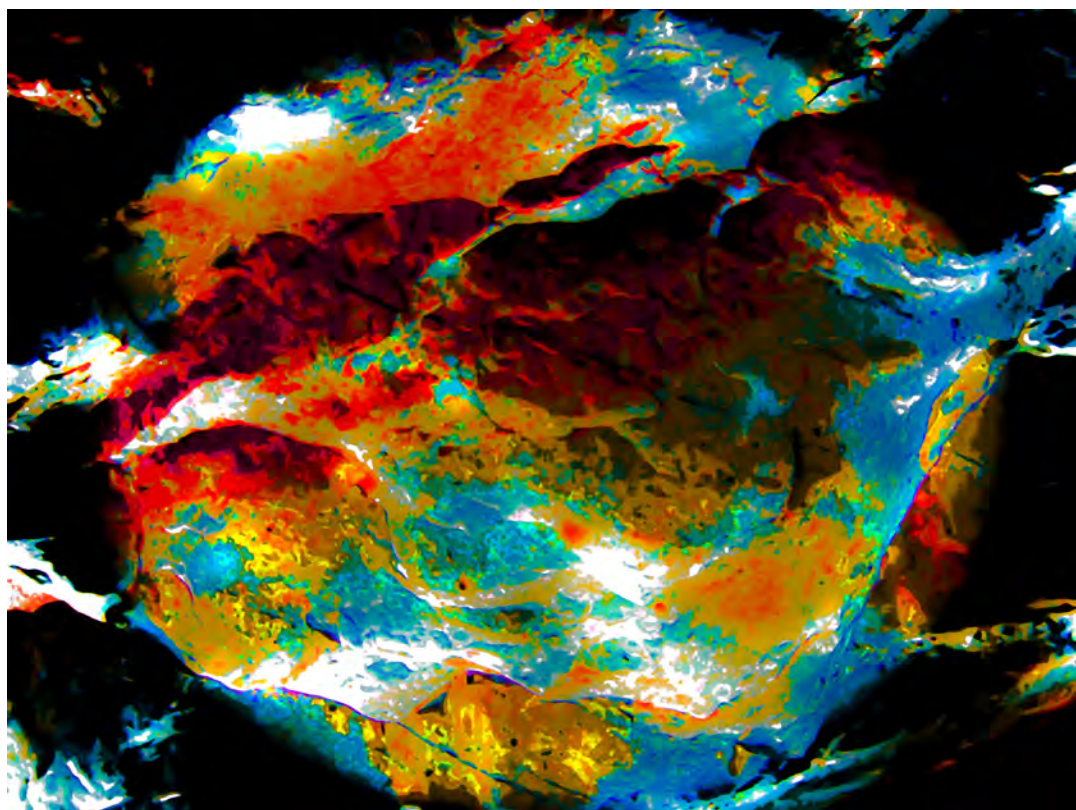
W tekstach przeznaczonych do druku zastrzega sobie prawo do skrótów i zmian tytułów.

„Galeria” i inne wydawnictwa Towarzystwa Galeria Literacka są do nabycia w: Antykwnia –
Księgarnia „Niezależna”, ul. Kopernika 4, 42-217 Częstochowa, www.antykwnia.com.pl

ISSN 2449-5328



Roman Timofiejuk, „Genotyp – zapis genetyczny wszechświata 1”



Roman Timofiejuk, „Genotyp – zapis genetyczny wszechświata 3”

mała **GALERIA**



Roman Timofiejuk, „Zamieć zimowa”